



WYPRAWA DO GWIAZD

A. E.
VAN VOEST



A.E. VAN VOGT

WYPRAWA DO GWIAZD

(PRZEŁOŻYŁ: MAREK MARSZAŁ)

SCAN-DAL

Spis treści

PROLOG

I

II

III

IV

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

PROLOG

Ziemi statek minął samotne słońce Gisser tak szybko, że system ostrzegawczy stacji na meteorycie nie zdążył zareagować. Wielki pojazd już widniał na ekranie w postaci jasnej smugi, nim dotarło to do świadomości Czatownika. Urządzenia alarmowe statku musiały za to pracować bez zarzutu, gdyż mknący punkt świetlny dostrzegalnie zwolnił i nadal wyraźnie hamując zatoczył szeroki łuk. Teraz powoli sunął z powrotem, z niewątpliwym zamiarem odszukania niewielkiego obiektu, który zakłócił jego ekrany energetyczne.

Gdy ukazał się w zasięgu wzroku, ogromem przesłonił blask dalekiego, jaskrawożółtego słońca, większy od wszystkiego, co kiedykolwiek widziano w pobliżu Pięćdziesięciu Słońc. Wyglądał jak statek z samego dna piekła, z odległych krańców przestrzeni, potwór z na poły legendarnego świata. Chociaż nowego typu, n? podstawie przekazów historycznych można w nim było rozpoznać okręt wojenny Cesarstwa Ziemi. Kiedyś nadejdzie straszny dzień, przepowiadano, i oto stało się.

Wiedział, co ma robić. Ostrzeżenie - przez niekierunkowe, podprzestrzenne radio wysłać do Pięćdziesięciu Słońc ostrzeżenie, którego nadejścia wyglądano z trwogą od stuleci. I starannie zatrzeć ślady swojej obecności. Nie było eksplozji. Przeciążone generatory atomowe roztopiając się rozproszyły bez trudu masywny budynek dotychczasowej podstacji meteorologicznej na elementy podstawowe. Czatownik wie próbował ucieczki. Nikt nie mógł dotrzeć do jego mózgu z zawartą w nim wiedzą. Poczul krótki, porażający skurcz bólu, nim energia rozdarła go na atomy.

Lady Gloria Laurr, pierwszy kapitan „Gwiezdnego Roju”, nie pofatygowała się, by towarzyszyć ekspedycji lądującej na meteorycie, ale bacznie śledziła wszystko w astrowizjerze. Od chwili, gdy jak grom z jasnego nieba ukazała się na ekranach postać ludzka w obserwatorium meteorologicznym, i to aż tutaj, zdawała sobie sprawę z kolosalnego znaczenia tego odkrycia. Przez myśl przemknęły jej wszelkie możliwe implikacje. Obserwatorium, a więc i podróże międzygwiazdne. Istoty ludzkie mogą pochodzić tylko z Ziemi. Zastanowiła się, jak do tego doszło: dawna wyprawa. Musiało to nastąpić dawno temu, bo dziś mają komunikację międzyplanetarną. Oznacza to liczną populację zamieszkującą wiele planet. Jej Wysokość - myślała - będzie zadowolona. Jak ona sama. W przystępie dobrego humoru wywołała siłownię.

- Jestem pełna uznania dla waszej błyskawicznej akcji, kapitanie Glone - powiedziała ciepło. – Mam na myśli zamknięcie całego meteorytu w ochronnej powłoce energii. Nie minie was nagroda. Mężczyzna w astrowizjerze skłonił głowę.

- Dziękuję pani. Chyba zabezpieczyliśmy atomowe i elektronowe składniki całej stacji. Szkoda, że interferencja energii jej reaktorów uniemożliwiła Sekcji Fotografii uzyskanie wyraźnych odbitek.

Uśmiechnęła się z pewnością siebie.

- Mamy człowieka, a do tej matrycy nie potrzeba żadnych fotografii.

Z uśmiechem na ustach wróciła spojrzeniem do sceny na meteorycie. W zamyśleniu przyglądała się pochłaniaczom energii i materii w ich połyskliwej poświacie. W obserwatorium była mapa. Zaznaczono na niej kilka burz. Jedna «z nich przedstawiała się niezwykle groźnie. Widziała to wyraźnie w promieniach penetrujących. Ich ogromny statek nie mógł rozwinąć prędkości, dopóki nie poznali położenia tej burzy. Ryzyko było zbyt wielkie. Młody, niezwykle przystojny mężczyzna mignął jej przelotnie. Zdecydowany, odważny. Interesujący na swój niecywilizowany sposób. Najpierw trzeba będzie dobrać się do jego umysłu i wycisnąć konieczne informacje. Jeszcze teraz byle pomyłka może ją drogo kosztować. Długie, uciążliwe poszukiwania. Całe dziesięciolecia można zmarnować na tych krótkich odległościach lat świetlnych, gdzie statek nie zdoła przyspieszyć, a bez dokładnej prognozy pogody nie odważy się nawet utrzymać już osiągniętej prędkości.

Zobaczyła, że wszyscy opuszczają meteoryt. Energicznym ruchem wyłączyła wewnętrzny komunikator, dotknęła paru guzików i przestąpiwszy transponder zjawiała się wprost w komorze odbiorczej o pół mili dalej.

Oficer dyżurny miał ponurą minę.

- Właśnie otrzymałem zdjęcia. Mapę przesłania plama energetycznej mgiełki. Prawdziwy pech. Chyba powinniśmy zacząć od budynku z całą zawartością, zostawiając człowieka na koniec - zameldował po oddaniu honorów. Jakby przeczuwając jej dezaprobatę, szybko dodał: - To w końcu prosta matryca człowiecza. Ożywienie jej, teoretycznie trudniejsze, w praktyce niczym się nie różni od pani przejścia przez transponder z pomostu do tego tutaj pomieszczenia. W obu przypadkach mamy do czynienia z rozproszeniem elementów, które należy sprowadzić do ich pierwotnego układu.

- Ale dlaczego zostawiać go na sam koniec?

- Względy techniczne. Przedmioty nieożywione cechuje większa złożoność. Materia zorganizowana, jak Wiemy, to niewiele więcej ponad dostępne wszędzie związki węgłowodoru.

- No dobrze.

Nie była tak jak on przekonana, że człowiek i jego mózg, którego wiedza stworzyła tę mapę, były mniej ważne od samej mapy. Lecz skoro miała mieć i jedno, i drugie - zgodziła się.

- Zaczynajcie.

Przyglądała się, jak wewnątrz przestronnej komory wyłania się kształt budynku. Zjeżdżając na antygravitacyjnych nośnikach, spoczął wreszcie pośrodku ogromnej, metalowej posadzki. Z kabiny wyszedł technik, kręcąc głową. Wprowadził ich do zrekonstruowanej stacji, wytykając jej niedostatki.

- Dwadzieścia siedem punktów słonecznych na mapie - powiedział - niewiarygodnie mało, zakładając nawet, że ci ludzie zorganizowali się tylko -w niewielkim rejonie przestrzeni. A poza tym, spójrzcie, ileż tu burz, nawet daleko poza obszarem słońce i... - Słowa uwięzły mu w gardle. W milczeniu wbił wzrok w ciemny kąt, jakieś dwadzieścia stóp za całą aparaturą. Podążyła za jego spojrzeniem. Leżał tam człowiek. Ciało jego targały konwulsje.

- Sądziłam - odezwała się marszcząc brwi - że człowieka zostawiliśmy na sam koniec. Profesor był wyraźnie zakłopotany.

- Mój asystent z pewnością źle zrozumiał. To...

- Mniejsza o to - przerwała mu, - Przekażcie go natychmiast do Ośrodka Psychologii i proszę powiedzieć porucznik Neslor, że zaraz tam będę.

- W tej chwali, jaśnie pani.

- Zaczekaj. Pokłoń się ode mnie Starszemu Meteorologowi i poproś go tutaj. Chcę, aby przyjrzał się mapie i powiedział, co o niej sądzi.

Okręciła się na pięcie pośród otaczającej ją grupki pokazując w uśmiechu białe, równe zęby.

- Na Jowisza, wreszcie coś się zaczyna dziać po dziesięciu nudnych latach wałęsania. Raz-dwa zakończymy tę zabawę w chowanego.

Podniecenie płonęło w niej jak żywy ogień.

Ku swojemu zdumieniu Czatownik wiedział, dlaczego żyje, jeszcze zanim się obudził. Zanim otworzył oczy. Czuł budzącą się świadomość. Instynktownie rozpoczął codzienną deliańską gimnastykę mięśni, nerwów i umysłu, jak zwykle przed wstaniem z łóżka. W trakcie osobliwego rytmicznego cyklu straszliwe podejrzenie poraziło jego umysł. Wraca do świadomości? On! W tym właśnie momencie, gdy mózg mało mu nie eksplodował pod wpływem szoku, zrozumiał, jak do tego doszło. Uspokoił się, pogrążył w sobie. Wzrok jego zarejestrował młodą kobietę spoczywającą na szeszlunku tuż przy nim. Szlachetny owal twarzy. Dostojeństwo. Zupełnie nie pasujące do tak młodej

osoby. W swobodnej pozie studiowała go szarymi, roziskrzonymi oczyma. Pod ich uporczywym spojrzeniem w jego głowie zapanowała pustka. W końcu myśl powróciła. Zaprogramowali mnie do spokojnego przebudzenia. Co jeszcze zrobili - czego się dowiedzieli? Myśl rozrastała się, aż poczuł, że lada chwila rozsądzi mu czaszkę: co jeszcze? Zauważył, że kobieta uśmiecha się do niego lekko i z rozbawieniem uśmiechem jak balsam. Usłyszał jej dźwięczny, srebrzysty głos. Ogarnął go jeszcze większy spokój. Mówiła'

- Nie bój się. To znaczy, nie bój się bardzo. Jak się nazywasz?

Czatownik otworzył usta, aby je zaraz zamknąć, i z uporem pokręcił głową. Przez chwilę odczuwał nieprzeparłą ochotę wytłumaczenia jej, że odpowiedź nawet na jedno pytanie złamałaby okowy deliańskiej inercji umysłowej i doprowadziła do wyjawienia całej prawdy. Ale taka informacja groziła inną klęską. Przemógł się i ponownie pokręcił głową. Młoda kobieta zachmurzyła się.

- Nie odpowiesz na tak niewinne pytanie? Przecież wyjawienie imienia nic mię zaszkodzi.

Najpierw imię, myślał Czatownik, potem, z jakiej planety pochodzi, gdzie ona się znajduje w odniesieniu do słońca Gisser, co z burzami. I tak po kolei coraz dalej. Bez końca. Im dłużej będę odmawiać ludziom informacji, której tak łaknęli, tym więcej czasu będzie miało Pięćdziesiąt Słońc na zorganizowanie się przeciwko największej maszynie, jaka kiedykolwiek wpłynęła do tej części przestrzeni. Myśl błędziła. Kobieta siedziała wyprostowana, jej oczy stały się zimne jak stal. Głos też nabrał metalicznego rezonansu, gdy się odezwała:

- Kimkolwiek jesteś, wiedz, że znajdujesz się na pokładzie cesarskiego okrętu wojennego „Gwiazdny Rój”, pierwszy kapitan Laur r do usług. Wiedz również, że nieodwołalnie żądamy podania orbity, która doprowadzi bezpiecznie nasz statek do waszej głównej planety. - Jej wibrujący głos dźwięczał nadal. - Jestem przekonana, że już wiecie, iż Ziemia nie uznaje niezależnych rządów. Kosmos jest niepodzielny. We wszechświecie nie ma miejsca dla niezliczonych skłóconych nacji handryczących się o władzę. Takie jest prawo. Ci, którzy przeciw niemu występują, są przestępcami i podlegają odpowiedniej karze. To ostrzeżenie. - Nie czekając na odpowiedź obróciła się. - Poruczniku Neslor - powiedziała do przeciwległej ściany - czy już wiecie, co robić dalej?

- Tak, jaśnie pani - odparł głos kobiety. - Przyjęłam stałą na podstawie badań Muir-Graysona nad kolonistami pozostającymi z dala od głównego nurtu życia galaktyki. Historia nie zna precedensu tak długiej izolacji, jaka, wydaje się, miała miejsce tutaj, więc uważam, że przeszli etap statyczny i osiągnęli pewien rozwój własny. Myślę, że powinniśmy zacząć mimo wszystko jak najprościej. Parę wymuszonych odpowiedzi otworzy przed nami jego umysł. A tymczasem będziemy mieli okazję zobaczyć, jak szybko rośnie jego opór pod naciskiem aparatu. Mogę zaczynać?

Kobieta na szeszlunku skinęła głową. Ze ściany trysnął strumień światła. Czatownik spróbował uchylić się i po raz pierwszy odkrył, że coś przytrzymuje go w łóżku. Nie sznury ani łańcuch, nic widzialnego. A przecież namacalne jak stal i giętkie jak gumka. Zanim się zdążył zastanowić, światło było w jego oczach, w mózgu - oślepiający, oszalały blask, pulsująca jasność. Wydawało się, że przebijają się przez nią głosy, płasające i rozspiewane, przemawiające w jego głowie, głosy, które mówiły: „Takie proste pytanie. Oczywiście, że odpowiem... oczywiście, oczywiście, oczywiście... Nazywam się Czatownik Gisser. Pochodzę z planety Kaider III, z rodziców Delian. Zamieszkujemy siedemdziesiąt planet wokół Pięćdziesięciu Słońc, trzydzieści miliardów ludzi, czterysta większych burz, najgroźniejsze na szerokości 473. Rząd centralny mieści się na Cassidor VII cudownej planecie”...

Przerażony tym, co robi, ścisnął szalejące myśli w deliański węzeł ucinając potok zgubnych wyrazów. Wiedział, że już nigdy nie da się tak złapać, ale... za późno - myślał - o wiele za późno.

Wcale nie była tego pewna. Opuściwszy pokój niebawem wróciła do porucznik Neslor, kobiety

nie pierwszej już młodości, pochłoniętej klasyfikacja danych ze szpul receptora. Psycholog oderwała wzrok od swoich czynności i powiedziała ze zdumieniem w głosie:

- To przecież absolutnie niemożliwe, jaśnie pani. Jego opór osiągnął odpowiednik ilorazu inteligencji 800. A przecież zaczął mówić przy nacisku odpowiadającym ilorazowi 167, co pasuje do jego powierzchowności i jest, jak pani wie, wielkością przeciętną. Za taką odpornością kryje się niechybnie jakaś metoda treningu umysłowego. Myślę, że kluczem jest jego wzmianka o deliańskim pochodzeniu. Intensywność wykresu podskoczyła do kwadratu, gdy wymawiał te słowa. Tej sprawy nie wolno zlekceważyć. Może spowodować ogromną zwłokę, chyba że jesteśmy zdecydowani złamać jego wolę.

Pierwszy kapitan pokręciła przecząco głową.

- Proszę informować mnie, jeśli wydarzy się coś nowego - brzmiała jej jedyna odpowiedź. W drodze do transmitera zatrzymała się, aby sprawdzić pozycję. Błady uśmiech zagościł na jej ustach, gdy ujrzała na ekranie cień statku okrążający jaśniejsze widmo słońca. Odmierza czas, pomyślała, i ogarnął ją chłód przecucia. Czy możliwe, aby jeden człowiek powstrzymał statek zdolny podbić całą galaktykę?

Starszy meteorolog statku, porucznik Cannons, wstał z krzesła, gdy szła ku niemu przez rozległą komorę, w której nadal znajdowała się stacja Pięćdziesięciu Słońc. Włosy mu siwiały, był bardzo stary, przypominała sobie, bardzo stary. Zbliżając się do niego pomyślała: Wolniej bije puls życia w tych ludziach obserwujących wielkie burze kosmosu. Mają poczucie błahości tego wszystkiego, nieskończoności czaru. Burze wymagające stulecia i więcej na osiągnięcie pełnej rozhukanej dojrzałości, te burze i ludzie, którzy je katalogują, muszą osiągnąć pewną wspólnotę ducha. W jego głosie był również spokojny majestat, gdy skłonił się ze swoistym wdziękiem i powiedział:

- Zaszczyt to dla mnie widzieć we własnej osobie pierwszego kapitana, Wielce Czcigodną Głorię Cecylię, Lady Laurr z Wysoko Urodzonych Laurrów.

Odwzajemniwszy powitanie nastawiła przyniesioną taśmę. Wysłuchał jej z marszem na czole, w końcu rzekł:

- Szerokość, jaką podał dla burzy, nie ma najmniejszego znaczenia. Te niewiarygodne istoty opracowały dla Wielkiego Obłoku Magellana system relacji do słońca bez widocznego związku ze środkiem magnetycznym całego Obłoku. Pewnie wybrali jakieś słońce, arbitralnie przyjęli je za centrum i wokół niego zbudowali całą swoją geografie przestrzenną.

Staruszek obrócił się energicznie i poprowadził ją na środek stacji, pod mapę pogody.

- Jest dla nas zupełnie bezużyteczna - powiedział krótko.

- Co?

Dostrzegła, że wpatruje się w nią z zadumą w porcelanowo niebieskich oczach.

- Proszę powiedzieć, co pani sądzi o tej mapie?

Milczała ociągając się z wyrażeniem opinii w obliczu tak ścisłego umysłu. Zmarszczyła czoło, wreszcie odezwała się:

- Moje wrażenie pokrywa się prawie całkowicie z tym, co pan powiedział. Oni mają własny system i trzeba tylko znaleźć klucz do niego. - Jej głos nabrał pewności. - Wszystkie nasze problemy, moim zdaniem, w praktyce sprowadzają się do znalezienia kierunku, w którym należy przeszukać przestrzeń w sąsiedztwie napotkanej stacji meteorologicznej. Gdy ruszymy w złą stronę, zmarnujemy mnóstwo czasu, a w całej tej historii najbardziej boję się burz.

Skończywszy spojrziała na niego pytająco i zobaczyła, że ponuro potrząsa głową.

- Obawiam się, że to nie takie proste. Te jasne punkty przedstawiające słońca są wielkością groszku tylko dzięki efektowi załamania światła. W metro-skopie widać, że mają średnicę zaledwie

kilku molekuł. Jeśli taka jest ich proporcja w stosunku do słońc...

Nauczyła się panować nad sobą w naprawdę trudnych sytuacjach. Teraz stała w oszołomieniu, na pozór opanowana, spokojna i zamyślona. Po chwili spytała:

- Chce pan powiedzieć, że każde z tych ich słońc jest zagubione wśród tysiąca innych?

- Jeszcze gorzej. Chcę powiedzieć, że zasiedlili tylko jeden system na dziesięć tysięcy. Nie zapominajmy, że Wielki Obłok Magellana to ponad pięćdziesiąt milionów gwiazd. Sporo słonecznego blasku. Jeśli pani sobie życzy, wyznaczę orbity do wszystkich najbliższych gwiazd dla prędkości najwyżej dziesięciu dni świetlnych. Może będziemy mieli szczęście - zakończył staruszek.

Zaprzeciła gwałtownie.

- Jeden do dziesięciu tysięcy. Proszę nie mówić głupstw. Tak się składa, że znam nieco rachunek prawdopodobieństwa. Musielibyśmy odwiedzić przynajmniej dwa tysiące pięćset słońc, jeśli się nam poszczęści; trzydzieści pięć do pięćdziesięciu tysięcy, jeśli nie. Wykluczone - ponury grymas ściągnął jej dziewczęce usta. - Nie będziemy marnować pięciuset lat na szukanie igły w stogu siana. Zaufam psychologii przed oddaniem sprawy w ręce losu. Mamy człowieka, który umie czytać tę mapę, i chociaż to trochę potrwa, w końcu wyśpiewa wszystko.

Zatrzymała się w połowie kroku do wyjścia.

- A co z samym budynkiem? Czy mówi coś panu jego konstrukcja? Kiwnął głową.

- Typowy dla galaktyki sprzed jakichś piętnastu tysięcy lat,

- Bez zmian, żadnego postępu?

- Nic takiego nie widzę. Jeden obserwator. Robi wszystko. Proste, prymitywne.

Zamyślona, poruszała głową, jakby chciała rozpędzić mgłę.

- To dziwne. Przez piętnaście tysięcy lat musieli przecież coś zrobić. Kolonie są na ogół statyczne, ale żeby aż tak...

Trzy godziny później czytała bieżące raporty, gdy dzwonek astrowizjera odezwał się dwukrotnie, cicho. Dwie wiadomości... Pierwsza z Ośrodka Psychologii. Pytanie:

- Czy możemy złamać wolę więźnia?

- Nie! - odparła pierwszy kapitan Laurr. Drugie pytanie zmusiło ją do rzucenia okiem na tablicę orbit. Tablica rozjarzyła się symbolami. Ten perfidny starzec zlekceważył jej zakaz. Uśmiechając się krzywo podeszła bliżej i obejrzała świetliste zygzaki, po czym przekazała rozkaz do głównych silników. Patrzyła, jak jej ogromny statek nurkuje w mrok nocy. W końcu nie ona pierwsza chwyciła dwie sroki za ogon. Kontrapunkt istniał dłużej w stosunkach między ludźmi niż w muzyce.

Pierwszego dnia spoglądała z góry na skrajną planetę jasnoblękitnego słońca. Planeta żeglowała w ciemnościach pod statkiem - pozbawiona atmosfery masa skały i metalu, monotonna i odpychająca jak każdy meteoryt, świat pierwotnych gór i wąwozów, nie skażonych życiodajnym zaczynem. Promienie pokazywały tylko kamień, kamień i kamień bez końca, żadnego ruchu, ani nawet jego śladów. Były jeszcze trzy planety, ciepły, zieleniejący świat na jednej z nich, gdzie dziewicze lasy falowały pod tchnieniem wiatru, a równiny roiły się od zwierząt. Żadnego budynku czy sylwetki ludzkiej.

- Na jaką dokładnie głębokość wasze promienie przenikają pod powierzchnię? - powiedziała posępnie do wewnętrznego komunikatora.

- Sto stóp.

- Czy są jakieś metale stwarzające złudzenie stu stóp gruntu?

- Kilka, o pani.

Rozczarowana przerwała połączenie. Tego dnia Ośrodek Psychologii się nie odzywał.

Nazajutrz przed jej zniecierpliwionym wzrokiem pojawiło się gigantyczne czerwone słońce.

Wokół masywnego rodzica krążyły po ogromnych orbitach dziewięćdziesiąt cztery planety. Dwie nadawały się do zasiedlenia, ale i na nich podziwiała wspaniałą florę i zwierzęta spotykane zazwyczaj na planetach nie tkniętych ludzką dłonią i metalem cywilizacji. Główny zoolog potwierdził to skrupulatnie.

- Procent zwierząt odpowiada średniej dla światów nie zamieszkałych przez inteligentne istoty.

- Czy przyszło panu do głowy, że może ich prawo chroni zwierzęta i zabrania uprawy ziemi nawet dla przyjemności?

Nie otrzymała odpowiedzi, której się zresztą nie spodziewała. I znów ani słowa od porucznik Neslor.

Trzecie słońce znajdowało się dalej. Podniosła prędkość do dwudziestu dni świetlnych na minutę - i otrzymała bolesną nauczkę, gdy statek wleciał w niewielką burzę. Musiała być niewielka, bo drżenie metalu ustało, zaledwie się zaczęło.

- Podobno się mówi - powiedziała później do trzydziestu kapitanów obecnych na naradzie dowódców - że mamy wrócić do galaktyki i prosić o wysłanie nowej ekspedycji, która by znalazła tych przyczajonych szakali. Jeden z najbardziej skamlących głosów, jaki dotarł do mych uszu, sugerował, że dokonaliśmy naszego odkrycia w drodze do domu, d że po dziesięciu latach spędzonych w Obłoku mamy w końcu prawo do odpoczynku. - Jej szare oczy ciskały błyskawice, głos był lodowaty. - Zapewniam was, że nie ci, którzy szerzą taki pesymizm, będą osobiście składać raport o niepowodzeniu rządowi Jej Wysokości. Przeto pragnę oświadczyć podupadłym na duchu i piecuchom, że zostaniemy tu przez następne dziesięć lat, jeśli będzie trzeba. Proszę powtórzyć oficerom i załodze, by się na to przygotowali. To wszystko.

Po powrocie na pomost dowodzenia ponownie nie zastała wiadomości z Ośrodka Psychologii. Złość

1 zniecierpliwienie jeszcze w niej nie wygasły, gdy wykręcała numer. Opanowała się jednak na widok uważnej, bystrej twarzy porucznik Neslor na ekranie.

- Co się dzieje, poruczniku? - zapytała. - Czekam z niecierpliwością na dalsze informacje o jeńcu. Psycholog pokręciła głową.

- Nie ma nic nowego.

- Nic! - rzuciła szorstko, zaskoczona.

- Prosiłam dwukrotnie - padła odpowiedź - o pozwolenie na złamanie jego woli. Pani chyba wie, że bez powodu nie proponowałabym tak drastycznych metod.

- Och!

Wiedziała, lecz dezaprobatą ludzi w kraju, konieczność tłumaczenia się z każdego amoralnego aktu przeciwko jednostce automatycznie spowodowały odmowę. Obecnie... Zanim zdążyła się odezwać, psycholog zabrała głos.

- Podjęłam próby uwarunkowania go podczas snu, kładąc nacisk na bezsensowność oporu przeciwko Ziemi, skoro ostateczne wykrycie jest nieuchronne. Lecz to go tylko utwierdziło w przekonaniu, że jego wcześniejsze wyznania nie przyniosły nam pożytku.

Pierwszy kapitan odzyskała inicjatywę.

- Czy należy rozumieć, poruczniku, że rzeczywiście nie macie do zaproponowania nic innego, jak tylko przemoc? Gwałt?

Głowa w astrowizjerze wykonała przeczący ruch.

- Opór równy ilorazowi inteligencji 800 w mózgu o ilorazie 167 - powiedziała psycholog po prostu - jest dla mnie czymś nowym.

Lady Gloria czuła rosnące zdumienie.

- Nie mogę tego pojąć - powiedziała z pretensją w głosie. - Wiem, że przegapiliśmy coś ważnego. No bo tak: wpadamy na stację meteorologiczną w systemie pięćdziesięciu milionów słońc i zastajemy tam istotę ludzką, która wbrew wszelkim regułom instynktu samozachowawczego natychmiast pozbawia się życia, aby nie wpaść w nasze ręce. Sama stacja to stary galaktyczny gręt, zachowany przez piętnaście tysięcy lat jak muzeum, a przecież tak ogromny upływ czasu, kaliber umysłów, z jakimi mamy do czynienia - wszystko to wskazuje, że coś musiało ulec zmianie. A imię tego człowieka - Czatownik - jakie typowe dla pradawnego, datującego się jeszcze sprzed okresu podróży kosmicznych, zwyczaju ziemskiego nadawania imion według profesji. Niewykluczone, że nawet obserwacja tego słońca przechodzi w jego rodzinie z ojca na syna. Jest coś... przygnębiającego... gdzieś tutaj, coś... - Zasepiła de. - Więc co proponujesz? - Po chwili skinęła głową. - Tak... doskonale, sprowadźcie go do którejś sypialni przy pomocy dowodzenia. I mowy nie ma, żeby podstawić za mnie jedną z twoich strażniczek. Sama zrobię wszystko, co trzeba. Do jutra. Doskonale.

Nieruchomo wpatrywała się w wizerunek więźnia w astrowizjerze. Mężczyzna - Czatownik - leżał na łóżku prawie bezwładny, z zamkniętymi powiekami, lecz z dziwnym napięciem w twarzy. Wygląda - pomyślała - jak ślepiec właśnie odkrywający, że wraca mu wzrok, że więzy założone na niego przez niewidzialną siłę po raz pierwszy od czterech dni opadły.

Psycholog syknęła u jej boku:

- Nadal nie dowierza, że więzy opadły, i zapewne nie ruszy się, dopóki choć trochę nie uspokoi pani jego umysłu. Jego reakcje będą coraz wyraźniej koncentrowały się wokół jednego celu: zniszczyć statek. Z każdą minutą coraz silniej, obsesyjnie, będzie wierzył, że ma jedną jedyną szansę i że musi działać bezwzględnie, nie oglądając się na nic. Nadzwyczaj subtelnie warunkowałam go do tego przez ostatnie dziesięć godzin. Zaraz pani zobaczy... aach!

Czatownik siedział na łóżku. Wystawił stopę spod kołdry, zsunął się na podłogę i stanął na nogach. Z jego ruchów emanowała niezwykła siła. Stał tak przez chwilę - wysoka postać w szarej piżamie. Z pewnością obmyślał swój pierwszy krok, bo rzuciwszy szybkie spojrzenie w stronę drzwi, skierował się do rzędu szuflad w jednej ze ścian, pociągnął za pierwszą lepszą na próbę, po czym bez najmniejszego wysiłku zaczął je wrywać po kolei, jedną za drugą, wyłamując zamki jak zapałki. Jej własne westchnienie stanowiło ledwie cień dźwięku wydanego przez porucznik Neslor.

- Jezus Maria! - wyszeptała psycholog do wtóru. - Proszę nie pytać mnie, jak on to robi. Siła musi stanowić uboczny efekt jego deliańskiej edukacji. Szlachetna pani... - Z trudem tłumiała podniecenie. Pierwszy kapitan spojrziała na nią.

- Słucham?

- Czy w tej sytuacji powinna pani osobiście brać udział w jego poskramianiu? Jest bezspornie tak silny, że bez trudu rozszarpie każdego na pokładzie...

Wielce czcigodna Gloria Cecylia przerwała jej władczy gestem.

- Nie mogę ryzykować, że jakiś dureń coś popsuje. Wezmę przeciwbólową pigułkę. Daj znak, kiedy mam wejść.

Czatownik odczuwał wewnętrzny chłód i napięcie, wkraczając do sterowni na pomoście dowodzenia. W jednej z szuflad odnalazł swoje ubranie. Nie wiedział, że tam będzie, lecz szuflady obudziły jego ciekawość. Sprężył się deliańskim sposobem i zamki ustąpiły z trzaskiem pod jego supersiłą. Stojąc w progu obrzucił spojrzeniem ogromne, przykryte kopułą pomieszczenie. I po chwili przerażony, że on i jego rodacy są zgubieni, doznał nowego przyływu, nadziei. Był faktycznie wolny. Ci ludzie nie mogą w najlżejszym stopniu podejrzewać prawdy. Na Ziemi musiano dawno zapomnieć, kim był wielki geniusz, Joseph M. Dell. Jasne, że mają jakiś cel w uwolnieniu swojego

jeńca, ale... Śmierć - pomyślał okrutnie - śmierć im wszystkim, taka śmierć, jaką zadawali ongiś i nie zawahaliby się zadawać dziś.

Pochylony nad klawiaturą przyrządów kontrolnych, dostrzegł kątem oka kobietę wyłaniającą się z pobliskiej ściany. Wyprostował się i rozpoznał ją z dużą radością: dowódca. Pod osłoną miotaczy energii, rzecz jasna, ale skąd mieli wiedzieć, że przez cały ten czas zastanawiał się gorączkowo, jak ich zmusić do użycia broni. Był pewny, jak otaczającego wszechświata, że nie są zdolni do ponownego złożenia cząstek, z których się składał. Samo to, że go uwolnili, wskazywało na psychologiczną zagrywkę. Zanim zdążył coś powiedzieć, kobieta odezwała się z uśmiechem:

- Naprawdę nie powinnam pozwolić ci na badanie tych urządzeń. Ale postanowiliśmy zmienić stosunek do ciebie. Swoboda na statku, spotkanie z członkami załogi. Pragniemy przekonać cię... przekonać, że...

Coś z jego nieprzejednania i nienawiści musiało do niej dotrzeć. Zająknęła się, otrząsnęła z widocznym poirytowaniem i przybierając promienny uśmiech, podjęła tonem perswazji:

- Chcemy, żebyś zrozumiał, że nie jesteśmy wilkołakami. Abyś pozbył się wreszcie obawy, że stanowimy zagrożenie dla twoich ziomków. Musisz sobie zdawać sprawę, że teraz, gdy już wiemy o waszym istnieniu, odnalezienie was jest tylko sprawą czasu. Ziemia nie jest okrutna i nie dąży do panowania nad światem, przynajmniej już nie teraz. Wymaga minimum uczciwego współdziałania, a i to tylko w imię poczucia wspólnoty, niepodzielności kosmosu. Musi obowiązywać jednolite prawo karne i wysoka płaca minimalna dla robotników. Wszelkiego rodzaju wojny są absolutnie zakazane. Oprócz tego każda planeta czy ich związek może posiadać swoją własną formę rządów, handlować z kim zechce, żyć na swój sposób. Chyba nie ma w tym nic tak okropnego, co by tłumaczyło twoje dziwaczne samobójstwo w chwili wykrycia obserwatorium.

Najpierw - myślał - rozwali jej łeb. Najlepiej będzie złapać ją za nogi i roztrzaskać o metalową ścianę lub posadzkę. Kości pójdą z łatwością i po pierwsze będzie to stanowiło przerażające, skuteczne ostrzeżenie dla oficerów statku, a po drugie ściągnię na niego śmiertelną salwę jej ochrony. W tej ostatniej odśłonie zbyt późno rozumieją, że tylko ogień może go zatrzymać. Zrobił krok w jej kierunku i zaczął niepostrzeżenie napinać mięśnie i nerwy - konieczny wstęp do wypełnienia deliańskiego ciała nadludzką mocą.

Kobieta mówiła:

- Jak oznajmiłeś, zaludniliście Pięćdziesiąt Słońc. Dlaczego tylko tyle? Przez dwanaście tysięcy czy więcej lat populacja licząca dwanaście trylionów byłaby czymś bardziej naturalnym.

Następny krok. Jeszcze jeden. Wiedział, że teraz musi się odezwać, jeśli nie chce obudzić jej podejrzeń w tych decydujących sekundach, gdy zbliżał się cal po calu.

- Prawie dwie trzecie naszych małżeństw jest bezdzietnych. Tak się niefortunnie złożyło, ale - jak by to powiedzieć - są nas dwa rodzaje i chociaż mieszane małżeństwa są na porządku dziennym...

Był prawie u celu. Usłyszał jej głos.

- Chcesz powiedzieć, że powstała mutacja i że mutanty nie mogą się krzyżować?

Nie musiał na to pytanie odpowiadać. Dzieliło ich dziesięć stóp i Czatownik rzucił się na nią jak tygrys.

Pierwsza wiązka promieni przecięła jego ciało zbyt nisko, aby go zabić, lecz wywołała palące mdłości i ołowianą ociężałość. Dotarł do niego jej krzyk.

- Poruczniku Neslor, co to znaczy?

Ale już ją miał. Jego palce zacisnęły się mocno na ramieniu, którym próbowała się osłonić, gdy druga salwa trafiła go wysoko w żebra. Krwawa piana zatkała mu usta. Czuł, jak wbrew jego woli dłoń ześlizguje mu się z ramienia kobiety. O kosmosie, jakżeż pragnął zabrać ją ze sobą do królestwa

śmierci. Usłyszał jej głos jeszcze raz.

- Poruczniku Neslor, oszalałaś? Wstrzymać ogień!

Nim trzecia wiązka promieni wdarła się w jego ciało, ogarnął go ostatni, wszechpotężny, przyływ szydziej refleksji. Nadal niczego nie podejrzewa. Za to ktoś inny już wie. Ktoś, kto w tym ostatecznym momencie domyślił się prawdy. Za późno - pomyślał - spóźniliście się, głupcy! Szukajcie sobie. Otrzymali ostrzeżenie, mieli czas ukryć się jeszcze lepiej. A Pięćdziesiąt Słońce rozsypane, rozsiane wśród miliona gwiazd, wśród...

Śmierć przerwała tok jego myśli.

Kobieta pozbiierała się z podłogi jak pijana, walcząc z otępieniem. Niejasno uprzytomniała sobie, że porucznik Neslor przechodzi przez transmiter, zatrzymuje się nad ciałem Czatownika Gisser, po czym biegnie ku niej.

- Nic ci nie jest, kochanie? Tak ciężko strzelać przez astrowizjer, a ...

- Ty szalona kobieto! - pierwszy kapitan odzyskała oddech. - Czy zdajesz sobie sprawę, że nie da się ciała przywrócić do życia, gdy raz ogień zniszczy podstawowe narządy? Ta jedna jedyna metoda jest nieodwracalna. Będziemy musieli wracać do domu bez... - Zamilkła. Dostrzegła, że psycholog wpatruje się w nią uporczywie. Porucznik Neslor otworzyła usta.

- Jego agresywne zamiary nie ulegały wątpliwości, i to wszystko było zbyt szybkie według moich aparatów. Przez cały ten czas jego zachowanie w ogóle nie pasowało do zasad ludzkiej psychologii. W ostatniej sekundzie przypomniałam sobie Josepha Delia i masakrę jego nadludzi sprzed piętnastu tysięcy lat. Nie do wiary, że niektórym udało się umknąć i założyć cywilizację w tym odległym zakątku przestrzeni. Teraz pani rozumie: delianin - Joseph M. Dell - konstruktor doskonałego deliańskiego robota.

I

Uliczny głośnik obudził się z trzaskiem do życia. Rozległ się donośny męski głos.

Uwaga, obywatele planet Pięćdziesięciu Słońc. Tu ziemski okręt wojenny „Gwiezdny Rój”. Za chwilę przemówi do was Wielce Czcigodna Gloria Cecylia, Lady Laurr z Wysoko Urodzonych Laurrów, pierwszy kapitan „Gwiezdnego Roju”.

Przy pierwszych słowach z megafonu Maltby zatrzymał się w drodze do taksówki powietrznej. Zauważył, że przechodnie również stanęli. Nie znał planety Lant. Jej stolica, po gęsto zaludnionej Cassidor, na której znajdowała się główna baza floty powietrznej Pięćdziesięciu Słońc, oczarowała go wiejskim charakterem. Jego statek wylądował poprzedniego dnia, zgodnie z ogólnym zaleceniem nakazującym wszystkim statkom wojennym schronić się bezzwłocznie na najbliższych zamieszkałych planetach. Było to zarządzenie powszechnego pogotowia, wyraźnie podszyte paniką. Z tego, co słyszał w mesie oficerskiej, wynikało niezbicie, że śmiało to zwiątek ze statkiem z Ziemi, którego transmisję radiową nadawano w tej chwili przez system powszechnego alarmu.

Męski głos oznajmił z namaszczeniem:

- A oto lady Laurr.

Zaraz potem rozległ się czysty, pewny, srebrzysty głos młodej kobiety:

- Mieszkańcy Pięćdziesięciu Słońc, wiemy, że tam jesteście. Od kilku lat mój statek „Gwiezdny Rój” penetrował Wielki Obłok Magellana. Zupełnie przypadkowo natknęliśmy się na jedną z waszych stacji meteorologicznych i schwytaliśmy jej operatora. Zanim pozbawił się życia, wyjawiał, że gdzieś w tym skupisku około stu milionów gwiazd znajduje się pięćdziesiąt zamieszkałych systemów słonecznych, razem siedemdziesiąt planet, na których żyją istoty ludzkie. Zamierzamy was odnaleźć, chociaż na pierwszy rzut oka można sądzić, że przerasta to nasze możliwości. Z czysto technicznego punktu widzenia wydaje się, że trudno odnaleźć pięćdziesiąt słońc wśród stu milionów gwiazd. Ale obmyśliliśmy rozwiązanie tego problemu, które jest po części tylko techniczne. Słuchajcie teraz uważnie, obywatele Pięćdziesięciu Słońc. Wiemy, kim jesteście: deliańskimi i niedeliańskimi robotami, tak zwanymi robotami, bo naprawdę w gruncie rzeczy istotami ludzkimi z krwi i kości. Przeglądając nasze annały historyczne wyczytaliśmy o bezsensownych rozruchach, które miały miejsce piętnaście tysięcy lat temu i ,które przeraziły was, zmuszając do opuszczenia głównej galaktyki i szukania azylu z dala od cywilizacji ludzkiej. Piętnaście tysięcy lat to szmat czasu. Ludzie zmienili się. Takie przykre wydarzenia, jakich doświadczyli wasi przodkowie, nie mogą się więcej powtórzyć. Mówię to, aby uspokoić wasze obawy. Bo musicie powrócić do macierzy. Musicie przyłączyć się do ziemskiej wspólnoty galaktycznej, podporządkować pewnemu minimum zasad oraz otworzyć międzygwiazdne porty handlowe. Wiedząc, że macie szczególne powody, by ukrywać się przed nami, daję wam jeden tydzień syderalny na wyjawienie położenia waszych planet. W tym czasie nie podejmiemy żadnych akcji. Po tym okresie pożałujecie każdego syderalnego dnia, jaki upłynie bez nawiązania z nami kontaktu. Jednego możecie być pewni: znajdziemy was. I to szybko! - Głośnik ucichł, jakby czekając, aż znaczenie tych słów dotrze do słuchaczy.

- Tylko jeden statek - odezwał się jakiś mężczyzna tuż przy Maltbym. - Czego się boimy? Zniszczyć go, zanim powróci do galaktyki i doniesie o naszym istnieniu.

Głos kobiecie wyraził zaniepokojenie.

- Czy ona mówi prawdę, czy tylko bluffuje? Naprawdę wierzy w to, że mogą nas znaleźć?

- Bzdury - odburknął inny mężczyzna. - Stary problem igły w stogu siana, tyle że jeszcze paskudniejszy.

Maltby milczał, lecz przychylił się do jego zdania. Wydawało mu się, że pierwszy kapitan

ziemskiego statku pani Laurr, błądzi w najczarniejszej ciemności, jaka kiedykolwiek spowijała cywilizację. Z głośnika ponownie popłynął głos Wielce Czcigodnej Glorii Cecylii.

- Aby wykluczyć odmienność pomiaru czasu, wyjaśniam, że dzień syderalny składa się z dwudziestu godzin po sto minut każda. Minuta ma tysiąc sekund i w czasie tej sekundy światło przebywa dokładnie sto tysięcy mil. Nasz dzień jest nieco dłuższy od stosowanego dawniej, tamta minuta składała się z sześćdziesięciu sekund, a prędkość światła wynosiła przeszło 186300 mil. Dostosujcie się do nas. Od dziś za tydzień usłyszycie mnie ponownie.

Nastąpiła przerwa. Po chwili spiker, ten sam, który zapowiedział kobietę, przerwał ciszę.

- Obywatele Pięćdziesięciu Słońc, właśnie otrzymaliśmy nagraną na taśmę wiadomość. Nadeszła godzinę temu i podaliśmy ją do ogólnej wiadomości na polecenie Rady Pięćdziesięciu Słońc, zgodnie z jej wolą informowania ludności na bieżąco o wszystkich aspektach tego najpoważniejszego niebezpieczeństwa, z jakim nigdy dotąd nie mieliśmy do czynienia. Wracajcie w spokoju do swych codziennych spraw, a my zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Powiadomimy was, gdy tylko zajdzie coś nowego. To wszystko jak na razie.

Maltby ruchem ręki ściągnął taksówkę na ziemię. Za ledwie spoczął wygodnie w fotelu, gdy na sąsiednie miejsce przysiadła się nieznajoma kobieta. Zignorował ledwo wyczuwalne wrażenie, że przyciąga ona jego myśli. Żrenice rozszerzyły mu się nieznacznie, lecz nie dał poznać po sobie niczego. Umysł kobiety szukał kontaktu z jego umysłem. Po chwili powiedziała:

- Słyszałeś?

- Tak.

- Co o tym sądzisz?

- Ta kobieta jest bardzo pewna siebie.

- Czy zwróciłeś uwagę, że zaliczyła nas wszystkich z Pięćdziesięciu Słońc do Delian i robotów niedeliańskich?

Nie zdziwiło go, że i ona to zauważyła. Ziemianie nie mieli pojęcia, że Pięćdziesiąt Słońc zamieszkiwała jeszcze trzecia rasa - Mieszkańcy. Przez tysiące lat od czasu wielkiej migracji małżeństwa Delian z Niedelianami nie miały dzieci. Wreszcie, dzięki metodzie, znanej jako proces oziębionego ciśnienia, stało się to możliwe. Narodził się tak zwany Mieszaniec z dwoistym mózgiem o deliańskiej sile fizycznej i niedeliańskich zdolnościach twórczych. Oba umysły Mieszkańca, odpowiednio zestrojone, mogły zapanować nad każdym osobnikiem posiadającym normalny mózg. Maltby był Mieszkańcem. Podobnie jak jego sąsiadka, co natychmiast rozpoznał po tym, jak błyskawicznie pobudziła jego umysł. Była między nimi drobna różnica: on posiadał legalny status na Lant i pozostałych planetach Pięćdziesięciu Słońc, ona nie. Schwytej, groziło więzienie lub śmierć.

- Tropiliśmy cię - usłyszał - od chwili, gdy do naszej kwatery głównej dotarła wiadomość o tej historii, to jest ponad godzinę temu. Co mamy, według ciebie, robić?

Maltby zawahał się. Ciężko mu było w roli dziedzicznego wodza Mieszkańców, jemu - kapitanowi floty kosmicznej Pięćdziesięciu Słońc. Dwadzieścia lat temu Mieszkańcy podjęli próbę zbrojnego przejęcia władzy nad Pięćdziesięcioma Słońcami. Próba zakończyła się całkowitą klęską i wyjęciem ich spod prawa. Maltby'ego, wówczas małego chłopca, pojmał patrol strony deliańskiej. Wychowała go flota. Stanowił eksperyment. Uznano, że należy jakoś rozwiązać problem Mieszkańców. Nie szczędzono wysiłków, aby wpoić w niego lojalność dla Pięćdziesięciu Słońc jako całości, co się udało w znacznym stopniu. O jednym jego nauczyciele nie mieli pojęcia: że mają w swoich rękach tytułarnego wodza Mieszkańców. W umyśle Maltby'ego zrodził się konflikt, którego nie potrafił rozwiązać do tej pory. Przemówił z ociąganiem:

- Wydaje mi się, że powinniśmy automatycznie trzymać się grupy, iść ręką w rękę z Delianami i

Niedelianami. W końcu my też należymy do Pięćdziesięciu Słońc.

- Mówi się już, że moglibyśmy odnieść korzyści ujawniając położenie którejś z planet.

Na moment doznał szoku, pomimo swego nawyku dwuwartościowania. Mimo wszystko wiedział, co ona ma na myśli. Sytuacja kipiała od możliwości. Zdaje się, że intryganctwo nie leży w mojej naturze - pomyślał z goryczą. Uspokoił się, uporządkował myśli, poczuł się na siłach obiektywnie przedyskutować sprawę.

- Jeśli Ziemia odnajdzie naszą cywilizację i uzna jej rząd, wtedy wszystko zostanie po staremu. Obojętne, co byśmy planowali zmienić na naszą korzyść.

Szczupła blondynka uśmiechnęła się ponuro, z bezlitosnym błyskiem w błękitnych oczach.

- Gdybyśmy ich wydali, można by postawić warunek, że od tej chwili otrzymamy jednakowe prawa. To właściwie wszystko, czego chcemy.

- Wszystko? - Maltby wiedział lepiej, czego chcieli Mieszańcy, i świadomość tego nie sprawiała mu przyjemności. - O ile dobrze pamiętam, rozpoczęta przez nas wojna miała chyba nieco inne cele.

- No i co fe tego? - odezwała się prowokacyjnie. - Kto ma większe prawa do zajęcia dominującej pozycji? Pod względem psychicznym stoimy wyżej od Delian i Niedelian. Z tego, co wiemy, pewnie jesteśmy jedyną superrasą w tej galaktyce.

Z podniecenia zgubiła wątek.

- Ci ludzie z Ziemi nigdy nie spotkali Mieszańców. Gdybyśmy przez zaskoczenie wprowadzili dostateczną liczbę naszych na pokład ich statku, moglibyśmy zdobyć nową decydującą broń. Rozumiesz?

Maltby rozumiał wiele rzeczy, łącznie z faktem, że pobożne życzenia odgrywały niemałą rolę w tym wszystkim.

- Moja droga - odparł - jest nas mało. Nasze powstanie przeciwko rządowi Pięćdziesięciu Słońc upadło pomimo momentu zaskoczenia i początkowych związanych z nim sukcesów. Możliwe, że potrafilibyśmy dokonać tego wszystkiego mając czas. Lecz nasze idee przewyższają naszą liczebność.

- Hunston uważa, że należy działać w chwilach krytycznych.

- Hunston? - wyrwało się Maltby'emu mimo woli. Zamilkł. Czuł się niczym wobec barwnej postaci Hunstona, który nie prosił, lecz twardo żądał. Do Maltby'ego należało niewdzięczne zadanie: utrzymywać w ryzach młodych zajadłych zapaleńców. Poprzez swoich zwolenników, ludzi na ogół starszych, przyjaciół nieżyjącego ojca, nie mógł robić nic innego, jak tylko doradzać ostrożność. Nie przysporzyło mu to popularności. Hunston był drugą postacią w hierarchii władzy u Mieszańców. Jego dynamiczny program „działać od zaraz” przemawiał do wyobraźni młodszych ludzi, którzy katastrofę poprzedniej generacji znali jedynie ze słyszenia. Przywódcy popełniali błędy. My ich nie powtórzymy. Taki był ich stosunek do tej sprawy.

Sam Maltby nie pragnął władzy nad Pięćdziesięcioma Słońcami. Od lat zadawał sobie pytanie, jak skierować ambicje Mieszańców na mniej wojownicze tory. Jak dotąd, bezskutecznie biedził się nad odpowiedzią.

Powiedział dobitnie, nie śpiesząc się:

- W obliczu zagrożenia trzeba zewrzeć szeregi. Czy nam się podoba, czy nie, należymy do Pięćdziesięciu Słońc. Może i warto zdradzić Ziemi tę cywilizację, ale nie nam decydować o tym w godzinę od momentu, jak trafiła się okazja. Przekaż ukrytym miastom, że żądam trzech dni na dyskusję i swobodną krytykę. Czwartego dnia zrobimy głosowanie, którego przedmiotem będzie: zdradzić, czy nie zdradzić. To wszystko.

Zauważył kątem oka, że nie była zachwycona. Twarz jej nagle spochmurniała. W pozie widział tłumioną irytację.

- Moja droga - dodał łagodniej - czyżby twój światopogląd dopuszczał lekceważenie woli większości?

Po tej uwadze dostrzegł zmianą wyrazu jej twarzy i wiedział, że ożywił w jej umyśle odwieczną, demokratyczną rozterkę. Sekret jego wielkiej władzy nad tymi wszystkimi ludźmi polegał właśnie na tym. Rada Mieszkańców, której przewodniczył, we wszystkich ważniejszych sprawach zwracała się bezpośrednio do społeczności. Czas potwierdził, że głosowanie rozbudza w ludziach zachowawcze instynkty. Zacierzewieni osobnicy, miesiącami gardłujący za koniecznością podjęcia natychmiastowych kroków, stają się w obliczu tajnego głosowania ostrożni. Wiele groźnych burz politycznych rozwiało się nad urną.

Kobieta, milcząca od dłuższego czasu, teraz odezwała się cedząc słowa.

- W ciągu czterech dni ktoś inny może podjąć decyzję i zostaniemy na lodzie. Hunston jest zdania, że w przełomowym momencie rząd powinien działać bez zwłoki. Potem przyjdzie czas na pytanie ludzi, czy jego decyzja była prawidłowa.

Przynajmniej na to Maltby miał gotową odpowiedź.

- Chodzi o losy całej cywilizacji. Czy jednostka lub mała grupka ma prawo postawić na jedną kartę życie kilkuset tysięcy własnych ludzi, a tym samym losy szesnastu miliardów obywateli Pięćdziesięciu Słońc? Moim zdaniem nie. Ale ja już tutaj wysiadam. Powodzenia.

Wstał i nie oglądając się za siebie zszedł na ziemię. Ruszył w stronę stalowego ogrodzenia, za którym znajdowała się jedna z niewielkich baz, jakie siły wojskowe Pięćdziesięciu Słońc utrzymywały na planecie Lant. Wartownik skrzywił się sprawdzając jego dokumenty, po czym zakomunikował oficjalnym tonem:

- Kapitanie, mam rozkaz odprowadzić was do budynku Kongresu, na zebranie lokalnego samorządu i dowództwa wojskowego. Czy pójdzie pan bez oporu?

Maltby nie mrugnął nawet okiem.

- Oczywiście.

Za minutę leciał do miasta. Klamka jeszcze nie zapadła. W każdej chwili mógł w określony sposób skoncentrować swoje obydwie umysły i podporządkować sobie wartownika, a następnie pilota pojazdu wojskowego. Zdecydował się niczego takiego nie robić. Przyszło mu do głowy, że konferencja rządowa nie zagraża bezpośrednio kapitanowi Peterowi Maltby. Co więcej, kapitan miał prawo oczekiwać, że się czegoś dowie.

Niewielki stateczek wylądował na dziedzińcu między dwoma okrytymi bluszczem budynkami. Przez drzwi i szeroki, jasno oświetlony korytarz wprowadzono Maltby'ego do pokoju ze stołem konferencyjnym, otoczonym przez jakichś dwudziestu mężczyzn. Najwidoczniej zapowiedziano jego przybycie, ponieważ panowała głucha cisza. Jednym spojrzeniem zlustrował szereg zwróconych ku sobie twarzy. Dwie znał dobrze. Ich właściciele nosili mundury wyższych oficerów floty. Obaj skinęli na powitanie. Potwierdził znajomość dwukrotnym skłonem głowy.

Z nikim więcej, nawet z czterema pozostałymi wojskowymi, nie spotkał się twarzą w twarz do tej pory. Rozpoznawał kilku członków rządu i paru miejscowych oficerów. Łatwo było odróżnić Delian od Niedelian. Pierwsi postawni i przystojni jak jeden mąż; silni. Drudzy nawet między sobą różnili się znacznie. Przysadzisty Niedelianin podniósł się z przeciwległego końca stołu, na wprost drzwi. Z fotografii prasowych Maltby poznał Andrewa Craiga, ministra lokalnego rządu.

- Panowie - zaczął Craig - będziemy szczerzy wobec kapitana Maltby'ego. Kapitanie - zwrócił się do niego - wiele mówiliśmy o zagrożeniu ze strony tak zwanego ziemskiego okrętu wojennego. Dowodząca nim kobieta wygłosiła niedawno komunikat, który prawdopodobnie do was dotarł.

Maltby skinął głową.

- Dotarł.

- To dobrze. Oto jak się przedstawia sytuacja. Właśnie już postanowiliśmy nie ujawnić się temu intruzowi, bez względu na oferowane korzyści. Kilka osób argumentowało, że skoro Ziemia dotarła już do Wielkiego Obłoku Magellana, znajdzie nas prędzej czy później. Lecz do tego czasu może upłynąć kilka tysięcy lat. Nasze stanowisko jest następujące: trzy mamy się razem i nie nawiązujemy kontaktu. W następnym dziesięcioleciu, niestety tyle to zajmie, będziemy w stanie wysłać ekspedycję do głównej galaktyki i zobaczyć, co się tam naprawdę dzieje. Potem zastanowimy się nad ostateczną decyzją w sprawie nawiązania stosunków. To chyba rozsądne podejście.

Urwał i wyczekująco wpatrywał się w Maltby'ego. Z jego zachowania przebijał niepokój.

- Bardzo rozsądne - Maltby odpowiedział równym głosem. Kilku obcym wyrwało się słyszalne westchnienie ulgi.

- Jednakże - mówił dalej - skąd macie pewność, że nikt nie wskaże naszego położenia przybyszom z Ziemi? Niektórzy, nawet pewne planety, mogą widzieć w tym własny interes.

- Doskonale zdajemy sobie z tego sprawę - odparł grubas. - Właśnie dlatego został pan zaproszony na nasze spotkanie.

Maltby nie miał pewności, czy rzeczywiście było to zaproszenie, lecz wstrzymał się od komentarza.

- Jesteśmy już w posiadaniu decyzji wszystkich lokalnych rządów Pięćdziesięciu Słońc. Jednomyślnie postanawiają pozostać w ukryciu. Ale wszyscy zdajemy sobie sprawę, że nasza jedność będzie pustym frazesem, dopóki nie uzyskamy podobnej gwarancji ze strony Mieszkańców.

Od pewnego czasu Maltby domyślał się, do czego zmierzają. Przyjął to za symptom kryzysu w stosunkach między Mieszkańcami a pozostałą ludnością Pięćdziesięciu Słońc. Nie miał wątpliwości, że dotyczyło to również jego osoby.

- Panowie - powiedział - domyślam się, że poprosicie mnie o pośrednictwo w pertraktacjach z Mieszkańcami. Jestem kapitanem sił zbrojnych Pięćdziesięciu Słońc. Wszelki kontakt tego rodzaju postawi mnie natychmiast w wysoce dwuznacznej sytuacji.

Wiceadmirał Dreehan, dowodzący okrętem wojennym „Atmion”, na którym Maltby pełnił funkcję zastępcy astrogatora i głównego meteorologa, odezwał się z ferworem:

- Kapitanie, może pan swobodnie przyjąć każdą przedstawioną tu propozycję. Nie obawiając się, że nie doceniamy trudności waszego położenia.

- Chciałbym - odezwał się Maltby - aby to zaprotokołowano, i proszę stenografować dalszy ciąg obrad.

Craig skinął na stenografów.

- Proszę notować.

- A więc przystąpmy do rzeczy - powiedział Maltby.

- Jak się pan domyślił, kapitanie - rozpoczął Craig - chcemy, aby przekazał pan nasze propozycje - spojrzał spode łba, wyraźnie zmuszając się do użycia słowa, które nadawało legalny charakter wyjętej spod prawa rasie - Zarządzającej Radzie Mieszkańców. Uważamy, że ma pan możliwości komunikowania się z nimi.

- Wiele lat temu - zgodził się Maltby - powiadomiłem swego dowódcę o dotarciu do mnie emisariuszy Mieszkańców oraz o tym, że na każdej z planet Pięćdziesięciu Słońc istnieją stałe urzędnicy do utrzymywania łączności. Postanowiono wtedy nie zwracać uwagi na te agencje, jako że z pewnością przeszłyby do podziemia na dobre, to znaczy nie powiadomiono by mnie o ich nowej lokalizacji. - W rzeczywistości decyzja, aby zawiadomić siły zbrojne Pięćdziesięciu Słońc o

istnieniu takiej sieci, zapadła w głosowaniu Mieszkańców.

Przeczuwano, że Maltby'ego i tak zaczną podejrzewać o kontakty, więc lepiej było się do nich przyznać. Spodziewano się, że Pięćdziesiąt Słońc nie będzie zatruwać życia agencjom, chyba że w wyjątkowej sytuacji. Plan był dobrze pomyślany, jak się okazało, lecz teraz sytuacja stawała się wyjątkowa.

- Szczerze mówiąc - podjął gruby polityk - jesteśmy przeświadczeni, że Mieszkańcy uznają ten stan rzeczy za wzmocnienie swojej pozycji przetargowej.

Miał na myśli polityczny szantaż, a to, że nie nazwał go po imieniu, stanowiło znaczący komentarz do sytuacji.

- Jestem upoważniony - mówił - do tego, aby zaproponować ograniczone prawa obywatelskie, prawo wstępu na niektóre planety, prawo ewentualnego zamieszkania w miastach, przy czyni co dziesięć lat wracać będziemy wspólnie do tej sprawy, już teraz zapewniając, że w zależności od postawy Mieszkańców w danym dziesięcioleciu, za każdym razem mogą liczyć na dalsze przywileje.

Zamilkł i Maltby ujrzał, że wszyscy wpatrują się w niego jakby z pełną napięcia skwapliwością.

- I co pan o tym sądzi? - przerwał ciszę Delianin.

Maltby westchnął. Przed pojawieniem się statku ziemskiego ta oferta byłaby nie do pogardzenia. Klasyczna historia ustępowania pod przymusem w momencie, gdy sytuacja wymyka się z rąk. Powiedział to nieagresywnie, z rzeczową bezstronnością. Nawet gdy mówił, rozważał w myśli warunki i wydawało mu się, że jest to sensowna i uczciwa propozycja. Znając ambicje Mieszkańców gotów był przyznać, że dalej idące ustępstwa byłyby równie niebezpieczne dla nich samych, jak i dla ich pokojowo usposobionych sąsiadów. Biorąc pod uwagę nie tak dawne wydarzenia, restrykcje i okresy próbne stanowiły zło konieczne. Przeto skłaniał się do poparcia ugody, nie tając jednocześnie, że w obecnej chwili trudno będzie zyskać dla niej zwolenników. Spokojnie przedstawił swoją opinię i zakończył:

- Musimy po prostu poczekać i zobaczymy, co będzie.

Po jego wystąpieniu zapadło milczenie. Wreszcie Niedelianin o topornej twarzy zauważył cierpko:

- A ja sądzę, że tylko tracimy czas na tę tchórzliwą grę. Chociaż Pięćdziesiąt Słońc żyło w pokoju przez długie lata, nadal mamy pod ręką ponad setkę statków bojowych, nie licząc gromady pomniejszych pojazdów. Gdzieś daleko stąd, w przestrzeni, znajduje się jeden ziemski okręt wojenny. Słuchajcie, wyślijmy flotę, niech go zniszczy! W ten sposób wyeliminujemy każdą istotą ludzką, jaka wie o naszym istnieniu. Upłynie pewnie dziesięć tysięcy lat, zanim przypadek sprawi, że znów nas wykryją.

- Mówiliśmy już o tym - zabrał głos wiceadmirał Dreehan. - To krok nierozważny, z bardzo prostej przyczyny: Ziemianie mogą posiadać nie znaną nam broń i zwyciężyć. Nie możemy ryzykować.

- Co mnie obchodzi, jaką broń posiada jeden statek - odparł ten sam mężczyzna nie tracąc rezonu. - Skoro flota spełni swój obowiązek, rozwiążemy wszystkie nasze kłopoty jednym zdecydowanym pociągnięciem.

- To ostateczny środek - odpowiedział Craig krótko i ponownie zwrócił się do Maltby'ego. - Może pan powiedzieć Mieszkańcom, gdy odrzucą naszą propozycję, że posiadamy dużą flotę. Innymi słowy, jeśli postanowią nas zdradzić, niech wiedzą, że mogą na tym nie zyskać. Możecie odejść, kapitanie.

II

Na pomoście dowodzenia ziemskiego okrętu wojennego „Gwiezdny Rój” jego dowódca, Wielce Czcigodna Gloria Cecylia, Lady Laurr z Wysoko Urodzonych Laurrów, siedziała przy biurku ze spojrzeniem wbitym w przestrzeń, rozważając swoją sytuację. Przed sobą miała wieloplanowy iluminator, nastawiony na pełną ostrość. Za nim tu i ówdzie czerń rozbłyskiwała gwiazdami. Przy zerowym powiększeniu migało ich zaledwie kilka, od czasu do czasu świetliste plamy wskazywały drogę ku skupiskom gwiazdnym. Z lewej strony widziała największą, najbardziej zamgloną poświatę centralnej galaktyki, w której Ziemia była tylko jedną z planet jednego z systemów, ziarnkiem piasku na kosmicznej pustyni. Ledwo to wszystko dostrzegała. Zmieniające się fragmenty tej samej fantastycznej scenerii od lat stanowiły tło jej życia. Uśmiechając się do właśnie podjętej decyzji, nacisnęła guzik. Na ekranie pojawiła się twarz mężczyzny. Nie bawiąc się w konwenanse, od razu przystąpiła do rzeczy.

- Doszły mnie słuchy, kapitanie, że z niezadowoleniem przyjęto nasze postanowienie, by odnaleźć cywilizację Pięćdziesięciu Słońc w Wielkim Obłoku Magellana.

Kapitan zmieszał się i zaczął ostrożnie:

- Ekscelencjo, rzeczywiście słyszałem, że pani decyzja podjęcia takich poszukiwań nie spotkała się ze szczególnym entuzjazmem.

Nie uszła jej uwagi zmiana sformułowania „nasze postanowienie” na „pani decyzję”. Słuchała dalej.

- Oczywiście nie mogę mówić w imieniu wszystkich członków załogi, jest ich przecież trzydzieści tysięcy.

- Oczywiście - zgodziła się. W jej głosie brzmiała ironia. Oficer udał, że tego nie słyszy.

- Ekscelencjo, chyba byłoby dobrze przeprowadzić powszechne głosowanie.

- Nonsens. Wszyscy będą głosować za powrotem do domu. Dziesięć lat w przestrzeni zrobiło z nich mazgajów. Małe mózdzki i żadnych celów przed sobą. Kapitanie - głos miała łagodny, lecz w jej oczach zabłysło światło - w twoim tonie i zachowaniu wyczuwam pewną solidarność z tym... tym niepoważnym instynktem stadnym. Najstarsza zasada lotów kosmicznych brzmi: „Ktoś musi zachować hart ducha, aby podążać dalej”. Z największą starannością dobiera się oficerów, oni nie mogą ulec ślepeму pędowi powrotu do domu. Wiadomo też, że ludzie, którzy mu w końcu ulegną i wrócą opętani do swoich planet i własnych domów, niedługo się nimi cieszą i wkrótce gorączkowo zaciągają się na następną długą wyprawę. Jesteśmy zbyt daleko od naszej galaktyki, aby pozwolić sobie na luksus młodzieńczego braku dyscypliny.

- Znam te argumenty - powiedział spokojnie oficer.

- Miło mi to słyszeć - zgryźliwie odparła pierwszy kapitan i tym zakończyła rozmowę. Następnie wezwała Astrogację. Zgłosił się młody oficer. Z nim nie dyskutowała. - Chcę mieć wiele orbit, które przeprowadzą nas przez Wielki Obłok Magellana w możliwie najkrótszym czasie. Po drodze musimy zbliżyć się do każdej gwiazdy w tym systemie na odległość pięciuset lat świetlnych.

Chłopcęca twarz oficera pobladła.

- Ekscelencjo - wykrztusił - to najbardziej niezwykły rozkaz, jaki kiedykolwiek otrzymaliśmy. Ten obłok gwiazdny ma średnicę sześciu tysięcy lat świetlnych. Jaką prędkość ma pani na myśli, pamiętając, że nie mamy pojęcia o lokalizacji burz w tym rejonie?

Reakcja młodzieńca mimo woli wprawiła ją w zakłopotanie. Na ułamek sekundy straciła pewność siebie. W tej króciutkiej chwili przemknęła przed nią wizja ogromu przestrzeni, jaką zamierzała przebyć.

- Uważam - powiedziała - że występowanie obszarów burzowych w tym obłoku ograniczy nas mniej więcej do jednego roku świetlnego na trzydzieści minut. Niech wasz przełożony powiadomi mnie, gdy orbity będą gotowe - ucięła oschle.

- Tak jest, ekscelencjo - odparł młody człowiek. Głos jego stracił barwę.

Siadła z powrotem i dotknęła przełącznika zmieniając iluminator w lustrzaną taflę. Ujrzała swoje odbicie: szczupłą, ładną, nachmurzoną trzydziestopięcioletnią kobietę. Odbicie uśmiechało się nieznacznie, ironicznie - była zadowolona z dwóch podjętych decyzji. To się rozniesie. Ludzie zaczną pojmować, do czego zmierza. Najpierw ogarnie ich rozpacz, potem pogodzą się z losem. Nie czuła żalu. To, co zrobiła, wynikało z przekonania, że rząd Pięćdziesięciu Słońc nie wyjawi położenia ani jednej ze swych planet. Samotnie zasiadła do obiadu, odczuwając ciężar ogromnego napięcia. Walka o losy statku wisiała w powietrzu i pierwszy kapitan zdawała sobie sprawę, że musi się przygotować na wszystko. Trzykrotnie próbowano się z nią porozumieć. Zignorowała to. Uruchomiony przez nią automatyczny sygnał „zajęta” głosił: „Jestem. Nie przeszkadzać, chyba, że coś bardzo pilnego”. Za każdym razem dzwonek cichł po chwili.

Po obiedzie położyła się, aby się trochę zdrzemnąć i pomyśleć. Wstała niebawem, podeszła do transmitera, nastawiła aparat i wkroczyła do Ośrodka Psychologii w odległości pół mili od sypialni. Porucznik Neslor, główny psycholog, wyszła z sąsiedniego pokoju i powitała ją serdecznie, po kobiecemu. Pierwszy kapitan przedstawiła pokrótce swe kłopoty. Starsza przyjaciółka skinęła głową.

- Spodziewałam się, że wpadniesz. Zaczekaj chwilę. Oddam pacjenta asystentowi i pogadamy.

Gdy wróciła, lady Laurr zagadnęła ją z nagłym zaciekawieniem:

- Dużo masz pacjentów?

Szare oczy studiowały ją w zamyśleniu.

- Mój personel przeprowadza osiemset godzin zabiegów tygodniowo.

- Przy tym wyposażeniu to wprost nieprawdopodobne.

Porucznik Neslor przytaknęła.

- Od kilku lat liczba zabiegów stale rośnie. Lady Gloria wzruszyła ramionami i już miała zmienić temat, gdy coś ją zastanowiło.

- Co im dolega? - zapytała - Nostalgia?

- Chyba można to tak nazwać. Mamy na to kilka fachowych terminów. - Zawiesiła głos. - Słuchaj, Gloria, nie sądź ich zbyt surowo. Ciężkie jest życie ludzi, których praca to sprawa czystej rutyny. Mimo że statek jest duży, jego urządzenia z każdym rokiem coraz mniej człowiekowi wystarczają.

Wielce czcigodna Gloria Cecylia otworzyła usta, aby powiedzieć, że jej praca to też kwestia czystej rutyny. W porę zdążyła się jednak zorientować, że u-waga zabrzmiałaby fałszywie, protekcyjnie nawet.

- Nie rozumiem. Na pokładzie mamy wszystko. Tyle samo mężczyzn co kobiet, pracy bez końca, pod dostatkiem jedzenia i więcej rozrywek, niż można by zapragnąć przez całe życie. Spacerów pod gałęziami żywych drzew, nad brzegami nigdy nie wysychających strumieni. Można wziąć ślub i się rozwieść, chociaż oczywiście o dzieciach nie nią mowy. Pełno ochoczych kawalerów i wesołych dziewcząt. Każdy ma własny pokój oraz świadomość, że pensja wpływa na konto i po zakończeniu podróży czeka go spokojna emerytura. Zmarszczyła czoło.

- No i odkrycie cywilizacji Pięćdziesięciu Słońc powinno ożywić podróż.

Starsza kobieta uśmiechnęła się.

- Gloria, kochanie, mówisz jak dziecko. To jest podniecające dla ciebie i dla mnie, z racji naszych stanowisk. Osobiście nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, jak tamci ludzie myślą i działają. Przejrzałam literaturę historyczną na temat tak zwanych robotów deliańskich i niedeliańskich i widzą

tu nieograniczone możliwości badawcze - dla siebie, ale nie dla człowieka gotującego mi codziennie obiad. Na twarz pierwszego kapitana wrócił wyraz determinacji.

- Obawiam się, że twój kucharz będzie musiał się z tym pogodzić. A teraz do rzeczy. Mam dwustopniowy problem. Utrzymać kontrolę nad statkiem. Odnaleźć Pięćdziesiąt Słońc. W tej właśnie kolejności.

Ich rozmowa trwała jeszcze długo po rozpoczęciu pory sennego wypoczynku. Wreszcie lady Laurr wróciła do siebie do apartamentu przyległego do pomostu dowodzenia, przeświadczona, że obie sprawy, jak zresztą podejrzewała, były przede wszystkim psychologicznej natury.

Tydzień zawieszenia broni minął bez niespodzianek. Dokładnie z upływem ostatniej jego minuty zwołała naradę kapitanów jednostek swego ogromnego statku. Już pierwsze jej słowa poruszyły czułą strunę zarówno w oficerach, jak i w załozie. Można się było tego spodziewać.

- Panie i panowie, widzą, że musimy zostać, aż znajdziemy tę cywilizację, nawet gdybyśmy mieli spędzić tu jeszcze dziesięć następnych lat.

Kapitanowie spojrzeli po sobie i poruszyli się w zakłopotaniu. Było ich trzydziestu, w tym cztery kobiety.

Wielce czcigodna Gloria Cecylia Laurr z Wysoko Urodzonych Laurrów ciągnęła dalej:

- Trzeba więc pomyśleć o długofalowej strategii. Czy ktoś ma jakieś propozycje?

- Ja się nie zgadzam na rozpoczęcie tych poszukiwań - powiedział kapitan Wayless, szef personelu dywizjonu lotniczego. Oczy pierwszego kapitana zwęziły się. Z wyrazu twarzy pozostałych domyśliła się, że Wayless wyraża opinię bardziej powszechną, niż podejrzewała. Odezwała się równie jak on beznamiętnie:

- Kapitanie, istnieją sposoby pozbawienia władzy dowodzącego statkiem oficera. Dlaczego nie zastosować jednego z nich?

Kapitan Wayless pobladł.

- Doskonale, ekscelencjo - odparł - powołam się na paragraf 492.

Mimo woli wstrząsnęło nią tak błyskawiczne podjęcie rękawicy. Znała ten paragraf, jako że ograniczał jej własną władzę. Nikt przypuszczalnie nie znał wszystkich przepisów określających najdrobniejsze sprawy związane z dowodzeniem. Ale wiedziała, że każdy orientuje się w przepisach dotyczących własnej osoby. Gdy w grę wchodziły własne prawa, każdy był kosmicznym prawnikiem, nie wyłączając jej samej. Słuchała więc z pobladłą twarzą donośnego głosu kapitana Waylessa.

- Ograniczenie... w okolicznościach usprawiedliwiających zebranych na naradzie kapitanów... większość... dwie trzecie... pierwotny cel wyprawy...

.Wszystko to wyciągnięto przeciwko niej po raz pierwszy na tej naradzie. „Gwiezdny Rój” wysłano na wyprawę kartograficzną. Zadanie zostało wykonane. Upierając się przy zmianie celu wyprawy znalazła się w zasięgu działania tego paragrafu. Oczekała, aż Wayless odłożył książkę, i zapytała łagodnie:

- Jak głosujemy?

Przegrała dwadzieścia jeden do pięciu. Czterej oficerowie wstrzymali się od głosu. Kapitan Dorota Sturdevant, kierująca żeńskim personelem biurowym, powiedziała:

- Gloria, to się musiało tak skończyć. Bardzo długo byliśmy poza domem. Niech ktoś inny szuka .tej cywilizacji.

Pierwszy kapitan zastukała ołówkiem w długi, błyszczący blat stołu. Gest był niecierpliwy, lecz przemówiła głosem opanowanym.

- Paragraf 492 pozwala mi działać według własnego uznania przez okres od pięciu do dziesięciu procent czasu trwania wyprawy z zastrzeżeniem, że dana mi władza nie przekroczy sześciu miesięcy.

Przeto postanawiam teraz, że pozostajemy jeszcze sześć miesięcy w Wielkim Obłoku Magellana. Omówimy teraz sposoby i środki zlokalizowania planety Pięćdziesięciu Słońc. Oto moje sugestie.

I zaczęła je chłodno przedstawiać.

III

W swej kabinie na pokładzie okrętu wojennego Pięćdziesięciu Słońc „Atmion” Maltby siedział zatopiony w lekturze, gdy rozległ się sygnał alarmowy: „Wszyscy na stanowiska!”. Bez wycia syren, więc nie pogotowie bojowe. Odłożył książkę i narzuciwszy w pośpiechu płaszcz skierował się na pokład nawigacyjny. Kilku oficerów i szef astrogacji byli już na miejscu. Kiwnęli mu głowami z wyraźną rezerwą, do czego zdążył się już przyzwyczaić. Usiadł za biurkiem wyjmując z kieszeni swoje narzędzie pracy - suwak z przystawką radiową, która zapewniała łączność z najbliższym mózgiem elektronowym, w tym przypadku mózgiem „Atmion”.

Właśnie rozkładał ołówki i papier, gdy cały statek drgnął pod nim. Jednocześnie głośnik odezwał się łatwym do rozpoznania głosem głównodowodzącego. Admirał Dreehan oznajmiał:

- Wiadomość tylko dla oficerów. Jak wiemy, niewiele ponad tydzień temu ziemski okręt wojenny „Gwiezdny Rój” przekazał nam ultimatum, którego termin upłynął przed pięcioma godzinami. Wszystkie lokalne władze Pięćdziesięciu Słońc utrzymują, że do chwili obecnej nie odebrały żadnego świeżego komunikatu. W rzeczywistości jakieś trzy godziny temu nadeszło drugie ultimatum, ale zawierało nieoczekiwaną groźbą. Wydaje się nam, że ujawnienie charakteru tej groźby mogłoby wywołać panikę. Treść nowego ultimatum podajemy do waszej wiadomości.

Po krótkiej przerwie usłyszeli głęboki, stanowczy męski głos.

- Jej Ekscelencja, Wielce Czcigodna Gloria Cecylia Lady Laurr z Wysoko Urodzonych Laurrów, pierwszy kapitan okrętu wojennego „Gwiezdny Rój”, po raz drugi zwraca się do obywateli Pięćdziesięciu Słońc.

Znów pauza, po której zamiast pierwszego kapitana Laurr głos zabrał admirał Dreehan.

- Poproszono mnie, abym zwrócił waszą uwagę na tę imponującą listę tytułów. Nie ulega wątpliwości, że wrogim statkiem dowodzi kobieta, jak to się mówi, szlachetnie urodzona. Oczywiście, to bardzo demokratycznie, że kobieta dowodzi statkiem, wskazuje to na równouprawnienie płci. Pytanie tylko, jak doszło do jej nominacji na takie stanowisko. Czyżby dzięki stopniowi wojskowemu? Poza tym, sam fakt istnienia społecznej hierarchii w pewien sposób świadczy o totalitarnym charakterze systemu władzy w głównej galaktyce.

Maltby nie mógł się z tym zgodzić. Tytuły wyrażają tylko tyle, ile znaczą w danej sytuacji. W minionych okresach absolutyzmu niektórzy despoci Pięćdziesięciu Słońc tytułowali siebie „pierwszym sługą”. Byli „prezydenci”, od których kaprysu zależała śmierć lub życie obywateli, „ministrowie” sprawujący władzę absolutną, cała plejada niebezpiecznych osobników, których oficjalny tytuł krył okrutną rzeczywistość. Ponadto w każdym systemie politycznym istniało zapotrzebowanie na słowny symbol sukcesu. Nawet teraz przemawiając „admirał” Dreehan robi użytek ze swej rangi. Słuchając tego tajnego nagrania „kapitan” Maltby korzystał ze szczególnego przywileju właściwego jego stopniowi i stanowisku. „Szef” interesu, „właściciel” nieruchomości, wyszkolony „specjalista” - każde z tych określeń na swój sposób stanowiło szczebel w hierarchii. Każde dawało posiadaczowi emocjonalną satysfakcję z zajmowania określonego stanowiska. W Pięćdziesięciu Słońcach potępiano w czambuł wszystkich królów i dyktatorów na przestrzeni całej własnej historii. Taka postawa, nie uwzględniająca warunków historycznych, była równie dziecinna jak jej przeciwieństwo - ślepe uwielbienie dla przywódców. Mieszkańcy, w swym rozpaczliwym położeniu, z bólem serca zgodzili się na system dziedziczenia władzy, aby uniknąć przykrych rywalizacji jednostek ambitnych. Ich plany załamały się niebezpiecznie, gdy „następca” wpadł w ręce wroga. Walka o sukcesję, która nastąpiła, skłoniła ich do przywrócenia mu statusu. Maltby miał ponure wrażenie, że nigdy nie było człowieka, który by mniej czuł się dziedzicznym przywódcą od

niego. Jednak nawet uginając się pod brzemieniem swej pozycji, zdawał sobie sprawę, jak wielkie ma ona znaczenie, i jak ogromny ciążył na nim obowiązek decydowania, co robić w krytycznej chwili. Jego myśli przerwał głos „jej ekscelencji”.

- My - powiedziała pierwszy kapitan, Wielce Czcigodna Gloria Cecylia - przedstawiciele cywilizacji ziemskiej, z przykrością odnotowujemy hardy upór rządów Pięćdziesięciu Słońc. Stwierdzamy z całą odpowiedzialnością, że wprowadzono ludzi w błąd. Rozciągnięcie potęgi ziemskiej na Wielki Obłok Magellana wróży pomyślność jednostkom i społeczeństwom wszystkich planet. Ziemia ma wiele do zaoferowania. Gwarantuje jednostkom legalizację podstawowych przywilejów, a społeczeństwom podstawowe swobody i dobrobyt oraz wybór wszelkich władz w tajnym głosowaniu. Ziemia nie zgodzi się na istnienie oddzielnego, niepodległego państwa w żadnym rejonie wszechświata. Taka suwerenna potęga militarna mogłaby uderzyć w serce kontrolowanej przez rasę ludzką galaktyki i zbombardować jej gęsto zaludnione planety. To się zdarzało. Możecie się domyślić, co spotkało rządy odpowiedzialne za takie przedsięwzięcia. Nie wymkniecie się nam. Jeśli przypadkiem nie uda się naszemu statkowi odnaleźć was teraz, za parę lat przybędzie tu dziesięć tysięcy okrętów. Nigdy nie odkładamy takich spraw na później. Z naszego punktu widzenia bezpieczniej jest zniszczyć całą cywilizację, niż pozwolić, by istniała jak rak w większej kulturze, z której wyrosła. Jestem pewna, że nam się powiedzie. W tej chwili mój wielki okręt wojenny „Gwiezdny Rój” wyrusza w rejs przez Wielki Obłok Magellana. Potrzebujemy kilku lat, aby podążając określonym kursem przemknąć w odległości pięciuset lat świetlnych od każdego słońca tego układu. Po drodze rzucimy na chybił-trafił bomby promieniowania kosmicznego na planety większości gwiazd we wszystkich mijanych sektorach przestrzeni. Zdając sobie sprawę, że nie zyskuje to nam sympatii, wykazałam, dlaczego zajęliśmy tak, przyznając, bezlitosne stanowisko. Jeszcze nie jest za późno. W każdej chwili rząd dowolnej planety może okazać dobrą wolę podając przez radio swoją gotowość do ujawnienia lokalizacji Pięćdziesięciu Słońc. Planeta, która zgłosi się pierwsza, zostanie stolicą Pięćdziesięciu Słońc po wsze czasy. Pierwsza osoba lub grupa ludzi, która da nam klucz do położenia własnej bądź innej planety, otrzyma w nagrodę miliard platynowych dolarów, ważnych w całej centralnej galaktyce lub, jeśli takie będzie jej życzenie, ekwiwalent w rodzimej walucie. Nie obawiajcie się. Mój statek może obronić was przed zjednoczoną potęgą wojskową Pięćdziesięciu Słońc. A teraz na dowód, że nie żartujemy, mój główny astrogator przekaze dane, które umożliwią wam śledzenie naszej drogi przez Obłok. - Transmisja urwała się gwałtownie. Na linii był admirał Dreehan, który z kolei zabrał głos:

- Za minutę prześlę te dane astrogacji, ponieważ zamierzamy obserwować „Gwiezdny Rój” i wyniki jego akcji. Jednakże zastanówmy się przez moment nad pewnymi implikacjami wystąpienia lady Laurr. Jej zachowanie, ton i słownictwo sugerują, że dowodzi bardzo dużym statkiem. Proszę nie wyobrażać sobie, że wyciągamy pochopne wnioski - dodał szybko - lecz rozważmy fragmenty jej ultimatum. Mówi, że „Gwiezdny Rój” wyśle bomby promieniowania kosmicznego do większości planet Obłoku. Przypuśćmy, że miała na myśli co setną planetę. Ale i to czyni kilka milionów bomb. A nasze własne fabryki zbrojeniowe mogą wyprodukować zaledwie jedną jednostkę promieniowania kosmicznego co cztery dni. Przyjmując minimum, taka fabryka potrzebuje milę kwadratową powierzchni użytkowej. Dalej, stwierdziła też, że jej osamotniony statek może obronić zdrajców przed siłami wojskowymi Pięćdziesięciu Słońc. Marny w tej chwili ponad setkę statków bojowych w czynnej służbie, ponadto czterysta „krążowników” i tysiąc pomniejszych pojazdów.

Tu przypomnijmy sobie pierwotne zadanie „Gwiezdnego Roju” w Wielkim Obłoku Magellana. Jak sami przyznali, wyruszył on na gwiazdną wyprawę kartograficzną. Nasze statki kartograficzne to małe pojazdy z demobilu. Trudno uwierzyć, że Ziemia wyznaczyła jeden ze swych największych i

najpotężniejszych statków do tak podrzędnego zadania. - Admirał zrobił przerwę. - Proszę, aby wszyscy oficerowie przedstawili mi swój stosunek do powyższego. Dla większości z was byłoby to na razie wszystko. Astrogacji i Meteorologii przekażę parametry nadane przez „Gwiazdny Rój”.

Ponad pięć godzin trwała wytężona praca nad zorientowaniem współrzędnych „Gwiazdnego Roju” według systemu kartografii gwiazdnej przyjętego przez Pięćdziesiąt Słońc. Dopiero wtedy określono odległość między ziemskim statkiem a „Atmion”. Wynosiła tysiąc czterysta lat świetlnych. Dystans nie miał znaczenia. Znali rozmieszczenie wszystkich burz w Wielkim Obłoku Magellana, toteż z łatwością wytyczyli orbitę dla prędkości do połowy roku świetlnego na minutę. Przedłużający się wysiłek znużył Maltby'ego. Gdy tylko skończyła się jego rola, powrócił do kabiny i zasnął. Obudził go dzwonek alarmowy. Czym prędzej uruchomił ekran obserwacyjny, połączony ze stanowiskiem dowodzenia. Ekran pojaśniał natychmiast, co oznaczało, że oficerom zezwolono na śledzenie przebiegu wydarzeń. Ujrzał, że maksymalne powiększenie ekranu zogniskowało się na odległym punkcie świetlnym. Światółko poruszało się, zaś akomodacyjny układ ekranu nieprzerwanie utrzymywał je w pobliżu środka obrazu. Odezwał się głos:

- Według naszych automatycznych kalkulatorów „Gwiazdny Rój” znajduje się obecnie w odległości mniej więcej jednej trzeciej roku świetlnego. - Maltby skrzywił się, słysząc tak nieścisłe sformułowanie. Spiker miał na myśli, że oba statki znajdują się w zasięgu wzajemnych pól górnego rezonansu, wtórnego zjawiska podprzestrzennych fal radiowych, czegoś w rodzaju stłumionego echa rezonansu dolnego o praktycznie nieograniczonym pułapie. Nie można było stwierdzić, jak daleko znajduje się ziemski pojazd, prócz tego, że nie był dalej niż o jedną trzecią roku świetlnego. Równie dobrze mógł czaić się zaledwie kilkaset mil od nich, chociaż było to mało prawdopodobne. Mieli urządzenia radarowe do wykrywania obiektów w przestrzeni kosmicznej na bliskich odległościach. - Zredukowaliśmy naszą prędkość do dziesięciu dni świetlnych na minutę - informował głos. - Ponieważ podążamy kursem, wskazanym przez ziemski statek i nie zgubiliśmy przeciwnika, możemy przyjąć, że poruszamy się z tą samą prędkością. - To stwierdzenie było również niedokładne. Można zbliżyć się, lecz nigdy zrównać z prędkością statku pędzącego szybciej od światła. Błąd wyjdzie na jaw natychmiast po rozdzieleniu się pól górnego rezonansu obu statków. Właśnie gdy mu to przyszło na myśl, światółko na ekranie zamrugało i znikło. Maltby czekał, lecz obraz się już nie pojawił, tylko spiker zakomunikował niewesoło:

- Proszę się nie niepokoić. Zapewniono mnie, że to tylko chwilowa utrata kontaktu.

Minęła godzina, a nic się nie zmieniło. Od dawna już Maltby co najwyżej sporadycznie zerkał na ekran. Myślał o tym, co admirał Dreehan powiedział o wielkości „Gwiazdnego Roju”. Zdał sobie sprawę, że dowódca uczciwie przedstawił stan rzeczy. Należało się liczyć z wieloma groźnymi ewentualnościami, ale wydawało się niemożliwe, aby jakikolwiek statek był tak ogromny, jak to dała do zrozumienia pierwszy kapitan Laurr. A więc bluffowała. Częściowym przynajmniej dowodem będzie liczba wystrzelonych przez nich bomb.

Przez sześć kolejnych dni „Atmion” wchodziła w pole górnego rezonansu „Gwiazdnego Roju”. Za każdym razem podtrzymywano kontakt tak długo, jak tylko się dało, po czym, upewniwszy się co do kursu nieprzyjacielskiego statku, badano okoliczne planety. Zaledwie raz napotkali ślady zniszczenia. I to bomba musiała być źle wymierzona, ponieważ uderzyła w zewnętrzną planetę, zwykle wystygłą i zbyt oddaloną od swego słońca, by można mówić o jakimkolwiek życiu. Teraz nie była zimna. Ujrzeli kipiące piekło nuklearnej energii, wypalającej skalną skorupę i wżerającej się do samego metalicznego jądra. Płonęło tam miniaturowe słońce. Widok nie przeraził nikogo na pokładzie „Atmion”. Prawdopodobieństwo, że jedna bomba na sto trafi w zamieszkałą planetę, było matematycznie tak bliskie zera, że cyfra po przecinku nie miała najmniejszego znaczenia. Właśnie

szóstego dnia ożył ekran w kabinie Maltby'ego i pojawiła się w nim twarz admirała Dreehana.

- Kapitanie Maltby, proszę się u mnie zameldować.

- Rozkaz, sir. - Maltby nie zwlekał ani chwili.

Pełniący służbę adiutant skinął głową i przepuścił go do kabiny Dreehana. Maltby zastał dowódcę siedzącego przy biurku, pochylonego nad, jak mu się wydało, jakimś radiogramem. Starszy mężczyzna odłożył dokument tekstem do dołu i wskazał Maltby'-emu fotel naprzeciwko biurka.

- Kapitanie, jaka jest wasza pozycja wśród Mieszkańców? - A więc wreszcie dotarli do sedna sprawy. Maltby nie czuł lęku. Wpatrywał się w oficera przybrawszy wyraz zakłopotania. Widział przed sobą Delianina w sile wieku, zgrabnego i urodziwego, jak przystało tej rasie.

- Sam dokładnie nie wiem, jak mnie traktują - powiedział Maltby. - Myślę, że trochę jak zdrajcę. Ilekroć zwracają się do mnie, o czym zawsze melduję przełożonym, nakłaniam ich do polityki pojednania i integracji. - Dreehan jakby rozważał jego słowa.

- A co sami Mieszkańcy sądzą o tej sprawie? - zapytał.

- Nie jestem pewny. Moje kontakty są zbyt luźne.

- Pomimo to ma pan jakieś ogólne pojęcie?

- O ile wiem - odparł Maltby - mniejszość uważa, że Ziemia znajdzie Pięćdziesiąt Słońc prędzej czy później, więc, argumentują, należy wykorzystać nadarżającą się sposobność. Większość ma dosyć życia w podziemiu i zdecydowanie głosuje za współdziałaniem z Pięćdziesięcioma Słońcami.

- Jaka większość?

- Ponad cztery do jednego - Maltby skłamał bez mrugnięcia okiem. Za to Dreehan wyraźnie był w rozterce.

- Czy może się zdarzyć, że mniejszość podejmie jednostronną akcję?

- Chcieliby, lecz nie mogą. Tak mnie zapewniono - szybko powiedział Maltby.

- Dlaczego nie mogą?

- Nie ma wśród nich meteorologów z prawdziwego zdarzenia. - To również było kłamstwem. Problem wykraczał poza sprawę czyichkolwiek umiejętności. Polegało to na tym, że Hunston dążył do zdobycia władzy w legalny sposób. Dopóki wierzy, że mu się uda, dopóty nie ujmie jej siłą w swoje ręce. Tak donieśli Maltby'emu jego informatorzy. Na tej informacji oparł teraz całą swoją misterną pajęczynę kłamstwa i prawdy.

Dreehan zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Po pewnym czasie odezwał się:

- Ostatnie ultimatum zaniepokoiło rządy Pięćdziesięciu Słońc tym, że, jak słyszałeś, stwarza tak idealną okazję dla Mieszkańców. Mogą za jednym zamachem zdobyć wszystko, o co toczyli wojnę w poprzednim pokoleniu. Wystarczy tylko nas zdradzić. - Na to Maltby nie miał nic do powiedzenia, oprócz innej wersji swego poprzedniego kłamstwa.

- Uważam, że wynik głosowania dostatecznie określa nastroje wśród Mieszkańców.

W ciszy, która zapadła, Maltby głowił się, o co naprawdę chodzi w tej rozmowie. Z pewnością nie zamierzali opierać swych nadziei na słowie kapitana Maltby'ego. Dreehan odchrząknął.

- Kapitanie, wiele słyszałem o tak zwanym podwójnym umyśle Mieszkańców, ale nikt nie potrafił mi powiedzieć, na czym to polega. Czy może mi pan wyjaśnić?

- Rzecz właściwie nie ma znaczenia - Maltby ze spokojem wypowiedział swoje trzecie kłamstwo.

- Myślę, że ta obawa zrodzona w okresie wojny, wiąże się z zaciekłością końcowych walk. Wie pan, jak wygląda normalny mózg: niezliczone komórki, każda z osobna połączona z sąsiednimi. Na tym szczeblu mózg Mieszkańca niczym nie różni się od waszego. Schodząc szczebel niżej, znajdujemy w każdej komórce Mieszkańca całe szeregi dużych, podwójnych molekuł. Wasze nie są złączone w pary; jego tak,

- Ale co to daje?

- Deliańską odporność na złamanie woli i niedeliańskie możliwości pracy twórczej.

- To wszystko?

- To wszystko, co wiem na ten temat, sir - skłamał Maltby.

- A co z tą paraliżującą hipnozą, jakiej zdolność mają rzekomo posiadać? Nie ma żadnego wyraźnego przekazu, jak działa.

- Przypuszczam - odparł Maltby - że używali hipnotyzujących aparatów, lecz to zupełnie inna sprawa. Nieznane często budzi lęk.

Wyglądało na to, że Dreehan podjął decyzję. Wręczył radiogram Maltby'emu.

- To do ciebie - powiedział. - Jeśli to szyfr, nie daliśmy rady go złamać - dodał ze szczerością.

Zgadzało się, był to szyfr. Maltby rozpoznał na pierwszy rzut oka. Więc o to chodziło admirałowi Dreehanowi. Wiadomość brzmiała: „Do kapitana Petera Maltby'ego, okręt wojenny »Atmion«. Rada Mieszkańców dziękuje za pośrednictwo w negocjacjach z rządami Pięćdziesięciu Słońc. Porozumienie będzie w pełni dotrzymane. Mieszkańcy pragną otrzymać zaproponowane przywileje". Podpisu nie było. A więc nadajniki podprzestrzenne „Atmion" wysłały podpisaną jego imienną prośbę. Musiał 'oczywiście udawać, że się tego nie domyśla, dopóki nie postanowi, co robić dalej.

- Widzę, że brak podpisu. Czyżby opuszczono go celowo? - powiedział, jakby rzeczywiście go to zastanowiło.

Admirał Dreehan sprawiał wrażenie rozczerwanego.

- Twój domysł jest równie dobry jak mój.

Na chwilę Maltby'emu zrobiło się żal oficera. Żaden Delianin czy Niedelianin przenigdy nie zdoła złamać kodu tej depezy. Odczytanie szyfru uzależnione było od posiadania dwóch umysłów nawykłych do współdziałania. Szkolenie było czymś tak podstawowym w edukacji Mieszkańców, że Maltby je przeszedł, zanim pojmano go dwadzieścia lat temu. Istotę wiadomości stanowiło ostrzeżenie, że mniejszościowe ugrupowanie Mieszkańców ogłosiło zamiar nawiązania kontaktu z „Gwiezdnym Rojeni" i od tygodnia prowadzi kampanię w celu zyskania poparcia dla swego planu. Ich stronnictwo zapowiedziało, że na zdradzie skorzystają tylko ci, którzy pójdą z nimi.

Musiałby się tam zjawić osobiście. Jak? Jego źrenice rozszerzyły się z lekka, gdy uświadomił sobie, że ma tylko jeden dostępny środek transportu: statek. Nagle zrozumiał, że musi to zrobić. Napiął mięśnie sposobem Delian. Wyraźnie przeszył go podniecający elektryczny szok. W jednej chwili jego umysły stały się wystarczająco silne. Wyczuły bliskość obcej woli. Odczekał, aż uczucie to stało się częścią jego istoty, i wtedy pomyślał: pustka! Przez moment nie dopuszczał do swoich umysłów myśli. Wreszcie podniósł się. Admirał Dreehan wstał również, dokładnie w ten sam sposób, tymi samymi ruchami, jak gdyby mózg Maltby'ego ożywił jego mięśnie. Bo i rzeczywiście tak było. Admirał podszedł do pulpitu sterowniczego. Dotknął przełącznika.

- Z maszynownią - powiedział. Podczas gdy mózg Maltby'ego kierował jego głosem i działaniem, wydawał rozkazy wprowadzające „Atmion" na kurs, który w krótkim czasie miał ją doprowadzić do ukrytej stolicy Mieszkańców.

IV

Pierwszy kapitan Laurr przeczytała wniosek o „zdjęcie ze stanowiska”. Ogarnęła ją wściekłość. Przez długie minuty siedziała z zaciśniętymi pięściami. Wreszcie połączyła się z kapitanem Waylessem, już opanowana. Twarz oficera skamieniała na jej widok.

- Kapitanie - powiedziała z nutą pretensji - właśnie przeczytałam ten wasz dokument z dwudziestoma czterema podpisami.

- Chyba jest zgodny z regulaminem - odparł formalnym tonem.

- Och całkowicie, nie mam co do tego żadnych wątpliwości - tylko na chwilę straciła spokój. - Kapitanie, skąd ta rozpaczliwa determinacja, aby natychmiast wracać do domu? Życie to chyba coś więcej niż przepisy. Bierzemy udział w wielkiej przygodzie. Czyście przestali to w ten sposób odczuwać?

- Czcigodna lady - brzmiała chłodna odpowiedź - żywią dla pani zarówno podziw, jak i przywiązanie. Posiada pani ogromne zdolności kierownicze, ale przy tym i skłonność do narzucania swego własnego zdania. Jest pani zdumiona i urażona, gdy inni myślą inaczej. Ma pani rację tak często, że nie wierzy pani w ogóle w możliwość popełnienia pomyłki. Właśnie dlatego tak wielki statek jak nasz ma trzydziestu kapitanów i służą oni pani radą, a w nagłym przypadku, zresztą praktycznie w każdej chwili, mogą oni, zgodnie z przepisami, pozbawić panią stanowiska. Proszę mi wierzyć, wszyscy panią kochamy, ale znamy swoje obowiązki wobec załogi.

- Ależ nie macie racji. Możemy zmusić tę cywilizację do ujawnienia się. - Zawiesiła głos. - Kapitanie - odezwała się po chwili - czy nie mógłby pan ten jeden jedyny raz stanąć po mojej stronie? Zwróciła się do niego z osobistą prośbą i prawie natychmiast tego pożałowała. Jej błaganie jakby rozładowało jego napięcie, zaczął się śmiać, spróbował się opanować, ale bez powodzenia, i wreszcie roześmiał się na całe gardło.

- Proszę mi wybaczyć - wykrztusił. - Bardzo panią przepraszam. - Widział, jak zeszywniała.

- Co w tym wesołego?

Był już zupełnie poważny.

- Zwrot „ten jeden, jedyny raz”. Lady Laurr, czyżby pani nie pamiętała żadnej ze swych poprzednich próśb?

- Możliwe, że zdarzyło mi się parę razy... - Powiedziała to ostrożnie, przypominając sobie.

- Nie liczyłem - rzekł kapitan Wayless - ale niewiele się pomylę, gdy powiem, że podczas tej wyprawy zwracała się pani do nas prywatnie, bądź jako pierwszy kapitan, nie mniej niż sto razy, z grubsza biorąc, i zawsze w celu przeforsowania lub podbudowania jakiegoś własnego pomysłu. Teraz, ten jeden jedyny raz, prawo zostanie użyte przeciwko pani. A pani czuje się dotknięta tym do żywego.

- Nie jestem dotknięta, jestem... - urwała. - Och, widzę, że szkoda czasu na tę rozmowę. Z tej czy innej przyczyny uznał pan, że sześć miesięcy to wieczność.

- Tu nie chodzi o czas. Chodzi o cel. Pani ślepo uwierzyła, że można znaleźć Pięćdziesiąt Słońc rozrzuconych wśród stu milionów innych. Wielki statek najzwyczajniej nie podejmie ryzyka jeden do dwóch milionów. Skoro pani tego nie dostrzega, jesteśmy zmuszeni tym razem zdjąć panią ze stanowiska, nie bacząc na nasze osobiste uczucia dla pani.

Pierwszy kapitan czuła, że traci grunt pod nogami. Spór przybierał niekorzystny dla niej obrót. Zdała sobie sprawę z konieczności staranniejszego przedstawienia swoich argumentów.

- Kapitanie, to nie jest problem matematyczny - powiedziała z wolna. - Gdybyśmy mieli pokładać nadzieje tylko w szansie, wasze stanowisko byłoby bez zarzutu. Nasza nadzieja leży w psychologii.

- Ci z nas, którzy podpisali wniosek, nie zrobili tego z lekkim sercem. Rozważyliśmy zresztą i psychologiczny aspekt sprawy - odparł niewzruszenie kapitan Wayless.

- I na jakiej podstawie go zlekceważyliście? Z ignorancji? Uwaga była ostra i kapitan Laurr dostrzegła, że zirytowała rozmówcę. Głos kapitana Waylessa zabrzmiał oficjalnie.

- Z zaniepokojeniem obserwowaliśmy pani skłonność do polegania wyłącznie na opinii porucznik Neslor. Wasze narady są zawsze tajne. My nigdy nie wiemy, o czym się na nich mówi, po czym dokonuje pani znienacka różnych posunięć według jej zaleceń. - Była zaskoczona. - Wyznaję, że nie myślałam o tym w ten sposób. Zwracałam się po prostu do głównego psychologa statku, zgodnie z regulaminem zresztą - próbowała się bronić. Kapitan Wayless zlekceważył te próby.

- Jeżeli zdanie porucznik Neslor jest tak cenne, powinna awansować na kapitana i mieć możliwość przedstawienia nam swoich poglądów. - Wzruszył ramionami; czytał niemal w jej myślach, bo zanim zdążyła otworzyć usta, dodał: - I proszę nie mówić, że pani to robi natychmiast. Nawet jeśli nikt się nie sprzeciwi, potrzeba miesiąca na taką promocję, po czym nowy kapitan uczy się procedury na zebraniach rady przez następne dwa miesiące nie zabierając głosu.

- Nie zgodzicie się na te trzy miesiące zwłoki? - spytała ponuro lady Laurr.

- Nie.

- Nie rozpatrzylibyście tego awansu z pominięciem regulaminowej procedury?

- W nagłej potrzebie, tak. Ale nie dla pani kaprysu, bo to jest po prostu kaprys, szukanie zagubionej cywilizacji, której będzie poszukiwać, i z czasem odnajdzie, specjalnie wysłana w tym celu ekspedycja.

- Więcobstajecie przy moim ustąpieniu?

- Tak.

- W porządku. Głosowanie nastąpi od dziś za dwa tygodnie. Jeśli przegrani i jeśli nic się nie wydarzy, wracamy do domu. - Ruchem ręki dała znak, że zakończyła rozmowę.

W pełni świadomie ustawiała swoje zmagania na dwóch płaszczyznach. Na jednej walka z kapitanem Waylessem i większością czterech piątych, która umożliwiła mu wymuszenie głosowania. Na drugiej wojna o zmuszenie mieszkańców Pięćdziesięciu Słońc do wyjścia z ukrycia. Obie dopiero się zaczęły. Wezwała Łączność. Zgłosił się kapitan Gorson.

- Czy nadal utrzymujemy kontakt ze śledzącym nas statkiem Pięćdziesięciu Słońc? - zapytała.

- Nie. Meldowałem pani o zgubieniu ich statku z pola obserwacji. Do tej pory nie udało nam się go dostrzec. Pewnie oni nas odnajdą jutro, gdy podamy naszą aktualną pozycję - z własnej woli pośpieszył z informacją.

- Proszę mnie o tym zawiadomić.

- Oczywiście.

Potem połączyła się ze Zbrojownią. Zgłosił się natychmiast dyżurny, lecz ona cierpliwie czekała, aż wezwano kapitana sekcji bojowych.

- Ile bomb wystrzelono? - zapytała.

- Ogółem siedem.

- Wszystkie na ślepo?

- To najprostszy sposób. Prawdopodobieństwo chroni nas przed trafieniem planety, na której może istnieć życie.

Przytaknęła, lecz pozostała zachmurzona, pełna napięcia. Wreszcie odezwała się, czując potrzebę ponownego naświetlenia sytuacji.

- Rozum mój się z tym zgadza. Serce... - zamilkła. - Wystarczyłaby jedna pomyłka, kapitanie, byśmy stanęli przed sądem wojennym.

Był zatroskany.

- Wiem o tym doskonale, ekscelencjo. To ryzyko jest związane z moim stanowiskiem. - Chwilą jakby walczył ze sobą. - W moim odczuciu uciekliśmy się do bardzo niebezpiecznej groźby, to znaczy niebezpiecznej dla nas. Ludzi nie powinno się poddawać takim presjom.

- Za to ja ponoszę odpowiedzialność - ucięła krótko.

Po skończonej rozmowie zaczęła przemierzać pokój tam i z powrotem. Dwa tygodnie! Wydawało się niemożliwe, aby coś się stało w tym czasie. Za dwa tygodnie, zgodnie z jej planami, zaledwie rozpocznie się psychologiczny nacisk na Delian i Niedelian. Na myśl o nich coś jej się przypomniało. Szybko znalazła się przed transmitterem materii, nastawiła go odpowiednio i za chwilę znalazła się w głównej bibliotece, trochę ponad trzecią część mili od swych apartamentów, w prywatnym gabinecie kierowniczkii, która siedziała za biurkiem pochłonięta pisaniem.

- Jane, czy macie materiały dotyczące zamieszek deliańskich w... - zaczęła bez wstępów.

Bibliotekarka wzdrygnęła się, na wpół uniosła z krzesła i klapnęła na nie z powrotem. Westchnęła.

- Gloria, będziesz miała mnie na sumieniu. Nie możesz powiedzieć chociaż „cześć”? Poczula skruchę.

- Przepraszam. Byłam pochłonięta jedną myślą. Ale czy masz...

- Tak, mam. Jeśli zaczekasz choć dziesięć minut, dostaniesz wszystko jak należy. Czy jadłaś już kolację?

- Kolację! Nie. Oczywiście, że nie.

- Kochani sposób, w jaki to mówisz. A znając ciebie, dokładnie wiem, co to znaczy. Cóż, idziesz ze mną, rozumiem, na obiad. I nie będzie rozmowy o żadnych Delianach czy Niedelianach, dopóki nie skończymy jeść.

- To niemożliwe, Jane. Ja po prostu nie mam chwili czasu do stracenia...

Starsza wiekiem kobieta wstała zza biurka. Obeszła je i mocno ujęła lady Laurr za ramię.

- Ach, nie masz chwili czasu... Więc zapamiętaj sobie: nie dostaniesz ode mnie żadnej informacji, dopóki nie zjesz kolacji. I proszę bardzo, powołuj się na swoje prawo i regulaminy, to zobaczysz, co mnie one obchodzą. Teraz jazda.

Kapitan Laurr opierała się jeszcze trochę. Ale szybko pomyślała, już z rezygnacją: tan przekłety czynnik ludzki. Otworzenie ludziom oczu przekracza moje siły! Również i to napięcie minęło i nagle zobaczyła siebie, spiętą i pochmurną, jakby losy całego świata spoczywały na jej barkach. Powoli odprężyła się.

- Dziękuję ci, Jane. Marzę o szklance wina i o czymś do zjedzenia - powiedziała ze znużeniem. Lecz nie pozbyła się przekonania, że chociaż ona może odprężyć się na godzinę, rzeczywistość pozostanie. Musi odnaleźć Pięćdziesiąt Słońc, teraz już z powodu, który dopiero stopniowo dojrzywał w jej umyśle, ze wszystkimi niebezpiecznymi konsekwencjami.

Po kolacji, przy cichej muzyce, rozmawiały o cywilizacji Pięćdziesięciu Słońc. Rys historyczny, przedstawiony przez bibliotekarkę, był nadzwyczaj prosty i klarowny. Jakieś piętnaście tysięcy lat temu Joseph M. Dell wynalazł wczesną odmianę transmittera materii. Urządzenie wymagało mechanicznej syntezy pewnych rodzajów tkanki, szczególnie gruczołów wydzielania wewnętrznego, trudnych do zbadania. Ponieważ istota ludzka mogła wejść z jednej strony i za ułamek sekundy wyłonić się tysiąc, lub więcej, czy też mniej mil dalej, nie od razu zauważono wyjątkowo subtelne zmiany zachodzące w osobnikach korzystających z metody teleportacji. Nie żeby coś tracili, chociaż późniejsi Delianie zawsze posiadali mniejsze zdolności twórcze. Ale pod pewnymi względami wyglądało na to, jakby czegoś im przybyło. Delianin był odporniejszy na nerwowe stresy. Jego siła fizyczna daleko przekraczała najfantastyczniejsze sny człowieka. Potrafił wzmóc ją do nadludzkich

rozmiarów poprzez dziwny proces zwiększania wewnętrznego napięcia mięśni. Rzecz jasna, że co lękliwsze - w tym miejscu słyhać było ironię - istoty ludzkie, nazwały ich robotami. Nazwą tą Delianie się nie przejmowali, ale wzmogła ona nienawiść ludzi w stopniu, jakiego zrazu władze nie podejrzewały. Był okres, gdy tłum szalał na ulicach mordując Delian. Ich ludzcy przyjaciele przekonali rząd, aby pozwolił Delianom emigrować. Do chwili obecnej nikt nie wiedział, dokąd uciekli.

Wielce Czcigodna Gloria Cecylia siedziała zatopiona w myślach po wysłuchaniu do końca tej relacji.

- Niewiele mi pomogłaś - odezwała się jak gdyby z oddali. Wiedziała o tym wszystkim, poza paroma drobnymi szczegółami. Jednocześnie była świadoma baczego spojrzenia przebiegłych oczu starszej kobiety.

- Gloria, ty coś knujesz. Zwykle tak wyglądasz, gdy coś ci chodzi po głowie. - Trafiła w dziesiątkę. Pierwszy kapitan zdała sobie sprawę, że niebezpiecznie byłoby jej przyznać się do czegoś takiego. Ci, którzy próbowali dopasować fakty do własnej teorii, nie zasługiwali na miano uczonych. Sama często bywała bardzo nieprzyjemna dla oficerów, którzy wygłaszali ogólne opinie.

- Po prostu zbieram wszystkie dostępne nam informacje. Gdy gdzieś poza światem przez sto pięćdziesiąt stuleci istnieje jakaś mutacja, trzeba brać pod uwagę wszelkie możliwości. Nie stać nas na przegapienie niczego. Bibliotekarka skinęła głową. Obserwując ją lady Laurr nabrała pewności, że wyjaśnienie okazało się zadowalające, a chwilowy przebłysk intuicji już się skończył. Podniosła się. Nie mogła ryzykować dalszych niedyskrecji. Następnym razem mogłaby się nie wywinąć tak gładko. Wypowiedziała zdawkowe pożegnanie i wróciła do siebie. Po krótkim namyśle odważyła się na rozmowę z Ośrodkiem Biologii.

- Doktorze - zaczęła - uprzednio przekazałam panu informacje na temat Delian i Niedelian z Pięćdziesięciu Słońc. Czy pana zdaniem mieszane małżeństwo może mieć dzieci?

Biolog był flegmatycznym człowiekiem, wymawiał każde słowo powoli, z namaszczeniem.

- Historia mówi, że nie.

- A co pan powie?

- Dałoby się zrobić.

- To właśnie chciałam usłyszeć - powiedziała triumfująco pierwszy kapitan.

Podniecenie uzyskaną odpowiedzią ustąpiło dopiero, gdy kładła się do łóżka wiele godzin później. Leżąc przy zgaszonym świetle wpatrywała się w przestrzeń. Wielka noc była nieco inna. Świeące punkty układały się inaczej, lecz bez powiększenia nie była w stanie naocznie stwierdzić, czy rzeczywiście znajduje się w Wielkim Obłoku Magellana. Nie więcej niż setka gwiazd świeciła osobno. W paru miejscach zamglona jasność wskazywała obecność setek tysięcy gwiazd, może milionów. Odruchowo sięgnęła do regulatora obrazu i przekręciła powiększenie do końca. Przepych. Spoglądało na nią miliard gwiazd. Widziała bliską światłość nieprzeliczonych gwiazd Obłoku i bezmiar spiralnego kręgu głównej galaktyki, usłanej teraz światełkami, których nie sposób było ogarnąć. A wszystko, co mogła objąć wzrokiem, stanowiło zaledwie punkcik w kosmicznym porządku rzeczy. Skąd to się wzięło? Dziesiątki tysięcy pokoleń istot ludzkich żyło i umierało, a nadał nie było widać, nawet w perspektywie, zadowalającej odpowiedzi. Przerzucając powiększenie na zero, sprowadziła wszechświat z powrotem do poziomu swych własnych zmysłów. Z szeroko otwartymi oczami pomyślała: Przypuśćmy, że powstał Mieszaniec Delianina z Niedelianinem. Jakie to może mieć dla mnie skutki w czasie dwóch tygodni? Nie umiała sobie wyobrazić. Spała niespokojnie.

Ranek...

Podczas skromnego śniadania uprzytomniła sobie, że pozostało zaledwie trzynaście dni. To odkrycie stanowiło dla niej wstrząs. Wstała od stołu uświadamiając sobie z przynębieniem, że żyje w świecie marzeń. Jeżeli nie podejmie zdecydowanej akcji, całe przedsięwzięcie, w które wciągnęła swój wielki statek, upadnie w krótkim czasie. Z determinacją skierowała się na pomost dowodzenia i wezwała Łączność.

- Kapitanie - powiedziała do oficera, który odebrał wezwanie - czy statek Pięćdziesięciu Słońc znajduje się w zasięgu pola górnego rezonansu naszego statku?

- Nie, proszę pani.

To był bolesny zawód. Teraz kiedy podjęła decyzję, irytowała ją najmniejsza zwłoka. Zawahała się, w końcu z westchnieniem pogodziła się z losem.

- Gdy tylko go zauważycie, zameldujcie o tym dowództwu sekcji bojowych.

- Rozkaz.

Teraz przyszła kolej na Zbrojownię. Oficer, mężczyzna o dumnej twarzy, przełknął ślinę, gdy wyłożyła swoje zamiary.

- Ale to ujawni naszą najpotężniejszą broń - zaprotestował. - Założmy...

- Niczego nie będziemy zakładać! - zareagowała z wściekłością. - W tej sytuacji nie mamy nic do stracenia. Nie udało nam się zwabić floty Pięćdziesięciu Słońc. Rozkazuję wam pochwycić ten jeden statek. Wszyscy jego nawigatorzy otrzymają prawdopodobnie rozkaz pozbawienia się życia, ale damy sobie z tym radę.

Oficer zmarszczył czoło rozważając jej słowa, wreszcie kiwnął głową.

- Niebezpieczeństwo polega na tym, że ktoś spoza zasięgu pola wykryje je i podda analizie. Ale skoro uważa pani, że powinniśmy podjąć to ryzyko...

Wielce czcigodna Gloria zajęła się niebawem innymi sprawami, lecz część jej umysłu ani przez chwilę nie zapomniała o wydanym rozkazie. Nie mogąc już dłużej opanować zdenerwowania z powodu braku jakiegokolwiek wiadomości, ponownie skontaktowała się z Łącznością. Ale nic się nie działo. Statek Pięćdziesięciu Słońc nie pojawił się. Minał dzień, potem drugi. Nadal ani śladu upragnionego statku. Czwartego dnia z pierwszym kapitanem „Gwiezdnego Roju” trudno było wytrzymać. A i ten dzień nie przyniósł zmian.

- Planeta pod nami! - powiedział admirał Dreehan.

Maltby obudził się z drzemki i w mgnieniu oka z kocią czujnością zerwał się na nogi. Stanął przy pulpicie sterowniczym. Pod jego kierownictwem statek zniżył się gwałtownie z wysokości dziesięciu tysięcy mil do tysiąca, a następnie poniżej stu od powierzchni. Zbadał powiększenie terenu na ekranie i wkrótce, chociaż nie widział go nigdy na oczy, jego pamięć przywołała fotograficzne mapy pokazane mu dawno temu. „Atmion” nurkowała teraz ku wylotowi największego z tuneli prowadzących do ukrytej stolicy Mieszkańców,

Dla pewności, już po raz któryś z kolei, tym razem ostatni, sprawdził, czy młodszy oficerowie nie widzą na ekranach, co się dzieje - w mocy jego hipnozy znajdowało się czternastu najwyższych stopniem i stanowiskiem - po Czym śmiało skierował statek w otwór. Stał z szeroko otwartymi oczyma. Przywódców popierającego go stronnictwa powiadomił o swym przybyciu drogą radiową. Odpowiedzieli, że wszystko będzie gotowe. Lecz zawsze istniała możliwość niepowodzenia. Tu, u wejścia, statek był na łasce obrony naziemnej.

Zamknęła się wokół nich ciemność jaskini. Przysiadł z palcami na wyłączniku reflektorów, ze spojrzeniem zagłębionym w noc przed statkiem. Gdzieś w dole, w oddali, nagle zabłysło światło. Maltby czekał, a gdy upewnił się, że nie gaśnie, przycisnął wyłącznik. Natychmiast rozjarzyły się reflektory oświetlając jaskinię od sklepienia do podłogi daleko przed nimi. Statek sunął do przodu,

coraz niżej, w głąb. Minęła godzina, a nadal nic nie zapowiadało kresu drogi. Tunel wił się i zawracał, załamywał w dół, na boki i w górę. Kilkakrotnie odniósł wrażenie, że wracają drogą, którą przybyli. Mógł utrzymać kurs na automatycznym wykresie, lecz poproszono go, jeszcze zanim „Atmion” zbliżyła się do planety, aby tego nie robił. Powiedziano mu, że nikt pośród żywych nie wie dokładnie, gdzie pod skorupą planety znajduje się stolica. Inne miasta Mieszkańców były ukryte tak samo.

Minęło dwanaście godzin. Dwukrotnie Maltby przekazywał sterowanie statkiem admirałowi, by móc się przespać. Teraz on prowadził „Atmion”, podczas gdy oficer spokojnie drzemał w kącie na koi. Trzydzieści godzin! Wyczerpany wysiłkiem i zdumiony obudził Dreehana i legł na pośłaniu. Zaledwie zdążył przymknąć oczy, gdy oficer ogłosił:

- Budynki przed nami, kapitanie. Światła. - Maltby skoczył do przyrządów i parę minut później około osiemdziesiąt tysięcy miasto leżało pod statkiem. Uprzedzono go, że nigdy statek tej wielkości nie przekroczył labiryntu, dlatego będzie przedmiotem zainteresowania wszystkich stronnictw i mieszkańców. Włączył zwykłe radio i przejechał skalę, aż usłyszał: „...więc Peter Maltby, nasz dziedziczny przywódca, czasowo zawładnął okrętem wojennym «Atmion», aby osobiście przekonać tych, którzy...” Maltby wyłączył odbiornik. Ludzie dowiadawali się o jego obecności. Przepatrywał miasto poniżej w poszukiwaniu kwatery Hunstona. Rozpoznał budynek z otrzymanego przez radio opisu i zatrzymał „Atmion” dokładnie nad nim. Skoncentrował ścianę energii na najbliższej przecznicy. Następnie błyskawicznie ustawił dalsze bariery, dopóki nie odciął zupełnie całego rejonu. Ludzie mogli wejść na tak wydzielony teren nie zdając sobie sprawy z pułapki, lecz wyjścia już nie było. Niewidoczna z zewnątrz ściana, oglądana od środka połyskiwała krwawą poświatą. Jej dotknięcie groziło potężnym elektrycznym wstrząsem. Ponieważ Hunston mieszkał w swojej kwaterze, prawdopodobnie nie mógł już umknąć.

Maltby nie żywił złudzeń, że ta akcja rozstrzygnie sprawę. Walka toczyła się o polityczną władzę. Użycie siły mogło wpłynąć na jej przebieg, lecz nie dałoby się jej rozstrzygnąć tylko na tej płaszczyźnie. W tej próbie sił sam sposób jego przybycia dawał przeciwnikom potężny argument. Spójrzcie - powiedzą z pewnością - oto jeden Mieszaniec potrafił opanować okręt wojenny. Czyż to nie dowód naszej wyższości?

Tym, których ambicje pozostawały nie zaspokojone przez ćwierć wieku, takie rzeczy uderzały do głowy. Na ekranie pojawiły się niewielkie pojazdy. Nawiązał z nimi kontakt radiowy. To przybywali przywódcy jego stronnictwa. Wkrótce mógł obserwować, jak uległy jego woli oficer osobiście eskortuje ich do służby powietrznej. Po upływie kilku minut ścisnął dłonie ludziom, których po raz pierwszy widział na oczy. Prawie natychmiast rozgorzała dyskusja na temat strategii i taktyki. Kilku nowo przybyłych uważało, że Hunstona należy zgładzić. Większość była za jego 'uwięzieniem'. Maltby z zakłopotaniem wysłuchiwał każdego, ze świadomością, że stoi przed najlepszymi, w pewnym sensie, sędziami. Z drugiej strony, bardzo bliski kontakt z niebezpieczeństwem wprowadził ich w stan zdenerwowania. Dopuszczał nawet myśl, że on, śledzący bieg wydarzeń z oddali, może zająć bardziej bezstronne, a więc trafniejsze stanowisko. Nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do tego przypuszczenia, jednakże zaczął zastanawiać się nad sobą w roli arbitra. Zapomniał o wszystkim, gdy ze strony obu grup posypały się pytania:

- Czy na pewno Pięćdziesiąt Słońce wytrwa w postanowieniu ukrycia się przed ziemskim statkiem?
- Czy zauważyłeś może jakieś oznaki załamania?
- Dlaczego zatajono przed ludźmi drugie ultimatum?
- Czy tylko jeden okręt wojenny „Atmion” wyznaczono do śledzenia „Gwiezdnego Roju”?
- Jaki cel kryje się za tym deptaniem wrogowi po piętach?

- W jakiej sytuacji się znajdziemy, gdy Pięćdziesiąt Słońc nagle nawiąże kontakt z tym statkiem?

Przyparty niespodziewanie do muru, potrzebował chwili czasu, aby się zorientować, że pytania tworzą logiczny ciąg i że kryje się za tym nieporozumienie. Podniósł raka.

- Panowie, wyraźnie nie daje wam spokoju pytanie, czy jeśli inni zmienią zamiary, będziemy mogli znieśc pojąć się na scenie i wykorzystać sytuację. To w ogóle nie o to chodzi. Nasze stanowisko polega, na tym, że będziemy twardo stać przy Pięćdziesięciu Słońcami, bez względu na ich decyzję. Działamy jako jednostka w grupie. Nie prowadzimy gry dla osiągnięcia korzyści większych niż te, które nam zaproponowano. Wiem, że jesteście między młotem a kowadłem - kończył nie tak już surowym, bardziej osobistym tonem. - Proszę mi wierzyć, wysoko sobie ceniam wasze opinie, również prywatne. Ale musimy zachować jedność. Nie stać nas na wykorzystanie tej krytycznej sytuacji.

Mężczyźni spoglądali po sobie. Niektórzy, szczególnie młodsi, wyglądali na niezadowolonych, jakby połknęli gorzką pigułkę. Lecz w końcu wszyscy zgodzili się poprzeć „na razie plan Maltby'ego”. Wreszcie padło kluczowe pytanie.

- Co z Hunstonem?

- Chcę z nim pogadać - odpowiedział lakonicznie Maltby.

Collings, najstarszy z najbliższych przyjaciół ojca Maltby'ego, studiował jego twarz przez kilka sekund, po czym wyszedł do kabiny radiowej. Był blady, gdy wrócił.

- Odmawia przybycia tutaj. Mówi, że jeśli chcesz się z nim zobaczyć, możesz do niego zejść. Peter, to obraza.

- Powiedz mu - Maltby nawet nie mrugnął okiem - że zaraz u niego będę. - Uśmiechnął się do ich zatroskanych twarzy. - Panowie - odezwał się donośnym głosem - ten człowiek sani pcha nam się w rękę. Nadajcie przez radio, że schodzę na ziemię •w imię przyjaźni i solidarności w obliczu zagrożenia. Niech z tonu waszego komunikatu przebija lekki niepokój o moje bezpieczeństwo, tylko nie przesadźcie. Oczywiście nic mi się nie stanie - kończył rzeczowo - dopóki ten statek panuje nad sytuacją. Jednakże gdybym nie wrócił za półtorej godziny, spróbujcie skontaktować się ze mną. A potem, krok po kroku, od ostrzeżenia rozpoczynając, zmierzajcie do punktu, w którym otworzycie ogień.

Wbrew wewnętrznemu przekonaniu ogarnęło go dziwne uczucie pustki i osamotnienia, gdy jego pojazd usiadł na dachu kwatery Hunstona. Hunston był wysokim mężczyzną po trzydziestce o ironicznym wyrazie twarzy. Na widok Maltby'ego wchodzącego do jego gabinetu wstał i uściśnął mu dłoń.

- Chciałem odciągnąć cię od naszych sejmikowiczów czepiających się twej nogawki - powiedział spokojnym, miłym tonem - „obraza majestatu” nie była moim zamiarem. Chcę z tobą porozmawiać. Myślę, że zdołam cię przekonać.

Mówił cicho, kulturalnym, ale ożywionym głosem, przedstawiając jednak przestarzałe argumenty o zasadniczej wyższości Mieszkańców. Mówił z głębokim przekonaniem i pod koniec Maltby nie mógł się oprzeć wrażeniu, że główną winą tego człowieka był brak zarówno ogólnych, jak i szczegółowych informacji o świecie zewnętrznym. Zbyt długo przebywał w zamkniętym kręgu ukrytych miast Mieszkańców, zbyt wiele lat przeżył mówiąc i myśląc bez odniesienia do szerszej rzeczywistości. Pomimo swej błyskotliwości, Hunston miał prowincjonalny umysł. Przywódca rebeliantów kończył swój monolog:

- Czy wierzysz, że Pięćdziesiąt Słońc może pozostać w ukryciu przed cywilizacją Ziemi?

- Nie - odparł szczerze Maltby. - Wierzą, że z czasem nas odkryją.

- I pomimo to popierasz ich próżny wysiłek?

- Popieram jedność w tej sytuacji. Wierzą, że byłoby mądrze zachować ostrożność przed nawiązaniem kontaktów. Możliwe nawet, że moglibyśmy ustrzec się przed odkryciem przez sto lat, może jeszcze dłużej.

Hunston milczał. Jego piękna twarz nachmurzyła się.

- Widzą - powiedział - że różni się poglądami.

- Być może - rzekł Maltby z naciskiem, nie spuszczać z niego wzroku - nasze dalekosiężne zamiary są takie same. Być może jest to tylko odmienność metod w dążeniu do tego samego celu. - Twarz Hunstona pojaśniała.

- Ekscelencjo, gdybym mógł w to uwierzyć. - Zamilkł, oczy mu się nagle zwęziły. - Chciałbym usłyszeć wasze zdanie na temat przyszłej roli Mieszkańców w cywilizacji.

- Jeżeli dana im będzie szansa, jeśli użyją legalnych sposobów - spokojnie odparł Maltby - bez wątpienia wysuną się na czołowe miejsce. Nie wykorzystując nieuczciwie swych możliwości umysłowego panowania nad innymi, zdominują najpierw Pięćdziesiąt Słońc, a następnie centralną galaktykę. Ale jeśli kiedykolwiek użyją siły na swej drodze do władzy nad wszechświatem, zostaną wybici do ostatniego mężczyzny, kobiety, dziecka. Hunston miał ogień w oczach.

- Jak długo, myślisz, trzeba na to czekać?

- To może się rozpocząć za twojego i mojego życia. Wymagać będzie przynajmniej tysiąca lat, w zależności od tego, jak szybko Delianie i istoty ludzkie będą się między sobą łączyć, jako że teraz, o czym wiesz, potomstwo jest zakazane w takich małżeństwach...

Hunston przytaknął, zasępiony.

- Zostałem błędnie poinformowany o twoim stanowisku. Jesteś jednym z nas.

- Nie! - stanowczo zaprzeczył Maltby. - Nie mieszaj strategii z krótkowzroczną taktyką. W tym przypadku jest to różnica między śmiercią a życiem. Nawet wzmianka, że spodziewamy się w końcu zdobyć dominację, przestraszy ludzi nastawionych <lo nas z przyjazną rezerwą dzięki obecnym staraniom ich rządów. Jeśli wykażemy naszą wspólnotę z nimi w tej chwili, możemy zrobić dobry początek. Jeżeli zajmiemy stanowisko oportunistyczne, wtedy ta nieliczna rasa superludzi, której obaj jesteśmy przedstawicielami, prędzej czy później zostanie zniszczona.

Hunston zerwał się na nogi.

- Ekscelencjo, zgadzam się. Pójdę z tobą. Zaczekamy jeszcze trochę.

Było to zaskakujące zwycięstwo dla Maltby'ego, który liczył się z koniecznością użycia siły. Wierzył, że Hunston mówi prawdę, jednakże nie zamierzał poprzestać tylko na jego słownym zapewnieniu. Ten człowiek może zmienić zdanie, jak tylko zniknie groźba ze strony „Atmion”. Powiedział mu to otwarcie i zakończył:

- W tej sytuacji muszę poprosić cię o zgodę na sześć miesięcy aresztu, z dala od twoich zwolenników. Będzie to jedynie areszt domowy. Możesz zabrać żonę. Potraktujemy cię z wielkimi honorami i uwolnimy natychmiast, jeśli w tym czasie dojdzie do zbliżenia między Pięćdziesięcioma Słońcami a ziemskim statkiem. Będiesz raczej gościem niż więźniem. Daję ci dwadzieścia cztery godziny na przemyślenie tej sprawy.

Nie próbowano go zatrzymać w drodze do pojazdu, który miał go zabrać z powrotem na „Atmion”. Hunston oddał się w ich ręce pod koniec dwudziestoczworgodzinnego aresztu. Postawił tylko jeden warunek: szczegóły jego aresztu domowego muszą zostać ogłoszone przez radio. Tak oto Pięćdziesiąt Słońc mogło nie obawiać się natychmiastowego ujawnienia, nie ulegało bowiem wątpliwości, że jeden statek nie odnajdzie bez pomocy z zewnątrz nawet jednej planety tak doskonale ukrytej cywilizacji,

Maltby był o to spokojny. Pozostał problem nieuchronnego wykrycia, za parą lat, gdy z głównej

galaktyki nadejdą inne statki. Nieoczekiwanie właśnie teraz, gdy najważniejsze niebezpieczeństwo minęło, zaczął się martwić o przyszłość. Prowadząc statek bojowy Pięćdziesięciu Słońc „Atmion” z powrotem na pierwotny kurs, Maltby rozważał, co właściwie mógłby zrobić dla dalszego zapewnienia bezpieczeństwa ludom z Wielkiego Obłoku Magellana. Uważał, że ktoś powinien zbadać rozmiary tego niebezpieczeństwa. Zadrżał na samą myśl, jak należałoby się do tego zabrać, a jednak z każdą upływającą godziną czuł w sobie coraz większą determinację i przekonanie, że to on, ze swoją dobrą wolą, jest jedyną osobą, nadająca się do tego zadania. Ciągle jeszcze zastanawiał się, jak doprowadzić do pochwylenia własnego statku, gdy odezwały się sygnały alarmowe.

- Lady Laurr, mam ten statek w polu górnego rezonansu.

- Brać go!

VI

Maltby nie wiedział dokładnie, jak to się stało. W początkowych momentach akcji przeciwnika za bardzo chciał dać się złapać. Gdy wiązka promieni przyciągających uchwyciła „Atmion”, było już za późno na analizę, w jaki sposób statek najeźdźców wmanewrował się w pole tych promieni. Coś się działo z Maltbym, fizyczne doznanie wsysania przez wir, odczuwalne napięcie i rozprężanie ciała, jakby rozciągano podstawową materię, z której się składał. Cokolwiek to było, ustało nagle z chwilą, gdy promienie zahaczyły okręt wojenny Pięćdziesięciu Słońc i pociągnęły go ku odległej ciemności, w której tkwił drugi statek, nadal niewidoczny w przestrzeni.

Z bijącym sercem Maltby obserwował przyrządy pomiarowe, czy pomogą mu chociaż w przybliżeniu ocenić wielkość statku nieprzyjaciela. Minuty uciekały, aż zaczął pojmować, że zobaczenie tego statku naprawdę jest niemożliwe. We wszechogarniającej, bezkresnej nocy nawet pobliskie słońca wyglądały jak mętne świetliki. Cechy jakiegokolwiek obiektu można było określić tylko na przestrzeni danego okresu. Ciało tak małe jak statek przypominało pyłek kurzu zagubiony w nieprzeniknionej ciemności.

Jego wątpliwości znalazły potwierdzenie. „Atmion” znajdowała się jeszcze w odległości kilku minut świetlnych od swego zdobywcy, gdy ostry, koszmarny ból wykręcił mu mięśnie. Zdażył się domyślić: paraliżujący promień. I za chwilą wił się w konwulsjach na podłodze sterowni, w ciemnościach, które się wokół niego zamknęły.

Ocknął się napięty, czujny, z przekonaniem, że musi opanować sytuację, obojętne, jaka była. Domyślał się, że mają sposoby, by skłonić go do mówienia. Musiał się nawet liczyć z ewentualnością klęski swego potężnego, podwójnego umysłu, jeśli tylko zaczną podejrzewać, do czego jest zdolny. Rozluźniając mięśnie niepostrzeżenie otworzył oczy. Jakby na dany znak, gdzieś z bliska odezwał się mężczyzna dziwnym, ale zrozumiałym językiem.

- W porządku, teraz przez służbę. - Maltby zaniknął powieki, lecz zdażył rozpoznać znajome pomieszczenie „Atmion”. Najwyraźniej trwał właśnie proces wprowadzania statku bojowego Pięćdziesięciu Słońc do wnętrza wrogiej jednostki. Fakt, że nadal leżał tam, gdzie upadł, w sterowni, oznaczał, że ani oficerowie, ani załoga „Atmion” nie zostali jeszcze przesłuchani. Maltby'ego ogarnęła fala podniecenia. Czyżby to było aż tak proste? Czy to możliwe, że wystarczy, by po prostu ostrożnie przenikał swymi dwoma umysłami i podporządkowywał swej woli każdą istotę ludzką, która znajdzie się w ich zasięgu? I że w ten sposób opanuje całą załogę na pokładzie? Czy to wszystko jest możliwe?

A jednak było możliwe. Właśnie tak. Wraz z innymi prowadzono Maltby'ego korytarzem ciągnącym się daleko w przód. Uzbrojeni członkowie załogi statku ziemskiego, mężczyźni i kobiety, szli na czele i zamykali długi szereg pojmanych. To były pozory. Prawdziwymi więźniami stali się oficerowie dowodzący konwojem. W odpowiedniej chwili dowódca, krzepki, młody mężczyzna po trzydziestce, spokojnie nakazał głównej kolumnie dalszy marsz korytarzem. Maltby oraz pozostali oficerowie astrogacji i meteorologii skręcili w głąb bocznego korytarza do wielkiego apartamentu z kilkoma sypialniami.

- Tu będzie wam dobrze - powiedział ziemski oficer rzeczowo. - Przyniesiemy odpowiednie mundury i możecie poruszać się po statku, ile dusza zapragnie, abyście tylko nie gadali za dużo z naszymi ludźmi. Mamy tu na pokładzie wszystkie typy dialektów, ale żaden nie przypomina waszego. Nie chcemy, aby was spostrzeżono, więc uważajcie na siebie!

Maltby nie martwił się. Oto nadchodził czas, by poznać sam statek i porządek na nim. Już teraz nie miał wątpliwości, że jest ogromny, i że na jego pokładzie znajduje się więcej ludzi, niż jeden

Mieszaniec był w stanie bezpośrednio kontrolować. Podejrzał również istnienie pułapek na nieostrożnego intruza. Lecz takie ryzyko musiał przyjąć. Gdy tylko będzie miał ogólny obraz statku i jego sekcji, szybko zorientuje się w nieznanym niebezpieczeństwie.

Po odejściu strażników wziął udział w wyprawie swych kolegów na kuchnię. Jak się spodziewał, pożywienie niewiele się różniło od ich własnego. Delianie i niedeliańskie humanoidy przywiozły ze sobą domowe zwierzęta tysiące lat temu. A teraz w chłodniach widzieli wołowe befsztyki, kotlety wieprzowe i baranie, pieczone i niesamowitą różnorodność ptactwa pochodzenia ziemskiego, wszystko w osobnych hermetycznych opakowaniach z przezroczystego tworzywa. Podjedli do syta i Maltby z niezwykłą powagą wyjawiał sekret ich położenia. Zdawał sobie doskonale sprawę, że robi rzecz niebezpieczną. Miał do czynienia z bystrymi umysłami i jeśli choć jeden z nich skojarzył to wydarzenie z trwogą ludności Pięćdziesięciu Słońc przed Mieszkańcami, jego raport mógł z powodzeniem przerazić zwierzchników bardziej niż statek ziemski.

Z ulgą powitał oficera wracającego z naręczem mundurów. Problem panowania nad jego umysłem w obecności ludzi z Pięćdziesięciu Słońc był bardzo delikatnej natury. Wymagał, by sama „ofiara” uwierzyła w racjonalną przyczynę takiego właśnie swojego postępowania. Ten osobnik był święcie przekonany, że muszą robić wszystko, by zapewnić sobie przychyłność najważniejszych oficerów pochwyconego statku. Ponadto wydawało mu się, że nie byłoby najsmardziej dzielić się tą informacją bezpośrednio z przełożonymi, i że nie wolno mu rozmawiać o tym z kolegami-oficerami „Gwiezdnego Roju”. W rezultacie był zdecydowany na odpowiednią indoktrynację swych ludzi, aby umożliwić Maltby'emu i jego kolegom ograniczone poruszanie się po okręcie. Nie zamierzał natomiast dostarczyć im zbyt wielu informacji o samym „Gwiezdnym Roju”. Jak długo działało się to w obecności innych, Maltby akceptował ograniczenie. Lecz to on towarzyszył oficerowi, gdy ten oddalił się ze świadomością spełnionego zadania.

Ku zmartwieniu Maltby'ego człowiek okazał się niewrażliwy na wszelkie naciski, gdy chodziło o wiadomości na temat statku. Miał dobre chęci, lecz nie był w stanie podzielić się tego rodzaju wiedzą. Coś go powstrzymywało, jakiś zakaz wewnętrzny, być może również hipnotycznej natury. Wreszcie stało się jasne, że o pewne rzeczy Maltby musiał zapytać wyższych rangą oficerów, którzy cieszyli się swobodą wyboru. W sposób oczywisty oficerom młodszym brakowało tej swobody, a na analizę i przełamanie bariery ochronnej ich umysłów Maltby'emu brakowało czasu.

Domyślał się, że dowództwo statku stwierdza brak astrogatorów i meteorologów z „Atmion”. Interesuje się tym ktoś o wojskowym sposobie myślenia, zdecydowanym i groźnym. Gdyby tylko miał szansę porozmawiać z tą kobietą, która dowodzi ziemskim statkiem... Ale już to samo w sobie pociągnie inne niezbędne kroki. Ucieczkę?

Chociaż nie stać go było na tracenie czasu, musiał zmarnować dwie godziny dodatkowo na zahipnotyzowanie odpowiednich oficerów, na opanowanie ich w taki sposób, by na dany znak wspólnie zorganizowali im ucieczkę. Za każdym razem zmuszony był posłużyć się faktycznym lub wyssanym z palca rozkazem wyższego oficera w celu uzyskania automatycznej aprobaty dla swego żądania. Z ostrożności służył wyjaśnieniem, że „Atmion” zostanie uwolniona w geście przyjaźni wobec rządu Pięćdziesięciu Słońc, po czym zakomunikował z pozytywnym skutkiem najwyższemu stopniem oficerowi, że pierwszy kapitan chce się z nim widzieć. Miał mgliste pojęcie, jaki będzie koniec tego wszystkiego.

Porucznik Neslor przysła na pomost dowodzenia i usadowiła się na krześle. Westchnęła.

- Coś tu nie gra - zauważyła.

Pierwszy kapitan oderwała wzrok od tablicy kontrolnej i popatrzyła badawczo na starszą kobietę. W końcu zachnęła się i powiedziała poirytowanym głosem:

- Na pewno niektórzy ludzie z Pięćdziesięciu Słońc wiedzą, gdzie są ich planety. Psycholog pokręciła głową.

- Nie znaleźliśmy żadnych oficerów astrologacji na pokładzie. Pozostali więźniowie byli tym tak samo zaskoczeni jak ja.

Pierwszy kapitan zmarszczyła brwi.

- Chyba nie rozumiem - powiedziała powoli.

- Jest ich pięciu - mówiła porucznik Neslor. - Wszystkich widziano parę minut przed wciągnięciem „Atmion”. Teraz ich nie ma.

Lady Laurr zaczęła się spieszyć.

- Przeszukać statek! Ogłosić powszechny alarm! Znieruchomiła na pół odwrócona ku wielkiej tablicy kontrolnej. Z zastanowieniem spojrzała na psychologa.

- Widzę, że nie uważasz tego za najlepszy sposób.

- Mieliśmy już jedno doświadczenie z Delianinem - padła odpowiedź.

Lady Gloria zadrżała lekko. Wspomnienie Czatownika Gisser, mężczyzny schwytanego na stacji meteorytovej, było jeszcze żywe.

- Więc co radzisz? - spytała po chwili.

- Czekać! Muszą mieć jakiś plan, bez względu na to, w jaki sposób uniknęli naszych czujników energetycznych. Chciałabym zobaczyć, do czego dążą, czego szukają.

- Rozumiem - pierwszy kapitan wstrzymała się od komentarza. Patrzyła w jeden punkt jak urzeczona.

- Oczywiście - odezwała się porucznik Neslor - potrzebna ci będzie ochrona. Biorę to na siebie. - Kapitan Laurr wzruszyła ramionami.

- Naprawdę nie wyobrażam sobie, jak ktoś obcy może mieć chociażby cień nadziei, że trafi do mojego apartamentu. Gdybym kiedykolwiek zapomniała metody, nawet nie próbowałabym łamać sobie głowy, jak znaleźć drogę. - Milczała przez chwilę. - Czy to wszystko, co możesz doradzić? Tylko czekać, co się stanie?

- Wszystko. - Młoda kobieta pokręciła głową.

- Mnie to nie wystarcza, moja droga. Zakładam, że moje wcześniejsze rozkazy dotyczące przedsięwzięcia środków ostrożności zostały wprowadzone w życie i obowiązują nadal. - Obróciła się raptownie od tablicy kontrolnej. Za chwilę na ekranie ukazała się twarz.

- Aha, kapitanie - odezwała się Gloria - co robi w tej chwili pańska policja?

- Patroluje i strzeże - padła odpowiedź.

- Z jakim skutkiem?

- Statek jest całkowicie zabezpieczony przed przypadkową eksplozją. Wszystkie bomby są pod opieką, zdalnie sterowane czujniki obserwują główne wejścia. Nic nie może nas zaskoczyć.

- Świetnie - powiedziała pierwszy kapitan Laurr - miejcie się na baczności. - Ziewnęła rozłączając się. - Myślą, że pora spać. Dobranoc, kochanie.

Porucznik Neslor podniosła się.

- Jestem zupełnie pewna, że możesz spać spokojnie. - Wyszła. Kapitan spędziła pół godziny na dyktowaniu poleceń dla różnych sekcji, zaznaczając dla każdej czas ich przekazania. Niebawem rozebrała się i położyła do łóżka. Zasnęła prawie natychmiast.

Obudziła się z uczuciem dziwnego niezadowolenia. Jak zwykle, poza bladym światłem od tablicy kontrolnej, pomost tonął w ciemnościach, lecz po chwili pomyślała ze zdumieniem: ktoś jest w pokoju. Leżała zupełnie nieruchomo chłonąc atmosferę zagrożenia i wspominając, co mówiła porucznik Neslor. Wydawało się niewiarygodne, aby ktoś nie obeznany z tym monstrualnie wielkim

statkiem znalazł ją tak szybko. Teraz oczy, przyzwyczajone już do ciemności, zdolne były odróżnić w tym mroku sylwetką ludzką parę stóp od łóżka. Intruz najwyraźniej czekał, aż go odkryje. Musiał w jakiś sposób wiedzieć, że nie śpi, ponieważ odezwał się:

- Nie zapalaj światła. I zachowaj spokój.

Głos był łagodny, prawie delikatny, co ją tylko przekonało, że człowiek jest niezwykle niebezpieczny. Jego rozkaz zatrzymał ją w łóżku z ręką znieruchomiałą na pościeli. Wzbudził nawet lęk, że umrze, zanim ktokolwiek zjawi się na ratunek. Mogła tylko mieć nadzieję, że porucznik Neslor nie śpi i wszystko widzi.

- Nic o ci się nie stanie, jeśli zrobisz dokładnie to, co powiedziałem - odezwał się znowu mężczyzna.

- Kim jesteś? - Jej ton zdradzał pragnienie dowiedzenia się tego.

Maltby nie odpowiedział. Znalazł sobie krzesło i rozsiadł się na nim, lecz nie był uszczęśliwiony swoją sytuacją. Za dużo urządzeń mechanicznych znajdowało się na pokładzie tego okrętu wojennego, aby mógł mieć jakiegokolwiek poczucie bezpieczeństwa. Mogli go pokonać, nawet zgładzić bez ostrzeżenia. Z łatwością potrafił sobie wyobrazić, że nawet w tej chwili jest pod obserwacją z jakiegoś niewidzialnego miejsca, będącego poza zasięgiem jego możliwości kontroli.

- Nic się pani nie stanie - zaczął wolno - jeśli sama pani nie uczyni nic jawnie wrogiego. Przyszedłem tu z nadzieją usłyszenia odpowiedzi na parę pytań. Aby panią uspokoić, wyjaśnię, że jestem jednym z astrogatorów statku Pięćdziesięciu Słońc „Atmion”. Nie będę wnikał w szczegóły tego, jak wam umknęliśmy, a rozmawiam z panią w ten sposób z powodu waszej propagandy. Miała pani rację sądząc, że w narodzie Pięćdziesięciu Słońc nie ma jedności. Niektórzy uważają, że powinniśmy przyjąć wasze warunki. Inni się boją. Oczywiście ci bojaźliwi stanowią większość, więc zwyciężyli. Zawsze bezpieczniej wydaje się czekać i mieć nadzieję.

Zamilkł, analizując w myśli to, co powiedział, i chociaż mógł to ładniej wyrazić - tak mu się przynajmniej wydawało - słowa zawierały właściwy sens. Jeśli ludzie z tego statku skłonni byli uwierzyć w ogóle w cokolwiek, co miał im do powiedzenia, to w fakt, że on i inni jemu podobni są ciągle jeszcze niezdecydowani. Maltby podjął w ten sam rozważny, niespieszny sposób:

- Reprezentuję grupę zajmującą wyjątkową pozycję w tych wydarzeniach. Tylko astrogatorzy i meteorologowie z różnych planet i statków są w stanie podać położenie zamieszkałych światów. Prawdopodobnie dziesiątki tysięcy potencjalnych zdrajców poświęciłoby swych ziomków dla własnych korzyści, lecz nie ma takich pośród wysoko wyspecjalizowanego i karnego personelu administracyjnego bądź wojskowego. Jestem pewny, że rozumie pani doskonale, co to znaczy.

W miarę jak Maltby mówił, kobieta odprężała się stopniowo. Jego słowa brzmiały rozsądnie; jego intencje wyglądały dziwnie, lecz wiarygodnie. To, co ją trapiło, wydawało się drobiazgiem w porównaniu z całym zdarzeniem. Jak on znalazł drogę do jej pokoju? Każdy mniej od niej zaznajomiony z zawiłościami budowy statku przyjąłby za fakt obecność gościa i na tym poprzestał. Ale ona знаła wartość prawdopodobieństwa, o które tu chodziło. Zupełnie jakby przybył do obcego miasta, zamieszkałego przez trzydzieści tysięcy ludzi, i pomaszerował prosto do mieszkania osoby, z którą chciał się zobaczyć. Pokręciła ledwo dostrzegalnie głową, odrzucając taką możliwość; czekała na jego dalsze słowa. Już się upewniła co do własnego bezpieczeństwa - a poza tym była z każdą chwilą coraz pewniejsza obecności porucznik Neslor na posterunku. Może się nawet czegoś dowie.

- Musimy wiedzieć trochę więcej - mówił Malt-by. - Decyzja, którą staracie się na nas wymusić, jest trudna, więc wszyscy pragniemy ją odwlec. Byłoby nam o wiele łatwiej, gdybyście powrócili do głównej galaktyki i przysłali tutaj inny statek kiedyś w przyszłości. Mielibyśmy wtedy czas na

przygotowanie się do tego, co nieuchronne, i nikt nie znalazłby się wobec przykryj konieczności zdradzenia rodaków.

Gloria skinęła głową w ciemności. To mogła zrozumieć.

- Co chcesz wiedzieć? - odezwała się.

- Jak długo przebywacie w Wielkim Obłoku Magellana?

- Dziesięć lat.

- Jak długo zamierzacie tu zostać?

- Na to nie potrafię odpowiedzieć - powiedziała pierwszy kapitan pewnym głosem. Uderzyło ją, że stwierdzenie jest zgodne z prawdą, przynajmniej jeśli o nią chodzi. Głosowanie miało nastąpić za dwa dni.

- Stanowczo doradzam odpowiedzieć na moje pytanie - rzekł Maltby.

- Co się stanie, jeśli nie odpowiem? - gdy wypowiadała te słowa, jej dłoń, niepostrzeżenie sunąca w kierunku małej tablicy kontrolnej na krawędzi łóżka, osiągnęła cel. Triumfalnie nacisnęła jeden z guzików i natychmiast rozluźniła się. Z ciemności dobiegł ją głos Maltby'ego:

- Postanowiłem pozwolić na to. Mam nadzieję, że dzięki temu poczujesz się bezpieczniej.

Jego spokój wprawiał ją w zakłopotanie, lecz zastanawiała się, czy na pewno zdawał sobie sprawę, co zrobiła. Wytlumaczyła oziębłe, że właśnie uaktywniła zespół świateł znanych jako regulujące. Od tej chwili będą go obserwować swymi mnogimi elektronicznymi oczyma. Wszelka próba użycia broni energetycznej z jego strony spotka się z siłą przeciwdziałającą. Również i ona nie mogła użyć broni, lecz uznała za stosowne nie wspominać o tym.

- Nie zamierzam użyć broni energetycznej - powiedział Maltby. - Ale chciałbym, żebyś odpowiedziała na dalsze pytania.

- Dobrze - jej głos grzmiał łagodnie, ale zaczynała się już irytować na porucznik Neslor. Na co, u licha, ona jeszcze czeka?

- Jak wielki jest ten statek? - zapytał Maltby.

- Ma tysiąc pięćset stóp długości i załogą składającą się z trzech tysięcy osób: oficerów i niższej szarży.

- To bardzo duży statek - Maltby był pod wrażeniem tej informacji i zastanawiał się, na ile przesadziła.

Pierwszy kapitan nie odzywała się. W rzeczywistości statek był dziesięć razy większy. Ale liczyła się nie tyle wielkość statku, ile jego wyposażenie. Była prawie pewna, że pytający nie zaczął nawet pojmować, jak ogromny jest ofensywny i obronny potencjał wielkiego okrętu, jakim dowodziła. Zaledwie kilku wysokich oficerów rozumiało charakter pewnych sił, które mogła uruchomić. Oficerowie ci powinni znajdować się w tej chwili pod nieustannym nadzorem zdalnie kierowanych czujników.

- Zastanawiam się, jak właściwie zostaliśmy pojmani. Mogłabyś mi wyjaśnić? - usłyszała głos Maltby'ego.

Więc wreszcie doszedł do tego. Kapitan Laurr podniosła głos.

- Poruczniku Neslor?

- Tak, szlachetna pani - nadeszła natychmiast gdzieś z ciemności odpowiedź.

- Nie uważasz, że ta komedia trwa dostatecznie długo?

- Zaiste. Zabić go?

- Nie. Teraz on odpowie na pewne pytania.

Spiesząc do transmitera Maltby już panował nad jej umysłem. Za jego plecami...

- Nie strzelaj! - krzyknęła Gloria pełnym napięcia głosem. - Puść go!

Nawet później nie podawała w wątpliwość tego rozkazu, czy raczej swego impulsu, który doprowadził do jego wydania. Jak to sobie sama później tłumaczyła, skoro intruz nie zagroził jej bezpieczeństwu i skoro był jednym z tak potrzebnych astrogatorów, zniszczenie go, aby nie uciekł do jakiejś innej części statku, byłoby aktem irracjonalnym. W rezultacie Maltby spokojnie opuścił pomost, co umożliwiło mu danie znaku, który uwolnił „Atmion”. Gdy statek Pięćdziesięciu Słońc zniknął w dali, oficerowie statku ziemskiego, zgodnie z ostatecznym nakazem Maltby'ego, zaczęli zapominać o swojej roli w ucieczce. Z subiektywnego punktu widzenia tyle tylko osiągnął. Dostać się na wrogi statek i opuścić go bez kłopotów - już samo to wydawało się wystarczająco ryzykownym przedsięwzięciem. Zdobyte informacje nie były w sumie zadowalające, lecz przekonał się, że mają do czynienia z ogromnym statkiem. „Gwiezdny Rój” będzie musiał mieć się na baczności przy spotkaniu z flotą, ale Maltby nie miał wątpliwości, że przeciwnik posiadał broń pozwalającą mu zniszczyć kilka statków wojennych Pięćdziesięciu Słońc jednocześnie. Najbardziej gryzł się nie znaną jeszcze reakcją na ten incydent ze strony oficerów załogi „Atmion” i w ogóle ludności Pięćdziesięciu Słońc. Wszystko było zbyt powikłane, jak na umysł jednego człowieka. Jeszcze trudniejsze do przewidzenia wydawały się wydarzenia na pokładzie „Gwiezdnego Roju”. Reakcje nie ujawniły się od razu. Maltby zdawał sobie sprawę, że admirał Dreehan wysłał raport do rządu Pięćdziesięciu Słońc. Ale nic się nie działo przez dwa dni. Trzeciego dnia odebrali wiadomość z „Gwiezdnego Roju”, że drastycznie zmienił on kierunek. Przyczynę zmiany kryła tajemnica. Czwartego dnia ekran w kabinie Maltby'ego rozjaśnił się podobizną admirała Dreehana.

- Komunikat ogólny do wszystkich szarż - oznajmił dowódca grobowym głosem. - Otrzymałem właśnie następującą wiadomość z kwatery głównej naszej floty. - Beznamiętnie odczytał wiadomość: - Niniejszym ogłasza się stan wojny między narodami Pięćdziesięciu Słońc a ziemskim statkiem „Gwiezdny Rój”. Flota otrzymuje rozkaz przecięcia mu drogi i wydania bitwy. Statki niezdolne do prowadzenia walki i zagrożone wpadnięciem w ręce wroga muszą zniszczyć mapy gwiazdne, a wszyscy oficerowie meteorologii i astrogacji na ich pokładach mają odebrać sobie życie w imię patriotycznego obowiązku. Wolą suwerennego rządu Pięćdziesięciu Słońc jest zniszczenie najeźdźcy.

Maltby pobladł i w napięciu wsłuchiwał się, jak Dreehan kontynuuje zmieniając ton na bardziej konwersacyjny:

- Dostałem poufną informację, że rząd wyciągnął wnioski z faktu, że „Gwiezdny Rój” uwolnił „Atmion”, aby uniknąć naszego gniewu. Na podstawie tej i innych przesłanek przywódcy nasi zdecydowali, że ziemski statek można zniszczyć zdecydowanym atakiem. Jeśli my bez uchybień wypełnimy otrzymane polecenie, wtedy nawet przechwycenie pojedynczych statków nie zapewni wrogowi przewagi. Wyzaczyłem już plutony egzekucyjne dla wszystkich oficerów meteorologii i astrogacji, na wypadek gdyby załamali się w krytycznym momencie, więc proszę o tym pamiętać. Kapitan Peter Maltby, główny meteorolog „Atmion” i jej młodszy astrogator, poczuł ściskanie w dołku, kiedy uświadomił sobie, że oto klamka zapadła. Ustalił politykę wspólnego działania z obywatelami Pięćdziesięciu Słońc. Wykluczone, aby teraz, z prywatnych pobudek, odzegał się od niej. Jediną nadzieję widział w tym, że „wilki przestworzy”, jak często nazywano okręty wojenne, w gromadzie szybko rozprawią się z pojedynczym statkiem Ziemi. Natknęły się na tygrysa.

VII

Przegrała głosowanie okrutnym stosunkiem dziewięć do dziesięciu. Ponuro wydała rozkaz zawrócenia wielkiego statku do domu. Nieco później tego samego dnia otrzymała pytanie z Łączności.

- Czy nadal podajemy dane o naszym kursie? Na tyle jeszcze miała władzy.

- Oczywiście - odparła krótko. Następnego popołudnia wyrwał ją z drzemki dźwięk dzwonek alarmowych.

- Tysiące statków przed nami! - meldował oficer operacyjny.

- Prędkość bojowa! Na stanowiska! - zakomenderowała.

Po wykonaniu tych rozkazów, gdy prędkość statku nie przekraczała tysiąca mil na sekundę, wystąpiła na naradzie kapitanów.

- Cóż, panie i panowie - powiedziała z nie ukrywanym zachwytem - czy otrzymam upoważnienie na przyjęcie bitwy z flotą krnąbrnego rządu, który w tej chwili udowodnił, że stać go na najbardziej nieprzyjemne posunięcia przeciwko cywilizacji ziemskiej?

- Gloria - odezwała się jedna z kobiet - nie dokuczaj nam. To jeden z tych momentów, kiedy musisz mieć rację.

Jednogłośnie zdecydowano podjęcie walki. Po głosowaniu padło pytanie:

- Zniszczymy ich czy weźmiemy do niewoli?

- Weźmiemy do niewoli.

- Wszystkich?

- Wszystkich.

Flota Pięćdziesięciu Słońc i ziemski statek znajdowały się w odległości około czterdziestu milionów mil od siebie, gdy „Gwiezdny Rój” ustawił pole zaporowe obejmujące rozległą część przestrzeni. Tworzyło miniaturowy wszechświat o bardzo wysokim stopniu zakrzywienia. Statki, na pozór pędzące przed siebie, zawracały łukiem ciągle na to samo miejsce. Próby wyrwania się z pułapki przez nabieranie prędkości większej od światła spełzały na niczym. Rakiety wystrzelone w źródło tego pola zawróciły i trzeba było eksplodować je w przestrzeni, aby nie raziły własnych statków. Nie mogli nawiązać łączności z żadną planetą Pięćdziesięciu Słońc. Po upływie około czterech godzin „Gwiezdny Rój” zapuścił wiązki promieni przyciągających. Jedna za drugą jednostki floty zbliżały się nieubłaganie do gigantycznego statku wojennego. W tej właśnie chwili wydano surowe rozkazy oficerom meteorologii i astrogacji. Na „Atmion” Maltby był jednym z pobladłej grupki mężczyzn ściskających dłonie admirałowi Dreehanowi, by zaraz po tym, w obecności oficera dowodzącego, przyłożyć miotacz energii do skroni. W ostatniej sekundzie zawahał się. Mógłbym zapanować nad niani teraz, w tym momencie, i ocalić życie. Ze złością powiedział sobie, że cała ta historia jest daremna i niepotrzebna. Odkrycie Pięćdziesięciu Słońc jest nieuniknione w tym sensie, że i tak prędzej czy później nastąpi, bez względu na to, co on zrobi. Lecz zaraz pomyślał: Tego właśnie broniłeś wobec Mieszkańców. Musimy być razem z nimi, do końca, jeśli trzeba. Krótka chwila jego wahania dobiegła końca. Dotknął aktywatora broni.

Kiedy personel techniczny wciągał na pokład pierwsze pojmane statki, nie posiadająca się z radości młoda kobieta na pomoście dowodzenia największego okrętu, jaki kiedykolwiek dotarł do Wielkiego Obłoku Magellana, dowiedziała się o samobójstwach. Ogarnęła ją litość.

- Ożywić ich wszystkich! - nakazała. - Nie ma potrzeby, aby ktokolwiek umierał.

- Niektórzy z nich są paskudnie poszarpani. Użyli miotaczy energii.

Spochmurniała. Oznaczało to niesamowitą ilość dodatkowej pracy.

- Głupcy! - powiedziała - prawie zasłużyli na śmierć. - Pohamowała gniew. - Użyjcie wszelkich możliwych środków. Gdy zajdzie potrzeba, przepuście całe statki przez transmitery materii, ze szczególną troską o syntezę uszkodzonych tkanek i narządów.

Późno w porze snu siedziała za biurkiem przyjmując meldunki. Przyprawiono jej kilku przywróconych do życia astrogatorów, których przesłuchiwała z pomocą porucznik Neslor z Ośrodka Psychologii. Zanim, udała się na spoczynek, zagubiona cywilizacja została odnaleziona.

VIII

Milami i latami dryfował gaz. Odpadki z dziesięciu tysięcy słońc, dyfuzyjna miazma wygasłych eksplozji, obumarłych ogni piekielnych i furii stu milionów oszalałych plam słonecznych, bez kształtu, bez celu. To był dopiero początek. Gaz wypełzał w wielką ciemność. Zawierał wapń, sód i wodór, większość pierwiastków, a prędkość dryfowania dochodziła do dwudziestu mil na sekundę. Trwał nieskończony okres, w którym siły grawitacji nie ustawały ani na chwilę. Dająca początek masa rozdzieliła się. Wielkie kleksy gazu nabrały pozorów kształtu w rozległych, oddzielnych obszarach, sunąc naprzód coraz dalej i dalej. Wreszcie dotarły do miejsca, w którym dawno temu tysiące rozszarżonych gwiazd wytrwale „przecinało szlak” głównego strumienia materii międzygwiazdnej obszaru I. Przecięły, pozostawiając własne ekskrementy obszaru II. Pierwsze zderzenie ożywiło rozległe światy gazu. Obłok negatonów niczym szarżująca kawaleria wbił się w mgłę pozytronów obcej materii nacierających z równą gwałtownością. W jednej chwili lżejsze orbitalne pozytrony i negatony uległy unicestwieniu, rozplywając się w wybuchu intensywnego promieniowania. Rodził się sztorm. Odarte jądra materii gwiazd niosły teraz straszliwe, nieźrównoważone ładunki ujemne, odpychające elektrony, lecz ściągające do siebie atomowe jądra materii międzygwiazdnej. Ze swej strony, jądra tej materii przyciągały dodatnie nukleony. Wynik znoszenia się ładunków był gwałtowny ponad wszelkie wyobrażenie. Dwie przeciwstawne masy napierały i kłębiły się w kataklizmie wzajemnej reakcji. Uprzednio podążały w odmiennych kierunkach, teraz coraz bardziej stawały się jednym splątanim, kipiącym wirem. Niezdecydowany z początku, nowy kierunek ustalił się, po czyni frontem szerokim na - dziewięć lat świetlnych, z prędkością niewiele ustępującą prędkości światła, sztorm runął ku swemu przeznaczeniu. Porwał słońca w otchłań na pół stulecia, wypluł za sobą i tylko bombardowanie promieni kosmicznych wskazywało, że stanowiły one centrum poza tym niedostrzegalnego atomowego spustoszenia. W swym czterysta dziewiętnastym roku syderalnym sztorm przeciął orbitę Novej w ułamku sekundy. Teraz dopiero ruszył.

Na trójwymiarowej mapie Centralnej Stacji Meteorologicznej Komendy Głównej na planecie Kaider III sztorm zabarwiono na pomarańczowo, co oznaczało, że był największym z ponad czterystu sztormów szalejących w rejonie Wielkiego Obłoku Magellana zajmowanym przez Pięćdziesiąt Słońc. Widniał jako nieregularna plama czołem sięgająca szerokości 473, długości 228, centrum 190 parseków w specyficznej skali Pięćdziesięciu Słońc, której stopnie nie miały żadnego odniesienia do środka magnetycznego całego Obłoku. Meldunek o Novej nie został jeszcze naniesiony. Gdy to się stanie, plama nabierze koloru agresywnej czerwieni.

Przestali spoglądać na mapę. Maltby stanął pośród grona polityków przy olbrzymim oknie, wpatrując się w ziemski statek. Stanowił on zaledwie srebrzysty cień w głębi nieba. Lecz jego widok wydawał się paraliżująco fascynować starszych mężczyzn. Maltby odczuwał spokój, był opanowany, ale i ironiczny. To zabawne, że ci... obywatele Pięćdziesięciu Słońc w godzinie trwogi wzywają na pomoc jego. Odwrócił oczy od statku i skupił stalowe spojrzenie na pulchym, pocącym się przewodniczącym samorządu Kaider III. Koncentrując umysł ściągnął na siebie wzrok tego człowieka. Radca, nieświadom przymusu, widząc tylko, że się obrócił, otworzył usta.

- Zrozumiał pan instrukcje, kapitanie Maltby? Maltby kiwnął głową.

- Zrozumiałem.

To było za mało powiedziane. Przyjął ich stanowisko, ich cel za integralną część swej wiary, że tylko najdalej idące współdziałanie umożliwi Mieszkańcom bezpieczne zajęcie należnego im miejsca w cywilizacji, z której wyrosli. A spóźniony już opór Pięćdziesięciu Słońc skazywał ją na zagładę.

Nie do niego, jako oficera, należało kwestionowanie ich logiki. Lakoniczna odpowiedź musiała wywołać żywe wspomnienie. Tłusta gęba sfałdowała się jak porażona skurczem galareta i pokryły ją nowe krople potu.

- Kapitanie Maltby, pan nie może zawieść, nie może pan. Poprosili o meteorologa, by doprowadził ich na Cassidor VII, siedzibę rządu centralnego. Nie mogą tam dotrzeć. Musi ich pan wpakować w wielki sztorm na szerokości 473. Zleciliśmy to zadanie panu, ponieważ pan posiada podwójny umysł Mieszkańca. Żałujemy, że w przeszłości nie zawsze docenialiśmy i w pełni pańską służbę. Ale musi pan przyznać, że po wojnach z Mieszkańcami całkiem naturalna była nasza ostrożność wobec...

Maltby uciał kulawe usprawiedliwienie.

- Nie ma o czym mówić - odparł. - Moim zdaniem Mieszkańcy siedzą w tym równie głęboko, jak Delianie i Niedelianie. Zapewniam pana, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby zniszczyć ten statek.

- Uważaj! - radca przestrzegł go w podnieceniu. - W jednej chwili może roznieść w pył nas, naszą planetę, nasze słońce. Nie wyobrażaliśmy sobie, że Ziemia mogła nas tak bardzo wyprzedzić i skonstruować tak straszliwie potężną machinę. W końcu są wśród nas Delianie, no i oczywiście Mieszkańcy, którzy potrafią pracować naukowo pierwsi zresztą niczego innego nie robią od tysięcy lat. Na koniec nie zapomnij, że nie prosimy cię o poświęcenie życia. Ten statek wojenny jest nie do pokonania. Nie powiedziano nam podczas jego zwiedzania, jak właściwie przetrwa prawdziwy sztorm. Lecz przetrwa. Z pewnością jednak wszyscy na pokładzie stracą przytomność. Jako Mieszkaniec odzyskasz ją pierwszy. Połączone siły naszej floty, która, jak wiesz, została uwolniona, bada czekać na twój znak do abordażu. Czy to jasne?

Było to jasne od pierwszej chwili, gdy plan został przedstawiony, lecz ci Niedelianie anieli zwyczaj powtarzania się, jak gdyby myśli traciły jasność w ich własnych głowach. Gdy drzwi od wielkiej sali zamknęły się za Maltbym, jeden z radców zwrócił się do sąsiada:

- Czy powiedziano mu, że sztorm minął Novą? Grubas usłyszał. Pokręcił głową. Oczy mu zapłonęły, gdy spokojnie wyjaśnił:

- Nie. W końcu to jeden z Mieszkańców. Nie możemy mu zbyt ufać, bez względu na jego przeszłość.

IX

Przez cały ranek napływały meldunki. Niektóre wskazywały na poczynione postępy, inne były mniej optymistyczne. Ale potknięcia nie zmąciły jej ogólnie dobrego nastroju. To że szczęście jej nie opuściło, stało się cudownym faktem. Nadchodziły informacje, na których jej zależało: ludność Kaider III – dwa miliardy sto milionów; dwie piąte Delianie, trzy piąte Niedelianie. Ci pierwsi, tak zwane roboty, górowali psychicznie i fizycznie nad drugimi, lecz brakowało im zdolności twórczych. Niedelianie dominowali w pracowniach naukowych. Czterdzieści dziewięć pozostałych słońc okrążanych przez zamieszkałe planety nazwano w alfabetycznym porządku:

1) Assora: szerokość 931, długość 27, centrum 201 parseków.

2) Atmion...

Ciągnęło się to bez końca. Tuż przed północą zorientowała się z chłodnym rozbawieniem, że nadal nic nie nadchodzi z Meteorologii, zupełnie nic na temat burz. Wybrała odpowiednie połączenie.

- Co się dzieje, poruczniku Cannons? Twoi asystenci bez przerwy kopiują rozmaite mapy z Kaider. I co, bez rezultatu?

Staruszek potrząsnął głową.

- Jak zapewne pani pamięta, tamten złapany przez nas w przestrzeni robot miał czas wysłać ostrzeżenie. Natychmiast zniszczono wszystkie mapy nawigacyjne na każdej planecie Pięćdziesięciu Słońc, statki handlowe pozbawiono radiostacji do utrzymywania łączności podprzestrzennej, rozkazując im udać się na pierwszą lepszą planetę i pozostać tam aż do odwołania. Na mój rozum dokonali tego wszystkiego, zanim jeszcze stało się oczywiste, że ich flota nie ma przeciwko nam żadnych szans. Teraz dadzą nam meteorologa, ale będziemy musieli polegać na naszym detektorze kłamstw, by sprawdzić, czy mówi prawdę, czy nie.

- Rozumiem - posłała mu uśmiech. - Nie ma obawy. Nie odważą się otwarcie wystąpić przeciwko nam. Niewątpliwie coś knują, ale to już niczego nie zmieni teraz, gdy możemy podjąć odpowiednie kroki, by wprowadzić w życie nasz ostateczny plan. Obojętne kogo przyślą, musi powiedzieć prawdę. Dajcie mi znać, gdy się zjawi.

Lunch zjadła przy biurku. Obserwując zmieniające się w astrowizjerze obrazy, łowiąc uchem szmery rozmów, gromadziła w głowie fakty i składała je w ogólny obraz sytuacji.

- Nie ulega wątpliwości, kapitanie Turgess - nie wytrzymała w pewnej chwili - że kłamią jak najęci. Niech tak będzie. Możemy zastosować psychologiczny test do weryfikacji wszystkiego, co ważne. Na razie najważniejsze, żeby uspokoił pan obawy każdego, kogo uważa pan za konieczne przesłuchać. Musimy przekonać tych ludzi, że Ziemia przyjmuje ich jak równych, bez uprzedzeń czy przesądów jakiegokolwiek rodzaju z powodu ich robotowego poch... - Zagryzła wargę. - Paskudne słowo, najgorszy rodzaj propagandy. Musimy usunąć je z naszych myśli.

- Obawiam się - oficer wzruszył ramionami - że z naszych myśli usunąć go >się nie uda.

Wpatrywała się w niego zwężonymi oczami, po czym ze złością przerwała połączenie. W chwilą później mówiła do ogólnego przekaźnika:

- Zabrania się używać słowa „robot”... nikt z personelu... pod karą grzywny... - Kończąc zablokowała swój zapasowy odbiornik i wezwała Ośrodek Psychologii.

Z ekranu wychyliła się porucznik Neslor.

- Przed sekundą słyszałam pani rozkaz - powiedziała psycholog. - Boję się jednak, że mamy do czynienia z najgłębiej zakorzenionymi instynktami ludzkiego zwierzęcia - nienawiścią lub strachem przed nieznanym, obcym. Ekscelencjo, pochodzimy od długiej linii przodków, którzy w swoich czasach uważali się za coś lepszego od innych z powodu drobnej różnicy w pigmentacji skóry.

Historia mówi, że nawet kolor oczu wpływał na decyzje dziejowe. Żeglujemy po bardzo głębokich wodach i jeżeli w dobrej formie dobijemy do portu, będzie to koronne osiągnięcie naszego życia.

W głosie pani psycholog pobrzmiwał ton entuzjazmu, który u pierwszego kapitana wywołał dreszcz radości. Jeśli cenila coś naprawdę, to optymizm ludzi podchodzących do wszelkich przeszkód bez cienia niewiary w możliwości ich pokonania, z młodzieńczym zapałem, wołą zwycięstwa. Uśmiechała się jeszcze po zakończeniu rozmowy. Euforia minęła. Pozostał problem i chłodna kalkulacja. Jej problem. Tylko jej. Wszyscy oficerowie pochodzenia arystokratycznego posiadali nieograniczone pełnomocnictwa i oczekiwano od nich, że znajdą wyjście z każdej sytuacji, aż po sprawy całych grup systemów planetarnych. Ponownie wywołała Meteorologię.

- Poruczniku Carmons, gdy przybędzie oficer floty Pięćdziesięciu Słońc, proszę zastosować następującą taktykę...

Maltby ruchem ręki odprawił kierowcę pojazdu. Maszyna zniknęła za rogiem, a Maltby został patrząc wilkiem na jaskrawą barierę energii blokująca dalszy ruch uliczny. Na koniec raz jeszcze spojrzął na ziemski statek. Teraz wisiał dokładnie nad jego głową, po tym jak Maltby przemierzył tyle mil przez całe miasto, aby tu przybyć. Był niesamowicie wysoko - długa, czarna torpeda, prawie całkowicie skryta we mgle oddalenia. Lecz niezależnie od wysokości nadal przewyższał znacznie wielkością wszystko, co kiedykolwiek widziało Pięćdziesiąt Słońc, niewygodny, metaliczny wytwór świata tak odległego, ze prawie legendarnego. Tutaj stanowił rzeczywistość. Sprawdzą, pomyślał, przeprowadzą wnikliwe testy, zanim zaakceptują chociaż jedną jego orbitę. Nie żeby wątpił w zwycięstwo swego podwójnego umysłu, ale nie od rzeczy było pamiętać, że przeraźliwa luka dzieląca naukę Ziemi od nauk Pięćdziesięciu Słońc zdążyła już ich nieprzyjemnie zaskoczyć. Maltby otrząsnął się z determinacją i całą uwagę poświęcił ulicy. Z dwóch machin stojących pośrodku strzelał ku niebu wachlarz różowego ognia. Róż był bardzo blady, całkowicie przezroczysty. Elektroniczny prawdopodobnie, śmiertelny. Za nim •widział ludzi w błyszczących uniformach. Nieustający strumień tych ludzi płynął od i do budynków. Ze trzy przecznice dalej płonąła druga kurtyna różowawego ognia. Nie dostrzegł żadnego zabezpieczenia boków. Ludzie byli swobodni, pewni siebie. Dobiegł go gwar głosów, stłumione śmiechy i - tak jak na pokładzie „Gwiezdnego Roju” - byli tam nie tylko mężczyźni. Gdy się zbliżał, po stopniach najbliższego z zarekwirowanych budynków zeszyły dwie piękne kobiety. Zagadnął je wartownik. Maltby'ego dobiegły bliźniacze dzwonki srebrzystego śmiechu. Zaśmiewając się przez cały czas pośpieszyły dalej. Poczul nagłe podniecenie. Jakaś niezwykła aura biła od tych ludzi z dalekich stron, z olbrzymich i cudownych krain poza najdalszymi horyzontami statecznych Pięćdziesięciu Słońc. Zrobiło mu się zimno, potem gorąco, wreszcie podniósł wzrok na niewiarygodnie wielki statek i zimno powróciło. Jeden, myślał, ale tak ogromny, tak potężny, że flota trzydziestu miliardów ludzi była bezsilna wobec niego. Oni...

Uświadomił sobie, że wpatruje się w niego jeden z efektownie umundurowanych strażników. Podniósł on do ust radio umocowane na nadgarstku, po chwili nadszedł drugi człowiek, przerwawszy rozmowę z jakimś żołnierzem i przez płomienną zasłonę utkwiał w Maltbym spojrzenie.

- Czegoś potrzebujesz? Czy tylko chcesz popatrzeć?

Jego zachowanie było łagodne, prawie delikatne, kulturalne. Stwarzało wrażenie prostoty i miłej swojskości.

W końcu Maltby uprzytomnił sobie, że nie czuje lęku przed tymi ludźmi. Sam plan pokonania statku opierał się na jego głębokim przekonaniu o niezniszczalności robotów w tym sensie, że żadna siła nie będzie w stanie wyplenić ich całkowicie. Spokojnie wyjaśnił swoją obecność.

- Ach tak - rzekł mężczyzna - czekamy na ciebie. Mam zabrać cię natychmiast do naszego meteorologa. Chwileczkę...

Płomienna bariera opadła i Maltby'ego zaprowadzono do jednego z budynków. Ruszyli długim korytarzem, w którym gdzieś po drodze musiał być zogniskowany transponder, ponieważ nagle Maltby znalazł się na statku, w obszernym pomieszczeniu. W stożkach antygravitacyjnych unosiło się z pół tuzina map. Światło wylewało się z milionów maleńkich punkcików w ścianach. Gdzie spojrzął, widział na planszach świetliste krzywe, o przytłumionym blasku, lecz ostrych konturach. Nigdzie nie mógł dostrzec swego przewodnika. Zbliżał się ku niemu wysoki, dostojny, sędziwy mężczyzna. Starzec wyciągnął dłoń.

- Nazywam się Cannons, starszy meteorolog. Gdyby zechciał pan spocząć tutaj, opracujemy orbitę i za godzinę statek będzie gotowy do drogi. Nasz pierwszy kapitan niecierpliwi się bardzo.

Maltby niedbale skinął głową. Ale w rzeczywistości był napięty, miał się na baczności. Stał zupełnie nieruchomo badając otoczenie swoim przenikliwym, deliańskim umysłem w poszukiwaniu energetycznych napięć, które zdradzą potajemne próby obserwacji lub kontroli jego myśli. Niczego takiego nie wyczuł. Uśmiechnął się wymuszenie. Czyżby to było aż tak proste? Było, jak diabli.

Siadając Maltby zniecka doznał wrażenia przytulności i poczuł się ożywiony. Radość życia przenikała go jak płomień. Rozpoznał w tym podnieceniu przedbitewny dreszcz i cieszył się, że może go zaspokoić. W czasie swojej długiej służby we flocie Pięćdziesięciu Słońc spotykał się z wrogością i podejrzeniami, ponieważ był Mieszkańcem. I zawsze czuł się bezsilny. Tutaj spotykał się ze znacznie głębszą wrogością, jakkolwiek zawołowaną i z podejrzliwością, która musiała trawić wszystko jak ogień. Lecz tym razem mógł walczyć. Mógł spojrzeć temu przyjaznemu starcowi o gładkiej mowie prosto w oczy i... Przyjaznemu?

- Śmiech mnie ogarnia - mówił Ziemianin - gdy pomyślę o nienaukowych aspektach orbity, jaką mamy teraz wykreślić. Na przykład: z jakim opóźnieniem docierają wasze raporty o burzach?

Maltby nie potrafił powstrzymać uśmiechu, A więc porucznik Cannons chce wszystko wiedzieć. Musiał mu przyznać, że początek nie był taki znów niezręczny. Jedyńm sposobem zadania pytania jest... cóż... po prostu je zadać.

- Trzy, cztery miesiące - odpowiedział. - Nic nadzwyczajnego. Każdy kosmiczny meteorolog potrzebuje mniej więcej tyle czasu na sprawdzenie granic danego sztormu w swoim rejonie, potem melduje, a my korygujemy nasze mapy. Na szczęście - zastawił się swym drugim umysłem, gdy z zimną krwią wypowiadał to wielkie podstawowe kłamstwo - między słońcami Kaider i Cassidor nie ma większych burz. Jednakże parę słońc nie pozwala na trasę wzdłuż linii prostej - kontynuował prześlizgując się obok prawdy jak piskorz. - Więc jeśli pokaże mi pan kilka swoich orbit dla dwóch tysięcy pięciuset lat świetlnych, wybiorą najlepsze. - Zrozumiał natychmiast, że ta najważniejsza sprawa nie przejdzie mu tak bezboleśnie.

- Nie występują burze? - powtórzył starszy mężczyzna. Zacisnął usta. Delikatne zmarszczki na jego długiej twarzy wydawały się pogłębiać. Wyglądał na szczerze zakłopotanego i nie mogło być żadnych wątpliwości, że nie oczekiwał tak niedwuznacznej odpowiedzi. - Hmmm, nie ma burz. To by upraszczało sprawę, nieprawdaż? Zamilkł. - Wie pan, to niezwykle ważne dla dwóch... zawahał się przez chwilę - dla dwóch ludzi, wyrosłych w odmiennych kulturach, by upewnili się co do wspólnoty punktu widzenia. Przestrzeń jest tak wielka. Nawet ten stosunkowo mały system gwiazdny, Wielki Obłok Magellana, jest tak rozległy, że go nie ogarniamy. Na okręcie wojennym „Gwiazdny Rój” spędziliśmy dziesięć lat badając Obłok i potrafimy wyrecytować bez zająknięcia, że obejmuje on sześćdziesiąt miliardów do sześcianu lat świetlnych i zawiera sto milionów słońc. Znaleźliśmy środek magnetyczny Obłoku, została przez nas ustalona Unia zerowa od środka do najjaśniejszej gwiazdy S Doradus i teraz, jak przypuszczam, mogą się znaleźć ludzie na tyle głupi, by uważać, że mamy ten system dokładnie sklasyfikowany.

Maltby milczał, ponieważ był właśnie takim głupcem. To było ostrzeżenie. Mówiono mu bez owijania w bawełnę, że mogą sprawdzić każdą podaną przez niego orbitę pod kątem wszystkich ingerujących słońc. Znaczyło to i wiele więcej. Wskazywało, że Ziemia znajduje się w przededniu poszerzenia swej rozległej władzy na Wielki Obłok Magellana. Zniszczenie teraz tego statku da Pięćdziesięciu Słońcom cenne lata, w których będą musiały zdecydować, co robić dalej. Ale nic poza tym. Nadejdą inne statki, nieubłagany nacisk ogromnej populacji głównej galaktyki sięgnie jeszcze dalej w przestrzeń. Zawsze pod staranną kontrolą, pod opieką potężnej armady niezwyciężonych okrętów wojennych przewalą się przez Obłok olbrzymie transporty i każda planeta, każdy zakątek uzna zwierzchnictwo Ziemi. Imperium ziemskie nie toleruje niezależności żadnych narodów w żadnej formie. Delianom i Niedelianom potrzebny będzie każdy dodatkowy dzień, każda godzina; wszyscy oni mają szczęście, że nie opierał swojej nadziei

zniszczenia statku na orbicie kończącej się we wnętrzu słońca. Ich pomiary magnetyczne zlokalizowały wszystkie słońca. Ale ani przez dziesięć, ani nawet przez sto lat jeden statek nie byłby w stanie umiejscowić burz w obszarze długości dwóch tysięcy pięciuset lat świetlnych. O ile ich psychologowie nie poznają się na specyficznych przymiotach jego podwójnego umysłu, rzeczywiście spełni polecenie rządu Pięćdziesięciu Słońc. Maltby nie wątpił w szansę powodzenia. Dotarło do niego, że porucznik Cannons manipuluje przy ekranie orbit, na którym linie świetlne przemieszczały się i migotały. Wreszcie ustaliły się jak kule w grze losowej. Maltby wybrał sześć biegnących głęboko w wielki sztorm. Po upływie dziesięciu minut poczuł delikatne drżenie, gdy statek zaczął się poruszać. Wstał marszcząc czoło. Dziwne, że przystąpili do działania bez żadnej weryfikacji jego...

- Tędy - powiedział starzec.

To się nie może tak skończyć, pomyślał Maltby, teraz lada chwila zabiorą się do niego i...

Przestał myśleć. Był w przestrzeni. Daleko, daleko w dole widział oddalającą się planetę Kaider III. Z jednej strony połyskiwał ogromny, mroczny kadłub okrętu wojennego, a ze wszystkich pozostałych stron - nad nim, pod nim - były gwiazdy i bezmiar ciemniejszej przestrzeni. Pomimo wysiłku woli doznał niewypowiedzianego gwałtownego szoku. Jego czynny umysł wpadł w konwulsyjne drgawki. Cały słaniał się i upadłby, jak oślepiiony, gdyby nie to, że podejmując próbę utrzymania się na nogach stwierdził, że ciągle na nich stoi. Całe jego jestestwo ogarnął niepokój. Instynktownie wyrwał z letargu swój drugi umysł i wypchnął go naprzód. Postawił jego bardziej mechaniczne i precyzyjne walory, jego deliańską siłą między swoim drugim ja a tym, co istoty ludzkie mogły mu zrobić. Gdzieś ze środka ciemności i jaśniejących gwiazd doleciał go czysty i dźwięczny głos kobiecy.

- No i co, poruczniku Neslor, czy zaskoczenie przyniosło jakieś psychologiczne owoce?

W odpowiedzi rozległ się głos również kobiecy, ale starszy:

- Po trzech sekundach, jaśnie pani, jego odporność podskoczyła do ilorazu inteligencji 900. Co oznacza, że przysłali nam Delianina. Ekscelencjo, zdaje się, że pani szczególnie podkreślała, że ich przedstawiciel nie może być Delianinem.

- Mylicie się w sposób zasadniczy - Maltby powiedział szybko w otaczającą go noc. - Nie jestem Delianinem. Zapewniam, że obniżę swój iloraz do zera, jeśli takie jest wasze życzenie. Zareagowałem instynktownie na zaskoczenie, to chyba całkiem naturalne.

Usłyszał trzask. Iluzja przestrzeni i gwiazd znikła z pola widzenia. Maltby stwierdził to, czego zaczął się domyślać, a mianowicie, że ani na chwilę nie opuścił pracowni meteorologicznej. W pobliżu stał ów patriarcha meteorologii z powściągliwym uśmiechem na pomarszczonej twarzy. Na podwyższeniu, częściowo ukryta za długą tablicą kontrolną, siedziała przystojna młoda kobieta. Stary człowiek odezwał się pełnym godności głosem:

- Znajdujesz się w obecności pierwszego kapitana, Wielce Czcigodnej Glorii Cecylii, Lady Laurr z Wysoko Urodzonych Laurrów. Zachowuj się odpowiednio.

Maltby pochylił się w ukłonie, lecz nie powiedział ani słowa. Pierwszy kapitan spoglądała z ukosa; była wyraźnie pod wrażeniem jego powierzchowności. Wysoka, wspaniała postać, siła, inteligencja. Jednym spojrzeniem ogarnęła wszystkie cechy wspólne człowiekowi najwyższego rzędu i ... robotowi. Ci ludzie mogą być bardziej niebezpieczni, niż sądziła.

- Jak wiesz, musimy cię przesłuchać - powiedziała z nienaturalną ostrością. - Nie chcemy cię obrazić. Powiedziałeś nam że Cassidor VII, główna planeta Pięćdziesięciu Słońc, znajduje się o dwa tysiące pięćset lat stąd. Normalnie stracilibyśmy wiele lat szukając na ślepo drogi poprzez tak ogromną lukę nie zbadanej, wypełnionej gwiazdami przestrzeni. Ale przedstawiłeś nam orbity do

wyboru. Musimy się upewnić, że są one podane rzetelnie, że nie kryje się w tym żaden podstęp czy chęć wyrządzenia nam szkody. W tym celu zmuszeni jesteśmy prosić cię o otworzenie umysłu i udzielenie odpowiedzi na nasze pytania pod najściślejszym nadzorem psychologicznym.

- Mam rozkaz - powiedział Maltby - współpracować z wami we wszystkim.

Ciekawiło go, jak się będzie czuł teraz, gdy nadeszła godzina próby. Lecz nie zauważył nic nienormalnego. Jego ciało było nieco sztywniejsze, za to umysły... wycofał się w głąb pozostawiając swemu deliańskiemu umysłowi do odparcia wszystkie pytania, jakie padną. Deliańskiemu umysłowi, który celowo trzymał z dala od własnych myśli. Zdumiewający umysł, nie posiadający własnej woli, jednak zdalnie sterowany, reagował z pełną mocą ilorazu inteligencji 191. Czasami zachwycał się swoim drugim umysłem. Nie posiadał on zdolności twórczych, lecz odznaczał się komputerową pamięcią, zaś jego odporność na zewnętrzny nacisk, jak to szybko wykryła psycholog w spódnicy, przekraczała dziewięćset. Dokładnie odpowiadała ilorazowi inteligencji 917.

- Jak się nazywasz? - tak się to zaczęło. Nazwisko, stopień; odpowiadał na wszystko spokojnie, zdecydowanie, bez wahania.

Gdy skończył i potwierdził pod przysięgą prawdziwość każdego słowa na temat burz, nastąpiła długa chwila martwej ciszy. Wreszcie z pobliskiej ściany wystąpiła kobieta w średnim wieku. Wskazała na krzesło i kiedy go usadzono, przechyliła jego głowę i rozpoczęła badanie. Robiła to delikatnie, jej palce dotykały go pieszczotliwie. Lecz gdy podniosła wzrok, głos jej brzmiał ostro.

- Nie jesteś Delianinem ani Niedelianinem. A struktura molekularna twego mózgu i ciała jest najdziwniejsza, jaką kiedykolwiek widziałam. Wszystkie cząsteczki są podwójne. Spotkałam się raz z podobnym układem w sztucznej strukturze elektronicznej, kiedy próbowano zrównoważyć niestabilny system. Porównanie nie jest dokładne, lecz... mmmm ...muszę sobie przypomnieć końcowy wynik tego eksperymentu. - Przerwała. - Jak to wytłumaczysz? Kim jesteś?

Maltby westchnął. Zdecydował już wcześniej, że powie tylko jedno główne kłamstwo. Nie żeby to miało znaczenie, jeśli chodzi o jego podwójny umysł. Ale kłamstwa oddziaływały na lekkie wahnięcia ciśnienia krwi, powodowały nerwowe skurcze i zakłócały harmonię mięśni. Nie stać go było na podjęcie nawet najmniejszego dodatkowego ryzyka.

- Jestem Mieszkańcem - wyjaśnił. Opisał w skrócie, jak sto lat temu doszło do, niemożliwego przez długi czas, skrzyżowania Delian z Niedelianami. Zastosowanie ciśnienia oziębiania...

- Chwileczkę - przeprosiła psycholog i znikła. Gdy ponownie wyszła z transmitera, była zatopiona w myślach. - Wydaje się mówić prawdę - przyznała prawie z niechęcią.

- Co to znaczy? - warknęła pierwszy kapitan. - Od chwili, gdy wpadliśmy na tamtego pierwszego człowieka z Pięćdziesięciu Słońc, Ośrodek Psychologii obwarowuje zastrzeżeniem każdą swoją wypowiedź. Sądziłam, że psychologia jest jedyną doskonałą nauką. Albo on mówi prawdę, albo kłamie.

Starsza kobieta wyglądała na nieszczęśliwą. Wbiła twarde spojrzenie w Maltby'ego, speszona jego chłodnym wzrokiem i wreszcie zwracając się do swej zwierzchniczki powiedziała:

- To przez tę podwójną strukturę jego mózgu. Poza tym jednym nie widzę żadnego powodu, dlaczego nie mielibyśmy wydać rozkazu pełnego przyspieszenia.

To jest to, Gloria mówiła do siebie w myślach. To właśnie to, czego poszukiwałam. Rzeczywiście związek Delian z Niedelianami wydał potomka. Nie miała jasnego wyobrażenia, co to mogło oznaczać. Na głos powiedziała z lekkim uśmiechem:

- Zapraszam kapitana Maltby'ego na obiad. Z pewnością nie odmówi współpracy przy dalszych badaniach, jakie zechcesz przeprowadzać później. Tymczasem proszę go zaprowadzić do odpowiedniej kwatery. - Obróciła się do komunikatora. - Centralne silniki przyspieszyć do połowy

roku świetlnego na minutę po następującej orbicie... – Maltby słuchał szacując. Połowa roku świetlnego na minutę. Osiągnięcie takiej prędkości zajmie trochę czasu, lecz... za osiem godzin gruchną w sztorm. Osiemgodzin!

Po odejściu Maltby'ego Lady Laurr niewesoło sondowała swą towarzyszkę.

- Więc jak? Co o tym myślisz?

- Trudno uwierzyć, że odważą się wykręcić nam jakiś numer na tym etapie. - W głosie psycholog brzmiała nuta złości. Pierwszy kapitan odezwała się powoli:

- Mają tutaj niezłe skomplikowany system. Jedyne godne uwagi mapy znajdują się na planetach. Ludzie, którzy potrafią je czytać, są na statkach. Na podstawie zakodowanych informacji od ludzi nie potrafiących czytać map astrologowie przeprowadzają swoje obliczenia. Jedynym sposobem sprawdzenia, czy kapitan Maltby mówi prawdę, są testy psychologiczne. Jak dawniej, polegam na tobie...

Niewątpliwie coś knują, ale nie możemy dopuścić, aby strach nas sparaliżował. Musimy założyć, że potrafimy wydostać się z każdej pułapki, w jaką wpadniemy, jeśli nie inaczej, to za pomocą czysto mechanicznej siły. A tymczasem, nie przegap niczego. Nie spuszczaaj oka z tego człowieka. Nadal mamy ucieczkę „Atmion” do wyjaśnienia.

- Uczynię, co w mojej mocy - odpowiedziała ostro starsza kobieta.

Zderzenie potoków materii Novej z gazami już rozjuszonymi przez oszalałe słońca - to był nowy wielki sztorm. Gigantyczne słońce eksplodując spotęgowało dyfuzję, skłóciło wszystko i dodało czegoś daleko bardziej śmiertelnego. Prędkości! Eksplozja ultraognia skakała ze szczytu na szczyt prędkości. Ruchliwe powierzchnie sztormu tańczyły i płonęły z prawdziwie piekielną furją. Wypadki swą gwałtownością przekraczały niemal wytrzymałość materii. Pierwsze gnało światło Novej, niosąc płonące ostrzeżenie z szybkością ponad stu osiemdziesięciu sześciu tysięcy mil na sekundę wszystkim tym, którzy wiedzieli, że rozbłysło u czoła międzygwiazdnej burzy. Lecz ten ostrzegawczy blask niwelowała kolosalna prędkość sztormu. Tygodnie i miesiące sunął przez bezkresną noc z prędkością tylko o ułamek jednostki mniejszą od samego światła.

Naczynia po obiedzie zostały uprzątnięte. Za pół godziny, myślał Maltby. Pół godziny! Rozważał z drżeniem, co się właściwie dzieje ze statkiem w nagłej konfrontacji z tysiącami grawitonów hamowania. Na głos powiedział:

- Mój dzień? Spędziłem go w bibliotece. Zaciekawiała mnie najnowsza historia ziemskiej kolonizacji kosmicznej. Interesuje mnie, jaki los spotkał rasy podobne Mieszkańcom. Mówiłem pani, że po przegranej wojnie, głównie dlatego, że było ich tak niewielu, Mieszkańcy ukryli się przed Pięćdziesięcioma Słońcami. Byłem jednym z pojmanych dzieci, które...

Przerwał mu krzyk z komunikatora w ścianie:

- Jaśnie pani, rozwiązałam zagadkę!

Minęła chwila, zanim Maltby rozpoznał wzburzony głos kobiety psychologa. Zapomniał prawie, że musiała go obserwować. Jej dalsze słowa zmroziły go.

- Dwa umysły! Pomyślałam o tym przed chwilą i zamontowałam podwójne urządzenie kontrolne. Proszę go zapytać koniecznie o burzę. A tymczasem zatrzymaj statek. Natychmiast! - Ciemne spojrzenie Maltby'ego zderzyło się ze wzrokiem stalowych, zważonych oczu pierwszego kapitana. Niezwłocznie skoncentrował oba swoje umysły i zmusił ją do powiedzenia:

- Nie bądź niepoważna, poruczniku. Jedna osoba nie może mieć dwóch umysłów. Wyłumacz się jaśniej.

Cała jego nadzieja była w zwłoce. Mieli jeszcze dziesięć minut, w których mogli się uratować. Musiał zmarnować każdą sekundę tego czasu, przeszkodzić ich wszelkim wysiłkom, podjąć próbę zapanowania nad sytuacją. Gdyby tylko jego szczególny, trójwymiarowy hipnotyzm działał przez komunikatory... Nie działał. Linie światła skoczyły na niego ze ściany i oplotły jego ciało, przykuły go do krzesła ogromną ilością nierozzerwalnych więzów. Nawet gdy już miał skrępowane ręce i stopy przez zmaterializowaną energię, drugi zespół sił pojawił się przed jego twarzą, powstrzymał jego myślowy nacisk na pierwszego kapitana i wreszcie zebrał się nad jego głową, jakby mu wyrosły ośle uszy. Został unieruchomiony dokładniej, niż gdyby kilkunastu mężczyzn siłą i ciężarem przygniotło jego ciało. Maltby odprężył się i zaśmiał:

- Za późno - rzekł szyderczo. - Wyhamowanie do bezpiecznej prędkości zajmie temu statkowi przynajmniej godzinę, a przy tej szybkości nie możecie skręcić na czas, aby uniknąć największego sztormu w tej części wszechświata.

Nie była to taka zupełna prawda. Był jeszcze i czas, i miejsce, by uciec przed nadciągającym sztormem w kierunku jego posuwania się. Niemożliwy był tylko zwrot ku ogonowi sztormu czy jego pękatym skrzydłom. Myśli Maltby'ego zakłócił pierwszy krzyk młodej kobiety:

- Centralne silniki! Zmniejszyć prędkość. Alarm! Nastąpił wstrząs, który zakołysał ścianami, i Maltby poczuł, jak przeciążenie rozdziera mu mięśnie. Przystosował się, po czym spojrział przez siół

na pierwszego kapitana. Jej uśmiech przypominał zastygłą maskę, kiedy mówiła przez zaciśnięte zęby:

- Poruczniku Neslor, zastosuj dowolny środek fizyczny czy jakikolwiek inny, ale zmusz go do mówienia. Coś musisz zrobić.

- Kluczem jest jego drugi umysł - rozległ się głos psycholog. - Nie jest deliański. Posiada tylko normalną odporność. Poddam go najsilniejszemu naciskowi warunkującemu, jaki kiedykolwiek ześrodkowano na ludzkim mózgu, korzystając z dwóch elementów: seksu i logiki. Zmuszona jestem użyć pani, kapitanie, jako obiektu jego uczuć.

- Pośpiesz się! - odpowiedziała młoda kobieta. Głos jej ciążył jak żelazna sztaba. Maltby siedział we mgle, psychicznej i fizycznej. Głęboko w jego umyśle tkwiła świadomość, że istnieje realnie i że maszyny nie do odparcia starają się przekształcić jego myśli. Stawił im czoło. Jego opór był tak silny jak jego życie; miał intensywność bilionów, trylionów impulsów, które uformowały jego istotę. Lecz myśl, presja z zewnątrz, rosła z każdą chwilą. Jakże głupio z jego strony przeciwstawiać się Ziemi, skoro ta cudowna Ziemianka kocha go, kocha, kocha. Wspaniała jest cywilizacja Ziemi i głównej galaktyki. Trzysta milionów miliardów ludzi. Już sam wstępny kontakt może odrodzić Pięćdziesiąt Słońc. Jakże ona jest cudowna, muszę ją ocalić. Jest dla mnie wszystkim. Jakby z oddali zaczął docierać jego własny głos wyjaśniając, co należy zrobić, jak wykręcić statek, w którym kierunku, ile zostało na to czasu. Próbował się powstrzymać, lecz jego głos ciągnął nieubłaganie dalej, wypowiadając słowa, które oznaczały drugą klęskę Pięćdziesięciu Słońc. Mgła zaczęła rzednąć. Potworny nacisk w jego wytężonym umyśle zelżał. Przeklęty strumień słów przestał płynąć z jego ust. Maltby wyprostował się w krześle, cały drżąc, ze świadomością, że pęta energii i energetyczna czapa opadły. Słyszał, jak pierwszy kapitan mówi do komunikatora:

- Wykonując skręt o 0,0100 ominiemy sztorm w odległości siedmiu tygodni świetlnych. Przyznaję, że skręt będzie zatrważająco ostry, lecz czuję, że przynajmniej na tyle powinniśmy zboczyć z kursu, - Odwróciła się i spojrzała na Maltby'ego. - Przygotuj się. Przy prędkości równej połowie roku świetlnego na minutę skręt nawet o setną stopnia powoduje u niektórych ludzi utratę przytomności.

- Nie u mnie - odparł Maltby i naprężył swoje deliańskie ciało. Zemdląca trzy razy w ciągu następnych czterech minut, podczas gdy on siedział obserwując ją. Lecz za każdym razem przychodziła do siebie po kilku sekundach.

- My, istoty ludzkie - powiedziała blado - jesteśmy mizernymi tworam. Lecz przynajmniej umiemy to znosić.

Okropne minuty wlokły się, ciągnęły bez końca. Maltby począł odczuwać nacisk nieskończonego małego skrętu. Jak ci ludzie mogli mieć kiedykolwiek nadzieję przeżycia bezpośredniego uderzenia w sztorm? - przyszło mu na koniec do głowy. Nagle było już po wszystkim. Męski głos spokojnie oznajmił:

- Wykonaliśmy nakazany zwrot, jaśnie pani, i teraz znajdujemy się poza zasięgiem niebezpieczności. - Urwał z okrzykiem. - Kapitanie, światło słońca Nova rozbłysło właśnie od strony burzy!

W tamtych chwilach, przed samą katastrofą, okręt wojenny „Gwiezdny Rój” jarzył się jak wielki, olśniewający, szlachetny kamień. Ostrzegawczy błysk od Novej wywołał nieopisaną wrzawę alarmowych sygnałów na wszystkich jego stu dwudziestu pokładach. Światła rozbłyskiwały od końca do końca statku. Zapalały się rząd za rządem, z zimnym migotaniem szlifowanych klejnotów. W odblasku tego światła czarna góra kadłuba wyglądała jak cel ich podróży, przepiękna planeta Cassidor widziana z odległego mroku nocy, usiana miastami jaśniejącymi jak diamenty. Niezrównany i cudowny ponad wszelkie wyobrażenie, wspaniała w swej sile, ogromny statek sunął bezgłośnie jak zjawa przez czern, wzdłuż tej specyficznej rzeki czasu i przestrzeni, wyznaczającej mu kierunek. Nawet gdy wpadł w środek burzy, dla oka nic się nie zmieniło. Rozciągająca się przed nim przestrzeń była czysta jak każda próżnia. Gazy, które zrodziły sztorm, znajdowały się w stanie takiego rozrzedzenia, że statek nie odczułby ich obecności przy atomowych prędkościach. Dezintegracja materii mogła być niezwykle gwałtowna w tym sztormie, a promieniowanie kosmiczne mogło stanowić najpotężniejsze źródło energii w poznanym wszechświecie. Lecz straszne, apokaliptyczne niebezpieczeństwo zagrażało „Gwiezdnemu Rójowi” bezpośrednio z powodu jego własnej potwornej szybkości. Uderzenie w tę masę gazu z prędkością połowy roku świetlnego na minutą niczym się nie różniło od zderzenia z bezkresną litą ścianą. Wielki statek zadrżał w spojeniach, kiedy utrata prędkości targnęła jego cudownie wytrzymałą konstrukcją. W jednej chwili przeszedł całą skalę systemów hamujących, zaprojektowanych przez konstruktora dla statku jako całości. Zaczął się przełamywać. I nadal wszystko działało się według oryginalnego projektu znakomitej firmy, która go zbudowała. Przekroczywszy granicę wytrzymałości rozleciał się na dziewięć tysięcy samodzielnych członów. Jak igły opływowych kształtów, długości czterystu stóp, szerokości czterdziestu, srebrzyste kształty wkręcały się przebiegle w gaz, zmniejszając jego parcie na swe gładkie powierzchnie. Ale to nie wystarczyło. Metal jęczał od tortury tarcia. W komorach hamujących mężczyźni i kobiety, niemal bez świadomości, cierpieli męki, które wydawały się agonią. Setki członów balansowało w przestrzeni, unikając zderzenia ze sobą dzięki automatycznym ekranom. A ciągle jeszcze, pomimo zatrważającego małego spadku szybkości, gazowa masa nie została przekroczona, świetlne lata gęstości nadal leżały przed nimi nie przebyte. Ponownie osiągnięto granice ludzkiej wytrzymałości. Ostateczny ratunek niosła chemiczna akcja, skierowana bezpośrednio na trzydzieści tysięcy ludzkich ciał, dla ochrony których te wszystkie wspaniałe urządzenia zabezpieczające zostały wymyślone i skonstruowane - dla biednych, delikatnych istot ludzkich, które przez całe wieki nie oduczyły się normalnie umierać pod wpływem przeciążenia nieco mniejszego od piętnastu grawitonów.

Automaty, które na początku odchyliły podłogę i powrzucały wszystkich do komór hamujących poszczególnych członów ratując im życie, pośpieszyły ponownie z pomocą i komorę hamującą wypełnił gaz specjalnego rodzaju Wilgotny i lepki. Osiadał grubą warstwą na odzieży, przesączał się do skóry, a przez nią do każdej komórki ciała. Sen spłynął łagodnie, a z nim cudowne odprężenie. Krew uodporniła się na wstrząsy, rozluźniły się mięśnie, jeszcze przed chwilą skręcone w męczarniach, mózg nasączyły życiodajne substancje likwidując jego liczne ułomności i eliminując nawet marzenia senne. Człowiek stał się nadzwyczaj elastyczny pod ciśnieniem grawitacyjnym; sto, sto pięćdziesiąt grawitonów przeciążenia, a siły życiowe nadal trzymały się go kurczowo. Wielkie serce wszechświata biło. Sztorm huczał wzdłuż swej arterii, rodząc życiodajne promieniowanie, oczyszczając ciemność z jej jądów, aż wreszcie maleńkie stateczki wyrwały się osobnymi szlakami z jego rozległych granic. Zaczęły zbierać się w gromady, szukać się wzajemnie, jakby kierował nimi

nieodparty instynkt jednoczenia się. Automatycznie wsuwały się na swoje stare pozycje; statek wojenny „Gwiezdny Rój” odzyskiwał dawny kształt, ale świeciły w nim dziury. Niektóre człony zaginęły.

Na trzeci dzień pełniący obowiązki pierwszego kapitana Rutgers wezwał ocalałych oficerów na przedni pomost, gdzie czasowo założył swoją główną kwaterę. Po konferencji ogłoszono komunikat dla załogi.

„Dziś rano o godzinie 008 nadeszła wiadomość od pierwszego kapitana, Wielce Czcigodnej Glorii Cecylii, Lady Laurr z Wysoko Urodzonych Laurrów, naczelnego dowódcy, kpt. dypl. Wylądowała przymusowo na planecie jakiegoś żółtobiałego słońca. Jej statek rozbił się przy zetknięciu z powierzchnią planety i nie nadaje się do naprawy. Ponieważ jedyną formą łączności z nią jest niekierunkowe podprzestrzenne radio, zlokalizowanie słońca tak pospolitego typu wśród milionów podobnych słońc jest całkowicie niemożliwe i kapitanowie po naradzie meldują z żalem, że imię naszej Czcigodnej Lady powiększy najdłuższą listę ofiar nieszczęśliwych wypadków floty, listę tych, którzy zaginęli na zawsze podczas służby. Flaga Admiralicji pozostanie opuszczona aż do odwołania”.

Gdy nadszedł, stała odwrócona plecami. Maltby zawahał się, po czym skoncentrował swój umysł i zatrzymał ją na miejscu przy członie statku, kiedyś głównym pomoście dowodzenia „Gwiezdnego Roju”. Długi metalowy kształt leżał do połowy zaryty w podmokły grunt wielkiej doliny. Jeden jego koniec nurzał się w lśniącej, brunatnej głębi leniwej rzeki. Maltby zatrzymał się parę stóp od wysokiej, smukłej kobiety i nadal utrzymując ją w nieświadomości swojego przybycia raz jeszcze objął wzrokiem otoczenie, które miało być ich światem. Drobną prysznic ciemnego deszczu, który towarzyszył mu w rozpoznawczym spacerze, wycofał się poza żółtą krawędź doliny na „zachodzie”. Kiedy tak spoglądał, małe, żółte słońce wyprysło spoza kurtyny ciemnych ochrowych obłoków i oświetliło go migotliwie. W dole widział obszar dżungli połyskującej dziwacznie w brązowo-żółtych kolorach. Wszędzie był ciemny brąz i intensywna, prawie płynna żółtość. Maltby westchnął i zwracając całą swoją uwagę ku kobiecie sprawił, że nie widziała, gdy zaszedł ją od przodu. Sporo myślał w trakcie spaceru o wielkiej Glorii Cecylii. Oczywiście problem mężczyzny i kobiety, samych na odludnej planecie, stojących wobec możliwości spędzenia reszty życia razem, był zasadniczo bardzo prosty. Tym bardziej że jedno i tej pary zostało uwarunkowane do zakochania się w drugim. Uśmiechnął się ponuro. Mógł zdawać sobie sprawę ze sztucznego źródła tej miłości, lecz to nie zmieniało jej głębokiego sensu. Machina warunkująca trafiła go w samo serce. Niestety, tylko jego, a przez dwa dni przebywania z nią sani na sam odkrył jedną prawdę: Lady Laurr z Wysoko Urodzonych Laurrów ani myślała ulec naturalnym naciskom tej sytuacji. Czas, aby jej to uświadomić, nie dlatego, żeby sytuacja nagliła, tylko dlatego, żeby zdała sobie sprawę z istnienia problemu.

Zrobił krok do przodu i wziął ją w objęcia. Wysoka, pełna wdzięku kobieta, jakby stworzona dla jego ramion, ulegając narzuconej woli oddała pocałunek z uniesieniem, którego efekt przerósł jego intencje. Zamierzał uwolnić jej świadomość w trakcie pocałunku. Nie zrobił tego. Gdy ją wreszcie puścił, był to pusty gest zaledwie. Jej umysł pozostawał w jego całkowitym władaniu.

Tuż przy drzwiach stało metalowe krzesło. Opadłszy na nie podniósł wzrok na pierwszego kapitana. Był rozdygotany. Płomień pożądania, który w nim wybuchnął, stanowił wymowny hołd dla uwarunkowania, jakie przeszedł, lecz całkowicie wykraczał poza jego dotychczasową ocenę intensywności własnego uczucia. Sądził, że panuje nad sobą w pełni, ale było inaczej. Sarkazm, pewna rezerwa i obiektywna ocena sytuacji, które, jak sobie wyobrażał, leżały u podstaw jego stosunku do wszystkiego, jakoś wcale nie znajdowały tutaj zastosowania. Kochał tę kobietę tak gwałtownie, że samo dotknięcie wystarczyło, by oddzielić jego wolę od tego, co zaraz po tym dotknięciu nastąpiło.

Bicie serca wracało do normy, podczas gdy przyglądał się jej z pozorną bezstronnością. Śliczna - według prawideł urody, chociaż prawie wszystkie kobiece roboty z rasy Delian były od niej ładniejsze. Usta nie za pełne, jakby odrobinę okrutne, i było coś jeszcze w jej spojrzeniu, co podkreślało to okrucieństwo. Ta kobieta niełatwo pogodzi się z losem dożywotniego rozbitka na nieznaną planetę. Będzie musiał to przemyśleć. Do tego czasu...

Z westchnieniem uwolnił ją od czaru trójwymiarowego zaklęcia, jakie rzuciły na nią jego dwa umysły. Dla ostrożności obrócił ją uprzednio tyłem do siebie. Obserwował z zaciekawieniem, jak przez chwilę stała zupełnie bez ruchu. Następnie ruszyła ku niewielkiemu wzniesieniu ponad grząskim terenem. Wspięła się na stok i patrzyła w kierunku, z którego przyszedł przed paroma minutami. Najwyraźniej go szukała. Obróciła się wreszcie osłaniając oczy przed blaskiem zachodzącego żółtego słońca, zeszła na dół i wtedy go dostrzegła. Zatrzymała się mrużąc oczy. Zbliżając się powoli powiedziała nienaturalnie ostro:

- Bardzo cicho nadszedłeś. Musiałeś mnie zajść od zachodu.

- Nie - odpowiedział z rozmysłem - byłem na wschodzie.

Wydawała się to rozważać taksując go wzrokiem i z lekka marszcząc czoło. W końcu zacisnęła usta; miała opuchniętą wargę, która musiała ją zboleć, bo skrzywiła się.

- No i co? Znalazłeś coś...

Zamilkła. W tym momencie musiało do niej dotrzeć, że ma opuchnięte usta. Dotknęła palcami obolałego miejsca i nagle jej oczy ożywiły się zrozumieniem. Zanim zdołała wydobyć z siebie słowo, powiedział:

- Tak, zgadza się co do joty.

Wpatrywała się w niego nieruchomo, tłumiąc ogarniającą ją wściekłość. Na koniec, wciągając powietrze w płuca, odezwała się kamiennym głosem:

- Spróbuj tego jeszcze raz, a zastrzelę cię jak psa.

Maltby pokręcił głową bez uśmiechu.

- I sama spędzisz tutaj resztę swoich dni? Oszalałabyś.

Od razu zorientował się, że jej złość jest głucha na ten rodzaj logiki. - Poza tym musiałabyś strzelić mi w plecy - dodał w pośpiechu. - Nie wątpię, że mogłabyś to zrobić z poczucia obowiązku. Ale nigdy z pobudek osobistych.

Ku jego zdumieniu w jej oczach pojawiły się łzy. Jasne, że płakała ze złości. Lecz łzy były prawdziwe! Szybko postąpiła do przodu i wymierzyła mu policzek.

- Ty robocie! - wyszlochała.

Wlepiając w nią ponury wzrok, zaśmiał się z nutą szyderstwa.

- O ile pamięć mnie nie myli, dama, która to powiedziała, jest tą samą osobą, która wygłosiła podniosły apel radiowy do wszystkich planet Pięćdziesięciu Słońc, zaklinając się, że przez piętnaście tysięcy lat Ziemia nie zapomnieli o wszystkich swoich uprzedzeniach wobec robotów. Czy to możliwe - zakończył - że problem przy bliższym wejrzeniu okazuje się trudniejszy?

Nie było odpowiedzi. Czcigodna Gloria Cecylia przemknęła obok niego i znikła wewnątrz statku. Parę minut później ukazała się ponownie z jasnym, pogodnym obliczem i Maltby zobaczył, że usunęła wszelkie ślady łez.

- Co odkryłeś podczas swojej wyprawy? Zwlekałam z wezwaniem statku do twojego powrotu - rzekła spokojnym głosem.

- Sądziłem, że prosili cię, abyś odezwała się o godzinie 010.

Kobieta wzruszyła ramionami, a w głosie jej przebrzmiewał arogancki ton, gdy odpowiedziała:

- Zgłaszają się na moje wezwanie. Czy znalazłeś jakieś oznaki inteligentnych form życia?

Pozwolił sobie na krótki luksus współczucia dla istoty ludzkiej, która przeszła tak wiele wstrząsów jak pierwszy kapitan Laurr. Po chwili odezwał się:

- Przeważnie mokradła w dolinie i dżungla, bardzo stara. A chociaż niektóre drzewa są przeogromne, nie widać słoju na nacięciach. Trochę cudacznych zwierzaków i czworonożny dwuręki stwór, który obserwował mnie z oddali. Miał włóczęgę, lecz znajdował się poza zasięgiem hipnozy. Gdzieś w pobliżu musi być wioska. Pewnie na skraju doliny. Wpadłem na pomysł. Rozbiorę człon statku na mniejsze części i przeniosę na twardszy grunt. Naukowcom ze statku przekazałbym następujące dane: jesteśmy na planecie słońca typu G. Musi być ono większe i mieć wyższą temperaturę powierzchni od przeciętnego słońca typu żółtobiałego. Większe i gorętsze dlatego, że chociaż tak odległe, dostarcza dosyć ciepła dla utrzymania półtropikalnych warunków na północnej półkuli tej planety. W środku dnia znajdowało się raczej daleko na północy, a teraz zawraca na południe. Tak na oko powiedziałbym, że planeta musi mieć odchylenie ze czterdzieści stopni, co

oznacza występowanie zimnych wiatrów, chociaż wiek i charakter wegetacji nie potwierdzają tego.

Kapitan Laurr zasepiła się.

- To chyba niewiele. Ale oczywiście ja znam się głównie na wydawaniu poleceń.

- A ja zaledwie «na meteorologii.

- Właśnie. Wejdz. Może mój astrofizyk coś z tego zrozumie.

Twój astrofizyk! - chciał zawołać Maltby. Jednak nie powiedział tego na głos. Poszedł za nią do segmentu statku i zniknął za sobą drzwi. Zlustrował wewnątrz pomostu dowodzenia z krzywym uśmiechem, podczas gdy ona usadowiła się przed astrowizjerem. Nawet imponujący połysk tablicy instrumentów kontrolnych zajmującej całą jedną ścianą miał w sobie teraz coś ironicznego. Cała maszyna od tej tablicy została daleko w przestrzeni kosmicznej. Kiedyś panowała nad Obłokiem Magellana, teraz jego własny ręczny pistolet był potężniejszym narzędziem. Wyczuł na sobie spojrzenie kapitan Laurr.

- Nie rozumiem tego - powiedziała. - Nie odpowiadają.

Maltby nie potrafił wyzbyć się tonu lekkiej drwiny.

- Być może - odparł - być może mają rzeczywiście istotny powód, abyś odezwała się o godzinie 010.

Ledwo dostrzegalny skurcz mięśni jej twarzy świadczył o poirytowaniu, ale nie odezwała się ani słowem.

- W końcu to nie ma znaczenia - ciągnął chłodno Maltby. - Oni i tak stosują w takim przypadku normalną procedurę. Chodzi przecież o nie przeoczenie żadnej możliwości ratunku. Jednak nie potrafię sobie nawet wyobrazić cudu, jakiego potrzeba, aby nas odnaleźć.

Sprawiła wrażenie, że to do niej nie dotarło. Nadal bocząc się zapytała:

- Jak to się dzieje, że nigdy nie słyszeliśmy nadajników radiowych Pięćdziesięciu Słońc? W czasie tych długich dziesięciu lat w Obłoku ani razu nie złapaliśmy nawet szmeru energii radiowej.

Maltby wzruszył ramionami.

- Wszystkie nadajniki pracują na niesłychanie skomplikowanej, zmiennej długości fali o częstotliwości zmian co jedną dwudziestą sekundy. Wasze instrumenty zanotowałyby tyknięcie co dziesięć minut i... Nie dał mu dokończyć głos z astrowizjera:

- Pełniący obowiązki pierwszego kapitana, Rutgers.

- Och, jesteś wreszcie, kapitanie - powiedziała kobieta. - Co się stało?

- Jesteśmy w trakcie lądowania naszych sił na Cassidor VII - padła odpowiedź. - Jak wiecie, przepisy wymagają, aby pierwszy kapitan...

- Ależ oczywiście. Czy teraz ma pan chwilkę czasu?

- Nie. Urwałem się na moment, aby zobaczyć, czy u pani wszystko w porządku, i zaraz przełączę panią na kapitana Plantsona.

- Jak przebiega lądowanie?

- Idealnie. Nawiązaliśmy łączność z rządem. Robią wrażenie zrezygnowanych. Niestety, muszę już iść. Do widzenia pani.

Twarz zamigotała i znikła. Ekran zgasł. Było to chyba jedno z najbardziej lakonicznych powitań. Lecz pogrążony we własnych czarnych myślach Maltby prawie tego nie zauważył. A więc już po wszystkim. Desperacki podstęp Pięćdziesięciu Słońc, jego własna próba zamachu na wielki statek wojenny, wszystko okazało się daremne wobec niezniszczalnego przeciwnika. Przez chwilę smakował gorzkość porażki z jej wszystkimi konsekwencjami. W końcu spłynęła na niego świadomość, że walka przestała się już liczyć w jego życiu, co jednak nie potrafiło go wyrwać z ponurego nastroju. Na pięknej, energicznej twarzy Wielce Czcigodnej Glorii Cecylii zauważył grymas dumy

pomieszanej z irytacją; bez wątpienia nie czuła się ona oderwana od wszelkich wydarzeń zachodzących gdzieś w przestrzeni. Ani nie przegapiła znaczenia, jakie miało gwałtowne przerwanie rozmowy.

Astrowizjer ponownie rozjaśnił się, ale tej twarzy Maltby nie widział uprzednio. Był to starszawy mężczyzna o mocno zarysowanej szczęce i pompatycznym głosie.

- To zaszczyt dla mnie, jaśnie pani; mam nadzieję znaleźć coś, co umożliwi nam ratunek. Nigdy nie tracić nadziei, dopóki, jak mówią, ostatni gwóźdź nie utkwi w twojej trumnie. - Zachichotał, a ona powiedziała:

- Kapitan Maltby udzieli panu wszelkich dostępnych mu informacji, w zamian za co z pewnością posłuży mu pan jakąś radą, kapitanie Planston. Oboje, niestety, nie jesteśmy astrofizykami.

- Nie można znać się na wszystkim - nadał się kapitan Planston. - Eee... kapitanie Maltby, czego się dowiedzieliście?

Maltby krótko ujął to, co wiedział, po czym w milczeniu wysłuchał instrukcji. Nie było tego wiele.

- Muszę znać długość pór roku. Zastanawiający jest ten żółty efekt słonecznego światła i ciemnobrazowy kolor. Zróbcie fotografie na ortoczułym filmie, używając trzech barwników: czerwonego, niebieskiego i żółtego. Zbadajcie odczyt widma, chodzi mi o sprawdzenie, czy czasem nie macie tam silnego błękitnego słońca, którego ultrafiolet zatrzymuje gęsta atmosfera, a całe światło i ciepło dociera na żółtym paśmie. Nie mam dużej nadziei, mówiąc szczerze, Wielki Obłok jest zapchany niebieskimi słońcami - pięćset tysięcy sztuk, wszystkie jaśniejsze od Syriusza. Na koniec pamiętajcie o tej informacji na temat pór, zdobądźcie ją od tubylców. Nie zapomnijcie tego zrobić. Do zobaczenia!

Tubylec zachowywał ostrożność. Bez przerwy niedostrzegalnie wycofywał się do dżungli, a jego cztery nogi dawały mu przewagą szybkości, czego był zdaje się świadom, ponieważ stale powracał prowokująco. Kobieta przyglądała się temu z rozbawieniem, a po pewnym czasie z irytacją.

- A może - zaproponowała - rozdzielimy się i ja naganie go na ciebie?

Dostrzegła jego marsową minę, gdy z ociąganiem skinął głową. Głos Maltby'ego brzmiał zdecydowanie, poważnie.

- Wciąga nas w zasadzkę. Włącz czujniki w hełmie i trzymaj broń w pogotowiu. Nie strzelaj zbyt pochopnie, ale nie zwlekaj w krytycznej chwili. Włócznia może zadać paskudną ranę, a nie mamy najlepszych środków, aby poradzić sobie z czymś takim.

Jego rozkazujący ton wprowadził ją w chwilowe rozdrażnienie. Tak jakby do niego nie docierało, że ona równie dobrze zdaje sobie sprawę z sytuacji. Wielce Czcigodna Gloria westchnęła. Jeżeli będą musieli pozostać ,na tej planecie, nie obejdzie się bez pewnych zasadniczych zmian osobowości, bez psychicznego dostosowania się i to nie tylko - pomyślała z zawziętością - z jej strony.

- Teraz! - usłyszała obok siebie głos Maltby'-ego. - Popatrz, jak ten wąwóz się rozdziela. Byłem tutaj wczoraj i wiem, że te odnogi łączą się ponownie około dwustu jardów dalej. Uciekł lewym rozwidleniem, więc ja pójdę w prawo. Ty zostaniesz tutaj, aż wróci zobaczyć, co się stało, po czym na-goń go na mnie. Maltby jak cień -oddalił się ciemną ścieżką wijącą się pod gęstym listowiem zarośli.

Zapanowała cisza. Czekala. Po minucie ogarnęło ją uczucie osamotnienia w tym żółto-czarnym świecie, nie znającym życia od chwili, kiedy zaczął się czas. Opadły ją różne myśli. Wczoraj Maltby właśnie to chciał powiedzieć twierdząc, że nie odważy się go zastrzelić - i pozostać sama. Wtedy to do niej nie dotarło. Teraz zrozumiała. Opuszczona, na bezimiennej planecie z lichym słońcem, samotna kobieta budzi się każdego ranka w murszejącym statku, który złożył swój martwy, metalowy kadłub na grząskim, ciemnożółtym podłożu. Stała w przygnębieniu. Nie miała cienia wątpliwości, że problem Delian, Mieszkańców i istot ludzkich może znaleźć rozwiązanie równie dobrze tutaj, jak gdzie indziej. Z zaszepienia wyrwał ją jakiś dźwięk. Gdy rozglądała się z nagle wzmożoną, kocią czujnością, głowa ostrożnie wychyliła się sponad linii krzaków na brzegu polany, sto kroków od niej. Interesująca głowa. Jej dzikość była fascynująca nie mniej niż pozostałe cechy. Żółtawy tors kryły zarośla, lecz mignął jej uprzednio tyle razy, że rozpoznała typ CC z pospolitej prawie wszędzie rodziny centaurów. Jego ciało było równo wyważone na zadnich i przednich kończynach. Obserwujące ją wielkie, błyszczące, czarne oczy stały się okrągłe ze zdziwienia. Głowa obracała się we wszystkie strony, wyraźnie poszukując Maltby'ego. Gloria Laurr machnęła pistoletem i ruszyła naprzód. Stworzenie natychmiast znikło. Słyszała przez czujniki, jak pędziło przed siebie uciekając coraz dalej. Zwolniło gwałtownie, po czym wszystko umilkło.

Ma je - pomyślała. Zrobiło to na niej duże wrażenie. - Zuchwali i zdolni do wielu rzeczy są ci Mieszkańcy o podwójnych umysłach - przyznała w duchu. - Byłaby to szkoda, gdyby uprzedzenia uniemożliwiły przyjęcie ich na łono cywilizacji galaktycznego Imperium Ziemi.

Zobaczyła go parą minut później, jak porozumiewał się ze stworzeniem za pomocą systemu blokowego. Maltby podniósł wzrok i spostrzegł ją. Potrząsnął głową, jakby z zakłopotaniem.

- Mówi, że zawsze było tak ciepło, a żyje przez tysiąc trzysta księżyców. Księżyc to czterdzieści słońc, czterdzieści dni. Namawia nas, abyśmy poszli nieco dalej w głąb doliny, lecz to jest szyte zbyt grubymi nićmi. Powinniśmy wykonać ostrożny przyjazny gest i... - Słowa zamarły mu na ustach.

Zanim zdążyła się zorientować, że coś jest nie w porządku, zawładnięto jej wolą, mięśnie

wprawiono w ruch. Poleciała w bok i upadła na ziemię tak szybko, że wstrząs upadku odczuła jak torturę. Leżąc, ogłuszona, zdołała kątem oka dostrzec włócznie przeszywającą powietrze tam, gdzie się przed chwilą znajdowała. Zwinęła się, przekręciła - rozporządzając już własną wolą - i wyszarpnęła pistolet celując w kierunku, z którego nadleciała włócznia. Po nagim stoku oddalał się pędem drugi centaur. Palec jej zacisnął się na wyzwalaczu, gdy nagle...

- Nie! - To był Maltby. - Wysłali zwiadowcę, miał sprawdzić, co się dzieje - mówił prawie szeptem. - On wykonał zadanie. Już po wszystkim.

Opuściła pistolet stwierdzając z rozdrażnieniem, że dłoń jej dygoce. Cała się trzęsła. Otworzyła usta, chcąc powiedzieć „dziękuję za uratowanie mi życia”, ale zaraz je zamknęła nie wydawszy dźwięku. Ponieważ słowa też byłyby drżące. I ponieważ ocalił jej życie. Jej myśl zawisła na krawędzi pustki, zaszokowana sama sobą. Nie do wiary, lecz nigdy przedtem nie była osobiście zagrożona przez pojedynczego osobnika. Pamiętała sytuację, gdy jej statek wleciał w wewnętrzne pierścienie słońca i drugi kataklizm świeżo przebytego sztormu. Ale oba tamte niebezpieczeństwa były bezosobowe, możliwe do pokonania dzięki osiągnięciom techniki i rzetelnemu wyszkoleniu załogi. Tym razem było inaczej. Próbowwała zgłębić istotę tej różnicy przez całą drogą powrotną do segmentu statku. W końcu odniosła wrażenie, że ją pojęła.

- Widmo niczym się nie wyróżnia - relacjonował Maltby swoje odkrycia - całkowity brak ciemnych pasm, za to dwa żółte tak intensywne, że raziły mnie w oczy. Miał pan rację, to jest niebieskie słońce, z silną radiacją fioletu, odciętą przez atmosferę. Jednakże unikalność tego zjawiska ogranicza się do naszej planety, której atmosfera jest niezwykle gęsta. Ma pan jakieś pytania? - zakończył.

- N-nie! - Astrofizyk wydawał się ważyć coś w myślach. - I nie mam dalszych instrukcji. Muszę przebadać ten materiał. Czy mógłby pan poprosić do astrowizjera lady Laurr? Chciałbym pomówić z nią w cztery oczy, za pańskim pozwoleniem.

- Bardzo proszę.

Maltby siedział na zewnątrz obserwując wschodzący księżyc. Ciemność - zauważył to już zeszłej nocy - wytwarzała nieuchwytną, wszędzie obecną fioletową poświatę. Ależ to jasne! Przy takiej średnicy kątowej słońca i takim jego kolorze temperatura na powierzchni planety wynosiłaby minus sto osiemdziesiąt stopni, a nie plus osiemdziesiąt. A więc jedno z pięciuset tysięcy niebieskich słońc... Ciekawe, lecz...

Maltby zaśmiał się złowrogo. „Nie mam dalszych instrukcji” kapitana Planstona nosiło w sobie wszelkie znamiona ostateczności, która... Zadrżał mimo woli. I przez chwilę próbował zobaczyć siebie rok później, wpatzonego, jak teraz, w niezmiennie taki sam księżyc. Dziesięć lat, dwadzieścia... Wyczuł jej obecność. Musiała stać w drzwiach od pewnej chwili wpatrując się w jego postać na krześle. Podniósł wzrok. Snop mlecznego światła z wnętrza statku utrwalił dziwny wyraz na jej twarzy, przydał całej postaci białego blasku, odmiennego od żółtości, która wydawała się częścią jej karnacji przez cały dzień.

- Już więcej nie usłyszymy astroradiowych sygnałów wywoławczych - powiedziała i obróciwszy się zniknęła w kabinie. Maltby pokiwał głową, prawie bez wrażenia. Surowe i brutalne było to nagłe zerwanie łączności. Lecz zgodne ze ściśle określonymi przepisami dotyczącymi takiej sytuacji. Rozbitkowie muszą uprzytomnić sobie raz na zawsze, bez płonnych nadziei i złudnej iluzji, jaką stwarzała łączność radiowa, że zostali odcięci bezpowrotnie. Zdani na siebie raz na zawsze. Cóż, niech tak będzie. Fakt jest faktem, trzeba znaleźć na niego sposób. W jednej z książek przeczytanych na statku wojennym znalazł rozdział o rozbitkach. Podano w nim, że historia odnotowała dziewięćset milionów istot ludzkich, które los rzucił w charakterze rozbitków na nieznanne planety. Większość

tych planet ostatecznie odnaleziono i przynajmniej na dziesięciu tysiącach rozkwitły wielkie społeczności. Według prawa każdy musiał przykładać się do wzrostu populacji; i mężczyźni, i kobiety, bez względu na poprzednią pozycję. Rozbitkowie mają zapomnieć o swych uczuciach i swym własnym ja, a myśleć o sobie jako o instrumencie ekspansji rasy. Istniały kary, oczywiście niewykonalne, jeśli nie nadeszło wybawienie, ale z całą surowością stosowane wobec uratowanych opornych. Niewykluczone, że sąd stanie kiedyś na stanowisku, że istota ludzka i - no cóż... robot to szczególnie przypadek.

Siedział tak chyba z pół godziny. Wreszcie podniósł się czując głód. Zupełnie zapomniał o kolacji. Zrobił się nagle zły na siebie. Niech to diabli, to nie jest najlepsza chwila, aby wywierać na nią presję. Prędzej czy później sama się przekona, że do jej obowiązków należy gotowanie. Lecz nie tej nocy. Pośpieszył do pojazdu, do miniaturowej kuchenki stanowiącej część wyposażenia każdego członu statku. Zatrzymał się w korytarzu. Od drzwi kuchennych biła łuna światła. Ktoś cichutko pogwizdywał, bez wyraźnej melodii, lecz wesoło; w powietrzu unosił się zapach gotowanego mięsa z warzywami. Prawie zderzyli się w progu.

- Właśnie miałam cię zawołać - powiedziała. W ciszy posiłek szybko dobiegł końca. Włożyli naczynia do automatu i usiedli na wielkiej kanapie. Maltby wreszcie zauważył, że kobieta przypatruje mu się rozbawionym wzrokiem. - Czy istnieje jakaś szansa - zapytała znienacka - że Mieszaniec i kobieta rasy ludzkiej będą mieli dzieci?

- Jeśli mam być szczery - wyznał Maltby - nie bardzo w to wierzę. Wdał się w opis procesu ciśnienia niskiej temperatury towarzyszący formowaniu protoplazmy niezbędnej do powstania Mieszkańca. Gdy skończył, nadal przyglądała mu się z lekkim rozbawieniem. Wreszcie odezwała się dość szczególnym tonem:

- Bardzo dziwna rzecz przytrafiła mi się dzisiaj, po tym jak tamten tubylec cisnął włącznią. Zrozumiałam - przez moment wyglądało, że ma trudności z mówieniem - zrozumiałam, że jeśli chodzi o mnie osobiście, to rozwiązałam problem robotów. Rzecz jasna - kończyła spokojnie - nie wzbraniałabym się w żadnym przypadku. Ale miło jest wiedzieć, że podobasz mi się bez - uśmiechnęła się - „zastrzeżeń”.

Niebieskie słońce, które jest żółte. Maltby siedział na swoim krzeselku następnego ranka, łamiąc sobie nad tym głowę. Na poły oczekiwał wizyty tubylców, wiać zdecydował się pozostać tego dnia w pobliżu statku. Nie spuszczał oczu z brzegów polany, krawędzi doliny, leśnych ścieżek, ale...

Jest prawo, uświadomił sobie, określające przesunięcie światła w inne pasma, na przykład żółte. Raczej skomplikowane, lecz z uwagi na fakt, iż całą aparaturą pomostu dowodzenia tworzyły instrumenty kontrolne, a nie właściwe urządzenia, musi polegać na matematyce, jeżeli ma w ogóle próbować ustalić, co to za słońce.. Większość ciepła docierała prawdopodobnie poprzez pasmo ultrafioletu, lecz było to nie do sprawdzenia. A wiać nie zawracać sobie głowy i zająć się żółtym pasmem. Wszedł do statku. Glorii nigdzie nie widział, lecz drzwi do jej sypialni były zamknięte. Znalazł notatnik, wrócił na swoje miejsce i zaczął obliczać. Po godzinie miał odpowiedź: milion trzysta tysięcy milionów mil. Prawie jedna piąta roku świetlnego. Zaśmiał się sucho. To było to. Musiałyby mieć dokładniejsze dane albo... Czyby rzeczywiście musiał? Jego umysł znieruchomiał. Niesłychana prawda spadła na niego w nagłym olśnieniu. Z krzykiem skoczył na równe nogi. Okręcił się i już miał wpaść w drzwi, gdy długi, czarny cień przesłonił niebo. Cień tak ogromny, okrywający mrokiem w jednej chwili całą dolinę, że Maltby zatrzymując się, bezwiednie spojrzał w górę. Okręt wojenny „Gwiezdny Rój” wisiał nisko nad planetą żółto-brązowej dżungli, wyrzuciwszy już z siebie statek ratowniczy, który lśnił żółtawosrebrzyście kołując w blasku słonecznym i zniżając się do lądowania. Maltby miał tylko chwilę na rozmowę z Glorią, zanim statek znalazł się na ziemi.

- Pomyśleć tylko - powiedział - że właśnie przed sekundą odkryłem prawdę.

Stwierdził, że Gloria na niego nie patrzy. Jej spojrzenie jakby tonęło w dali.

- Co do reszty - podjął - wyobrażam sobie, że najlepiej będzie wsadzić mnie w komorę warunkującą i...

- Nie wygłupiaj się - przerwała, nadal nie patrząc na niego. - Nie myśl, że jestem skrepowana dlatego tylko, że mnie pocałowałeś. Przyjmę cię w swym pokoju, ale później.

Kąpiel, świeże ubranie i - wreszcie Maltby wkroczył przez transmiter do sekcji astrofizyki. Jego pierwsze własne odkrycie szokującego faktu, w zasadzie prawidłowe, wymagało jednak wyjaśnienia kilku szczegółów.

- Maltby! - Szef sekcji zbliżył się do niego z wyciągniętą ręką. - To słońce, które wygrzebałeś... już z twojego pierwszego opisu żółtości i czerni powzięliśmy podejrzenia. Ale oczywiście nie mogliśmy rozbudzać waszych nadziei. Zabronione, jak wiesz. Odchylenie osi, niewątpliwie długie lato, podczas którego wielkim drzewom w dżungli nie przybyło słońców... to daje wiele do myślenia. A kalekie widmo z zupełnym brakiem ciemnych pasm - to już prawie rozstrzygające. Ostatecznego dowodu dostarczyło prześwietlenie ortoczułego filmu, podczas gdy niebiesko- i czerwono-czułe filmy były mocno niedoświetlone. Ten rodzaj gwiazdy jest tak potwornie gorący, że praktycznie radiacja całej jej energii zachodzi w nadfiolecie i podczerwieni. Promieniowanie wtórne - rodzaj fluorescencji w atmosferze samej gwiazdy - widzialne żółte światło powstaje, gdy atomy helu przekształcają znikomą cząstką straszliwego promieniowania nadfioletowego w fale większej długości. Lampa fluorescencyjna w pewnym sensie, ale swą gwałtownością wykraczająca poza przeciętną kosmiczną skalę.

Całkowite promieniowanie docierające do planety było oczywiście ogromne, obecność na jej powierzchni, po przejściu przez milie absorbującego ozonu, pary wodnej, dwutlenku węgla i innych gazów - to zupełnie inna sprawa. Nic dziwnego, że tubylec powiedział, że zawsze było ciepło. Lato trwa od czterech tysięcy lat. Normalne promieniowanie tego przerażającego typu gwiazdy - wskaźnik

jej radiacji dla niezmiernych okresów czasu - jest prawie równy w pełni rozwiniętej Novej w jej katastroficznym apogeum aktywności. Częstotliwość rzędu kilku godzin odpowiada w przybliżeniu radiacji stu milionów zwyczajnych słońc. Nazywamy Novą O tę najjaśniejszą ze wszystkich gwiazd i taka jest tylko jedna w Wielkim Obłoku Magellana, ogromna i wspaniała S-Doradus. Kiedy poprosiłem cię o przywołanie pierwszego kapitana Laurr, powiedziałem jej wtedy, że spośród stu milionów słońc wybrała... - W tym momencie Maltby mu przerwał.

- Chwileczkę, czy dobrze usłyszałem? Mówiłeś, że powiedziałaś to lady Laurr ubiegłej nocy?

- Tam w dole była noc? - zainteresował się kapitan Planston. - Ale... przy okazji, byłbym zapomniał... Takie sprawy jak żeniaczka nie mają dla mnie większego znaczenia teraz... gdy jestem stary. Lecz gratuluję.

Maltby nie nadążał za tokiem rozmowy. Jego umysły nadal rozważały pierwsze stwierdzenie. Że ona przez cały czas wiedziała. Ocknął się pod wpływem tych ostatnich słów.

- Gratuluję - powtórzył.

- Najwyższy czas, żeby miała męża - huknął kapitan. - Zawsze myślała tylko o karierze zawodowej. Poza tym będzie to miało zbawienny wpływ na inne roboty... za przeproszeniem. Zapewniam cię, że nazwa nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Tak czy owak, sama lady Laurr ogłosiła to parę minut temu, więc wpadnij innym razem. - Odszedł z pożegnalnym machnięciem krzepkiej dłoni.

Maltby ruszył do najbliższego transmitera. Przecież ona z pewnością na niego czeka. Nie może jej zawieść.

Blado świecąca kula miała około trzech stóp średnicy. Wisiała w powietrzu mniej więcej pośrodku kabiny, dolny łuk jej wypukłości znajdował się na poziomie brody Maltby'ego. Ściągnął brwi i natężając swój podwójny umysł wstał z łóżka, wsunął kapcie, po czym powolutku obszedł z boku świetlisty kształt. Gdy zaszedł go od tyłu, kształt zniknął. Maltby pośpiesznie zawrócił - i oto widział kulę ponownie. Pozwolił sobie na nieprzyjemny uśmiech. Tak jak przypuszczał projekcja z podprzestrzeni skierowana na jego łóżko, nie posiadająca materialnej postaci w jego pokoju. A więc niewidoczna od tyłu. Mars na jego czole pogłębił się wraz z rosnącym zaintrygowaniem. Gdyby nie wiedział, że oni nie mają takiego komunikatora, sądziłby, że zaraz zostanie zawiadomiony, że nadszedł czas działania. Żywił gorącą nadzieję, że nie. Nawet na krok nie zbliżył się do decyzji. A jednak któż inny próbowałby do niego dotrzeć? Ogarnęła go chęć dotknięcia guzika, który połączyłby centrum dowodzenia wielkiego statku z tym, co się działo w jego kabinie. Byłoby niedobrze, gdyby Gloria przypuszczała, że potajemnie utrzymuje stosunki z obcymi. Jeśli raz zacznie podejrzewać, to nawet fakt, że jest jej mężem, nie uchroni jego podwójnego umysłu przed psychologiem statku, porucznik Neslor.

Lecz poza małżeńskimi miał również inne obowiązki, Przysiadł na łóżku spoglądając na przedmiot spode łba i powiedział:

- Założmy, że wiem, kim jesteście. Czego chcecie?

Z kuli rozległ się głos, bardzo silny i pewny siebie:

- Wydaje ci się, że wiesz, kto mówi. Może poznałeś po tej pięknej kuli? - Maltby rozpoznał głos.

Oczy mu się zwięziły, przełknął z wysiłkiem, ale zaraz się opanował. Nie zapomniał, że może mieć słuchaczy, którzy wyciągną odpowiednie wnioski, jeśli natychmiast rozpozna tą osobę. To do nich powiedział:

- Sprawa jest stosunkowo prosta. Jestem Mieszkańcem na pokładzie ziemskiego okrętu wojennego „Gwiezdny Rój”, przebywającego w Wielkim Obłoku Magellana, w rejonie Pięćdziesięciu Słońc. Któż mógłby starać się o kontakt ze mną, prócz ukrywających się przedstawicieli mojej własnej rasy?

- Wiedząc o tym - odparł głos uszczypliwie - nie uczyniłeś jednak próby zdradzenia nas?

Maltby milczał. Uwaga z całą pewnością nie przypadła mu do gustu. Zorientował się, że te słowa, jak poprzednio jego własne, adresowane były do ewentualnych słuchaczy. Lecz to zwrócenie uwagi na fakt, że pragnął zachować tę rozmowę dla siebie, nie było przyjacielskim gestem. Uderzyło go z większą niż uprzednio ostrością, że lepiej będzie nie zapominać o swej politycznej pozycji, zarówno na statku, jak i poza nim. I ważyć każde słowo. Wpatrując się w świecący przedmiot, zdecydował ujawnić tożsamość kryjącego się za nim człowieka.

- Kim jesteś? - zapytał lakonicznie.

- Hunston!

- Och! - wykrzyknął Maltby. Jego zaskoczenie nie było tak bardzo udawane. Potwierdzenie trafności własnego domysłu zrobiło na nim wrażenie. Konsekwencje tej rozmowy nabierały głębszego znaczenia. Hunstona uwolniono po tym, jak „Gwiezdny Rój” odnalazł Pięćdziesiąt Słońc. Od tamtej pory Maltby znajdował się w sytuacji faktycznie pozbawiającej go łączności ze światem zewnętrznym.

- Czego chcesz? - łagodnie powtórzył pytanie.

- Twojego dyplomatycznego poparcia.

- Mojego czego? - wykrztusił Maltby. Głos stał się donośny i dumny.

- Zgodnie z naszym przekonaniem, które z pewnością podzielasz, że Mieszkańcy pomimo swej

niewielkiej liczebności mają prawo do udziału w rządzeniu Pięćdziesięcioma Słońcami na równi z innymi, rozkazałem dzisiaj opanować wszystkie planety naszego systemu. W tej chwili armie Mieszkańców, wspierane przez najpotężniejszy zespół superbroni ze znanych w jakiegokolwiek galaktyce, dokonują inwazji i wkrótce zwyciężą. Ty... i

Głos zamilkł, by spokojnie podjąć po chwili:

- Słucha mnie pan uważnie, kapitanie Maltby?

Pytanie przypominało ciszę, jaka zapada po huku pioruna. Maltby powoli otrząsał się z ciężkiego szoku. Stał na nogi i zaraz potem opadł na łóżko. Wreszcie dotarło do niego, że chociaż świat się zmienił, kabina istnieje dalej. Kabina, świetlista kula i on sam. Gniew buchnął w nim jak płomień.

- Ty wydałeś rozkaz... - warknął z wściekłością i powstrzymał się natychmiast. Jego mózg przestawił się na błyskawiczne pojmowanie, Maltby analizował ewentualności wynikające z tej informacji. Na koniec odezwał się ponuro, zdając sobie sprawą ze swojej sytuacji, niemożliwiającej spór o istotą sprawy. - Liczysz na zatwierdzenie faktów dokonanych. To, co wiem o twardej polityce Imperium Ziemi, przekonuje mnie, że próżne są twoje nadzieje.

- Wręcz przeciwnie - padła szybka odpowiedź. - Musimy przekonać tylko pierwszego kapitana, lady Laurr. Jest w pełni upoważniona, by postępować tak, jak uważa za stosowne. A ona jest twoją żoną.

Maltby wahał się, znacznie już spokojniejszy. Ciekawe, że Hunston zadziaławszy na własną rękę szuka teraz jego poparcia. Właściwie nie było to znowu tak dziwne. To właśnie nagłe uświadomienie sobie, że spodziewał się czegoś takiego, wiedział to od samego początku, od momentu, gdy nadano wiadomość z ostatniej chwili o odkryciu cywilizacji Pięćdziesięciu Słońc przez ziemski okręt wojenny, kazało Maltby'emu milczeć. Za dziesięć lat, pięć, może za rok pieczęć ziemskiej aprobaty zostanie na zawsze przybita na systemie demokracji Pięćdziesięciu Słońc takim, jaki jest. A prawa tego rządu wyraźnie wykluczały Mieszkańców z jakiegokolwiek w nim udziału. Teraz, w tym miesiącu, teoretycznie można było jeszcze coś zmienić. Potem...

Stało się jasne, że on osobiście był zbyt opieszły w podejmowaniu decyzji. Emocje pozostałych skupiły się wokół pragnienia działania i wreszcie przeszli do czynu. Będzie musiał jakoś opuścić statek i zobaczyć, co się dzieje. Jednakże w tej chwili hasłem jest „ostrożność”.

- Nie sprzeciwiam się przedstawieniu twoich racji mojej żonie. Ale niektóre z nich nie zrobiły na mnie najmniejszego wrażenia. Powiedziałaś: największy zespół superbroni w galaktyce. Przyznaję, że ten sposób użycia radia podprzestrzennego jest dla mnie czymś nowym, lecz twoje stwierdzenie jako całość musi być nonsensem. Nie możesz w żaden sposób znać uzbrojenia nawet tego jednego okrętu wojennego, bo nawet ja, pomimo że jestem na miejscu, go nie znam. Ponadto śmiało można założyć, że każdy pojedynczy statek ustępuje potędze militarnej, jaką Ziemia jest w stanie zgromadzić w dowolnej chwili i w dowolnym zakątku poznanego wszechświata. Nie możesz, przebywając w odosobnieniu, jak my wszyscy, nawet przypuszczać, jaką Ziemia ma broń, a co dopiero butnie twierdzić, że wasza jest lepsza. W związku z tym moje pytanie brzmi: po co w ogóle uciekałeś się do tak taniej pogróżki? Ze wszystkich twoich argumentów ten najmniej przysłuży się twojej sprawie. A więc?

Na głównym pomoście potężnego statku Wielce Czcigodna Gloria Cecylia odwróciła się od ekranu wizjera ukazującego kabinę Maltby'ego. Jej piękne czoło zmarszczyło się od namysłu. Nie spiesząc się, powiedziała do swej towarzyszki:

- Co o tym sądzisz, poruczniku Neslor?

- Myślę, jaśnie pani, że to jest właśnie ten moment, o którym mówiłyśmy, gdy po raz pierwszy zapytałaś mnie, jaki byłby psychologiczny efekt twojego małżeństwa z Peterem Maltbym.

Pierwszy kapitan wlepiła pełne zdumienia oczy w swą podwładną.

- Oszalałaś? Jego reakcje są zupełnie na miejscu, w najmniejszych drobiazgach. Opowiadał mi szeroko, co sądzi o sytuacji wewnętrznej Pięćdziesięciu Słońc, i każde jego słowo pasuje...

Z wewnętrznego radiokomunikatora odezwało się delikatne brzęczenie. Na ekranie pojawiły się twarz i barki mężczyzny.

- Draydon - przedstawił się. - Dowódca łączności. Nawiązując do pani pytania o ultrakrótkie fale radiowe, skupione teraz w sypialni pani męża, podobne urządzenie wynaleziono w głównej galaktyce około stu dziewięćdziesięciu lat temu. Zamierzano wyposażyć w nie wszystkie nowe okręty wojenne i stare powyżej klasy krążownika, lecz znajdowaliśmy się w drodze, zanim rozpoczęto masową produkcję. Przynajmniej na tym polu Mieszkańcy dorównali w wynalazkach twórczemu geniuszowi ludzi, chociaż trudno zrozumieć, w jaki sposób tak niewielu mogło osiągnąć tak dużo. Sama znikomość ich liczby czyni wysoce prawdopodobnym, że nie zdają sobie sprawy z możliwości naszych wykrywaczy, które natychmiast zasygnalizują nam obecność obcej energii. W żaden sposób nie mogli odkryć wszystkich ubocznych efektów swego wynalazku. Czy jeszcze coś, jaśnie pani?

- Tak. Jak to działa?

- Energia. Czysta, niefałszowana energia. Olbrzymi stożek ultrafala skierowany w szeroki sektor przestrzeni, w którym przypuszczalnie znajduje się statek odbiorczy. Wszystkie silniki statku nadawczego przestawione zostają na promieniowanie. O ile pamiętam, udało się eksperymentalnie nawiązać łączność na odległość tak wielką jak trzy tysiące pięćset lat świetlnych.

- Zgoda - zniecierpliwiła się lady Laurr - ale jaka jest zasada działania? Jak na przykład odróżnili „Gwiezdny Rój” od setki innych statków?

- Wiadomo pani - nadeszła odpowiedź - że statek nasz nieprzerwanie emituje promienie rozpoznawcze na fali specjalnej długości. Ultrapromienie zostały dostrojone do długości tej fali i reagują natychmiast na zetknięcie. Błyskawicznie wszystkie promienie ześrodkowują się na źródle fal rozpoznawczych i pozostają skupione na nim bez względu na prędkość czy zmianą kierunku. Oczywiście, gdy już skupi się fale nośne, przesłanie za ich pośrednictwem obrazu i głosu jest proste.

- Rozumiem. - Zadumała się jakby. - Dziękuję.

Rozłączyła się wracając spojrzeniem do kabiny Maltby'ego.

- Doskonale - mówił Maltby - przedstawię twoje argumenty żonie.

Świetlista kula zniknęła w odpowiedzi. Pierwszy kapitan nie przejęła się tym. Cała rozmowa została zarejestrowana, tak że później mogła zobaczyć fragment, który straciła. Powoli odwracając się od porucznik Neslor wyraziła myśl, która nie opuściła jej ani na chwilę.

- Możesz mi wyjaśnić to, co powiedziałaś na moment, zanim nam przerwano?

- Zaszło tutaj coś o podstawowym znaczeniu dla problemu całych Pięćdziesięciu Słońc - powiedziała chłodno starsza kobieta. - To zbyt poważne, by dopuścić do jakiegokolwiek ingerencji. Musimy usunąć ze statku twojego męża, a ty sama zgodzisz się poddać odwarunkowaniu z miłości do niego, dopóki się ta historia ostatecznie nie zakończy. Rozumiesz to, prawda?

- Nie! - z uporem odparła lady Laurr. - Nie rozumiem. Na jakiej podstawie tak sądzisz?

- Z kilku ważnych powodów. Po pierwsze dlatego, że ty za niego wyszłaś. Nigdy byś nie poślubiła zwyczajnego człowieka.

- Oczywiście - powiedziała z dumą pierwszy kapitan. - Ty sama stwierdziłaś, że jego ilorazy inteligencji, każdy z osobna, są większe od mojego.

Porucznik Neslor zaśmiała się złośliwie.

- Od kiedy to iloraz inteligencji ma dla ciebie takie znaczenie? Gdyby to było kryterium ustalania równości, królewskie i arystokratyczne rody galaktyki od dawna roilyby się od profesorów i

naukowców. Nie, o nie, moja pani kapitan, osoby wysokiego stanu posiadają zmysł wielkości nie mający nic wspólnego z inteligencją czy talentem. My, mniej szczęśliwi śmiertelnicy, możemy odczuwać to jako niesprawiedliwość, ale nic na to nie poradzimy. Gdy jego lordowski mość wkroczy do pokoju, możemy go nie lubić, nienawidzić, ignorować lub paść przed nim plackiem. Lecz nigdy nie przejdziemy obok niego obojętnie. Kapitan Maltby jest właśnie otoczony taką aurą.

- Jest zaledwie kapitanem floty Pięćdziesięciu Słońc - zaprotestowała Gloria - w dodatku sierotą wychowanym przez państwo

Porucznik Neslor była nieporuszona.

- On wie, kim jest, nie bój się. Żałuję jedynie, że wyszłaś za niego tak szybko, uniemożliwiając mi przeprowadzenie szczegółowego badania jego dwóch umysłów. Bardzo ciekawi mnie jego historia.

- On mi wszystko powiedział.

- Jaśnie pani - ostro odezwała się psycholog - zastanów się nad tym, co mówisz. Mamy do czynienia z mężczyzną, którego najniższy iloraz inteligencji przekracza 170. Każde słowo, wypowiedziane przez ciebie na jego temat, zdradza słabość kobiety do ukochanego. Ja nie kwestionuję - ciągnęła - twojego zaufania do niego. Na ile mogłam się zorientować, jest on wybitnym i uczciwym człowiekiem. Lecz twoja ostateczna decyzja w sprawie Pięćdziesięciu Słońc musi zapaść niezależnie od stanu twoich uczuć. Czy teraz rozumiesz?

Nastąpiła długa cisza i wreszcie prawie nieuchwytnie skinienie.

- Wysadź go na Atmion - powiedziała bezbarwnym głosem. - My wracamy na Cassidor.

Stojąc na ziemi Maltby obserwował, jak „Gwiazdny Rój” niknie w błękitnej mgłę jonosfery. Następnie złapał taksówkę i pojechał do najbliższego hotelu. Stamtąd przeprowadził swoją pierwszą rozmowę telefoniczną. Po upływie godziny do pokoju weszła młoda kobieta, sztywno salutując. Pod jego spojrzeniem nieco zlagodniała. Podeszła bliżej i przyklękawszy nieśmiało ucałowała jego dłoń.

- Możesz wstać - powiedział Maltby. Zaczęła się wycofywać, wpatrzona w niego czujnym, trochę rozbawionym, a trochę wyzywającym spojrzeniem. Maltby sam poczuł się śmiesznie w tej sytuacji. Decyzja wielu pokoleń Mieszkańców, że dziedziczne przywództwo jest jedynym praktycznym rozwiązaniem problemu sprawowania władzy nad tak liczną grupą nieprzeciętnie utalentowanych ludzi, przybrała dość nieoczekiwany obrót, gdy Peter Maltby, syn ostatniego wodza, został pojmany przez Delian w tej samej bitwie, w której poległ jego ojciec. Po długim namyśle pomniejsi naczelnicy postanowili przywrócić mu jego prawa. Zaczęli nawet wierzyć, że posiadanie przywódcy chowanego przez ludzi Pięćdziesięciu Słońc przyniesie Mieszkańcom korzyści. Dobre sprawowanie się jego i innych pojmanyh dzieci, obecnie dorosłych ludzi, mogło pomóc w odzyskaniu zaufania obywateli Pięćdziesięciu Słońc.

Niektórzy ze starszych wiekiem polityków uważali to za jedyną nadzieję swej rasy. Ciekawe, że pomimo akcji Hunstona ta kobieta częściowo uznała jego pozycję.

- Moja sytuacja jest następująca - powiedział Maltby. - Mam na sobie ubiór zestrojony, jestem tego pewien, z wykrywaczem na pokładzie „Gwiazdnego Roju”. Chcę, żeby ktoś go nosił podczas mojej wyprawy do ukrytego miasta.

- To się da załatwić - odpowiedziała. - Jutro o północy będzie czekał statek. Zdąży pan?

- Zdążę. Zawahała się.

- Czy coś jeszcze?

- Tak - powiedział Maltby. - Kto popiera Hunstona?

- Młodzi mężczyźni - odpowiedziała bez namysłu.

- A młode kobiety?

- Przecież jestem tutaj - uśmiechnęła się.

- Tak, ale tylko połową serca.

- Druga połowa - powiedziała bez uśmiechu - przebywa z chłopakiem walczącym w jednej z armii Hunstona.

- Dlaczego twoje całe serce się tam nie znajduje?

- Ponieważ nie wierzę w słuszność opuszczania legalnego rządu w pierwszej krytycznej sytuacji. Wybraliśmy na określony czas system dziedzicznej władzy. My, kobiety, wcale nie pochwalamy popędliwych, ryzykownych poczynań kierowanych przez takich awanturników jak Hunston, chociaż zdajemy sobie sprawę, że jest to moment przełomowy.

- Wielu mężczyzn przypłaci to życiem, zanim będzie po wszystkim - powiedział z powagą Maltby.

- Mam nadzieję, że nie będzie wśród nich twojego chłopaka.

- Dziękuję - wyszeptwała odchodząc.

Istniało dziewięć planet nie znanych z nazwy, a na nich dziewięć ukrytych miast zamieszkałych przez Mieszkańców. Podobnie jak planety, miasta nie miały nazw. Mówiło się o nich po prostu „miasto” z pewnym akcentem, odmiennym dla każdego. Znajdowały się pod ziemią: trzy pod wielkimi, burzliwymi morzami, dwa pod łańcuchami górskimi, a o położeniu pozostałych czterech nikt nic nie wiedział. Potwierdziła ten fakt jedna z podróży Maltby'ego. Wyjścia leżały daleko od

miast, do których prowadziły tunele tak kręte, że największe statki kosmiczne musiały posuwać się z minimalną prędkością.

Przybywający po Maltby'ego statek spóźnił się zaledwie dziesięć minut. Większość załogi stanowiły kobiety, lecz znaleźli się wśród niej i starsi mężczyźni, łącznie z trzema głównymi doradcami jego dawno zmarłego ojca - Johnsonem, Saundersem i Collingsem. Ten ostatni wystąpił w imieniu całej trójki.

- Nie jestem pewny, sir - powiedział - czy powinien pan się wybierać do miasta. Panuje tam pewna wrogość, nawet wśród kobiet. Obawiają się o swych synów, mężów, kochanków - lecz są im wierne. Wszystko, co robi Hunston i spółka, było i jest okryte tajemnicą. Nie mamy pojęcia, co się dzieje. W ukrytym mieście nie można zdobyć żadnych informacji.

- Nie oczekiwałem, że będzie można - zabrał głos Maltby. - Chcę wygłosić przemówienie, przedstawiając mój punkt widzenia na ogólną sytuację.

Później, gdy już Maltby stanął przed swymi słuchaczami, nie było aplauzu. Dwadzieścia tysięcy ludzi w potężnym audytorium słuchało jego głosu w ciszy, która jakby się pogłębiła, gdy zaczął opisywać pewne możliwości „Gwiezdnego Roju”. Po nakreśleniu założeń polityki Imperium Ziemi w odniesieniu do zagubionych kolonii w rodzaju Pięćdziesięciu Słońc ich dezaprobata stała się jeszcze bardziej wyraźna, ale Maltby mimo to kończył z ponurą determinacją.

- O ile Mieszkańcy nie dojdą do jakiejś ugody z Ziemią, lab nie znajdą sposobu unieszkodliwienia jej potęgi, wszystkie wstępne zwycięstwa będą daremne, bez znaczenia, i skończą się niezawodnie klęską. W Pięćdziesięciu Słońcach nie ma dostatecznej siły na pokonanie okrętu wojennego „Gwiezdny Rój”, a co dopiero wszystkich innych statków, które Ziemia może wysłać tu w razie potrzeby. Przeto...

Wyłączono jego mikrofon. Wszystkie głośniki w ogromnej sali zaryczały unisono: „Tajny agent swojej ziemskiej żony. Nigdy nie był jednym z nas”. Na twarzy Maltby'ego pojawił się posępny uśmiech. A więc przyjaciele Hunstona uznali, że jego trzeźwe argumenty mogą odnieść skutek, i to jest ich odpowiedź. Czekał na koniec zakłóceń mechanicznych. Lecz mijały minuty, a wrzawa raczej wzmagala się, niż słabła. Audytorium nie było z rodzaju tych, które uznają wrzask za logiczny sposób argumentacji. Rozzłoszczone kobiety zrywały na oczach Maltby'ego głośniki znajdujące się w zasięgu ich rąk, co nie mogło generalnie rozwiązać sprawy, gdyż większość głośników wisiała u sufitu. Zamęt rósł. Hunston i jego ludzie - myślał w napięciu Maltby - muszą zdawać sobie sprawę, że irytują własnych zwolenników. Dlaczego poszli na takie ryzyko? Istniała na to tylko jedna rozsądna odpowiedź: grają na zwłokę. Mają w zanadrzu coś wielkiego, co przełamie całą wrogość i rozdrażnienie. Jakaś dłoń zaczęła go szarpać za ramię. Odwracając się ujrzał twarz Collingosa. Staruszek wyglądał na zaniepokojonego.

- To mi się nie podoba - mówił przekrzykując hałas. - Skoro posunęli się tak daleko, mogą spróbować nawet zamachu na ciebie. Lepiej chyba będzie, jeśli natychmiast wrócisz na Atmion czy Cassidor, gdzie wolisz.

Maltby wydawał się nieobecny myślami.

- Muszę wybrać Atmion - zdecydował wreszcie. - Nie chcę, aby ludzie z „Gwiezdnego Roju” pomyśleli, że zmieniam skórę na zawołanie. W pewnym sensie nic mnie już z nimi nie łączy, ale uważam, że utrzymanie kontaktu może się jeszcze przydać. - Uśmiechnął się sztywno, gdyż było jasne, że jest to klasyczne niedomówienie. To prawda, że Głorię odwarunkowano z miłości do niego, lecz on pozostał w niej zakochany. Choćby nie wiadomo jak się starał, nie zdoła zapomnieć o tym uczuciu.

- Wiesz, jak mnie złapać - powiedział - gdyby zaszło coś nowego? Również i to nie było specjalnie pocieszające. Przewidywał, całkiem trafnie, że Hunston zadba szczególnie o to, by żadna

wieść nie dotarła do ukrytego miasta na planecie bez nazwy. Sposób, w jaki on sam miał zdobyć informacje, stanowił osobne zagadnienie. Nagle poczuł się zupełnie poza nawiasem. Opuścił podium jak najgorszy parias. Hałas zamierał za jego plecami.

Mijały dni, a Maltby łamał sobie głowę nad zagadkowym brakiem wiadomości o „Gwiezdnym Roju”. Przez dłużące się godziny tego miesiąca wędrował bez celu od miasta do miasta, słysząc jedynie o sukcesach Mieszkańców. Relacje były mocno przejawione. Zwycięzcy musieli wszędzie przejąć rozgłośnie radiowe, gdyż napływały entuzjastyczne sprawozdania, jak to ludność Pięćdziesięciu Słońc przyjmuje nowych przywódców wiodących ją do walki ze statkiem Imperium Ziemi. Przeciwno istotom ludzkim, których przodkowie piętnaście tysięcy lat temu wymordowali wszystkie roboty, jakie wpadły im w ręce, zmuszając ocalałych z masakry do ucieczki w ten odległy gwiazdozbiór. Temat ten przewijał się do znudzenia. Żaden „robot” nie może zaufać człowiekowi po tym, co zaszło w przeszłości. Mieszkańcy obronią świat przed podłymi ludźmi i ich okrętem wojennym. Niepokoiła i przejmowała chłodem nuta triumfu przenikająca owe relacje. Trzydziestego pierwszego dnia, jedząc obiad na odkrytym tarasie restauracji, Maltby zadumał się nad tym nie po raz pierwszy. Przyciszona, lecz skoczna muzyka wylewała się z publicznego radiowęzła nad jego głowę. Właściwie przepływała obok, ponieważ był zbyt pochłonięty swoimi myślami, aby odbierać odgłosy zewnętrzne. Jedno pytanie opanowało jego umysł: co się stało z „Gwiezdnym Rojem”? Gdzie może teraz być?

Gloria powiedziała: „Podejmiemy natychmiastową akcję. Ziemia nie uzna żadnej władzy mniejszości. Mieszkańcy dostaną demokratyczne przywileje i równe prawa, ale nie dominującą pozycję. Inaczej być nie może”.

Maltby zdawał sobie sprawę, że jest to rozumne, o ile istoty ludzkie rzeczywiście porzuciły uprzedzenia wobec tak zwanych robotów. O ile - ale bezpardonowe usunięcie go ze statku dowodziło, że problem w żadnym wypadku nie został rozwiązany. W górze muzyka urwała się. na wysokiej, piskliwej nucie, a wraz z nią jego myśli. Krótką ciszę zakłócił dobrze znany głos Hunstona.

- Mam niezwykle ważny komunikat do wszystkich obywateli Pięćdziesięciu Słońc. Ziemski okręt wojenny nie stanowi już niebezpieczeństwa. Mieszkańcy zręcznym podstępem zdobyli statek, który znajduje się teraz na Cassidor, odsłaniając swoje sekrety przed technicznymi ekspertami Mieszkańców. Obywatele Pięćdziesięciu Słońc, dni trwogi i niepokoju minęły. Mieszkańcy, wasi krewniacy i protektorzy pokierują waszymi sprawami. Jako ich i wasz przywódca niniejszym zapowiadam uroczym trybem trzydziestu miliardom ludzi naszych siedemdziesięciu planet okres przygotowań do przyszłych odwiedzin z głównej galaktyki, zapewniając, że nigdy już żaden okręt wojenny nie zapanuje w głąb Wielkiego Obłoku Magellana, który ogłaszamy naszym terytorium, świętym i nienaruszalnym na zawsze. Ale to dotyczy przyszłości. Na razie my, obywatele Pięćdziesięciu Słońc, uniknęliśmy najstraszliwszego niebezpieczeństwa w historii. W związku z tym ogłaszam trzydniowe święto. Zarządzam muzykę, wino, śmiech... Z początku wyglądało na to, że nie ma się nad czym zastanawiać. Maltby siedział przed siebie bulwarem mijając drzewa, kwiaty i piękne domy, próbując po pewnym czasie wywołać w umyśle obraz niezwyciężonego okrętu wojennego, zdobytego wraz ze wszystkimi na pokładzie - jeżeli wszyscy żyli. Jak to się stało? Na czerń kosmosu, jak?

Mogli tego dokonać Mieszkańcy z podwójnymi umysłami o hipnotycznej mocy, jeśli dostali się na pokład w liczbie wystarczającej do podporządkowania sobie wszystkich wyższych oficerów. Lecz któż byłby na tyle szalony, by wpuścić na pokład pierwszą grupę Mieszkańców? Jeszcze miesiąc temu „Gwiezdny Rój” miał podwójne zabezpieczenie przed tak tragicznym końcem wyprawy. Pierwsze stanowiła kompetentny psycholog statku, porucznik Neslor, która nie zawahałaby się przed

wtargnięciem do umysłu każdej osoby przybywającej na statek. Drugie kapitan Peter Maltby, którego podwójny umysł natychmiast wyczuwał obecność innego Mieszkańca. Tyle że Maltby zamiast na statku, znajdował się w cichej, pięknej alei, skonsternowany i rozgoryczony. Więc to dlatego objawiła mu się świetlista kula, a Hunston był tak uprzejmy. Słowa tego człowieka nie miały nic wspólnego z jego zamiarami. Cała scena została zaaranżowana po to, by zmusić do opuszczenia statku jedyną osobę, zdolną natychmiast wykryć obecność Mieszkańca. Trudno powiedzieć, jak by postąpił w takim wypadku. Zdrada własnych współplemieńców i wysłanie ich na śmierć z miłości do kobiety z obozu przeciwnika właściwie nie wchodziły w rachubę. Z drugiej strony nie mógłby dopuścić, by ona dostała się do niewoli. Być może starałby się ostrzec zamachowców, by trzymali się z daleka. Wymuszenie na nim wyboru w momencie błyskawicznego ataku wystawiłoby na ciężką próbę logiczną pojemność jego umysłu. Teraz to już nie miało znaczenia. Los pokierował wydarzeniami nie pytając go o zdanie. Nie miał już wpływu na ich dalszy rozwój. Przejęcie władzy politycznej nad Pięćdziesięcioma Słońcami, zdobycie potężnego okrętu wojennego, to wszystko leżało poza zasięgiem człowieka, któremu życie udowodniło, że się mylił, i który mógł to teraz przypłacić życiem. I nikt by po nim nawet nie zapłakał, nawet jego byli zwolennicy. Na nic się nie zda powrót do ukrytego miasta w godzinie triumfu Hunstona. A jednak miał coś do zrobienia w tej sprawie. Jeśli rzeczywiście „Gwiezdny Rój” został pojmany, to została również pojmana Wielce Czcigodna Gloria Cecylia. A Glorii Cecylii, Lady Laurr z Wysoko Urodzonych Laurrów doszedł do długiej listy imponujących tytułów jeszcze jeden: pani Maltby. Taka była rzeczywistość. Z niej wyłonił się pierwszy, czysto osobisty, cel w jego samotnym życiu.

XVIII

Przed nim rozpościerała się baza floty wojennej. Maltby przystanął na chodniku sto stóp od głównego wejścia, zapalając niedbale papierosa. Palenie było od początku zwyczajem niedeliańskich i nigdy go sobie nie przyswoił. Lecz człowiek pragnący wydostać się z planety IV słońca Atmion na Cassidor VII bez korzystania z regularnej komunikacji musi dysponować elastycznym repertuarem drobnych czynności maskujących z myślą o takich momentach jak ten. Pałac papierosa obejmował spojrzeniem bramą i dowódcą warty. W końcu ruszył przed siebie lekkim krokiem osoby nie mającej nic na sumieniu. Stał wydmuchując z nonszalancją dym, podczas gdy Delianin sprawdzał jego idealnie prawdziwe dokumenty. Nonszalancja stanowiła maskę. Jego umysł pracował gorączkowo. Że też musiał to być Delianin. Z takim człowiekiem nie ma sensu próbować hipnozy, chyba że przez zaskoczenie.

- Proszę do bocznego wejścia, kapitanie - odezwał się oficer. - Chcą za panem porozmawiać.

Maltby poczuł, jak krew odpływa z jego podstawowego mózgu, lecz mózg dodatkowy był napięty niby stal hartowana. Czyżby go zdemaskowano? Miał już uderzyć na przeciwnika, kiedy zawahał się. Stój! - ostrzegł sam siebie. Będziesz miał czas na działanie, jeśli on spróbuje podnieść alarm. Trzeba sprawdzić do końca, czy Hunstonowi starczyło czasu na zaciśnięcie wszystkich oczek sieci, rzucił ostre spojrzenie na twarz oficera. Lecz typowo przystojne oblicze Delianina miało typowo nieprzenikniony wyraz. Jeśli go zdemaskowano, jest już za późno na ten specjalny rodzaj hipnozy. Delianin zaczął ściszym głosem, nie owijając w bawełnę:

- Mamy rozkaz zatrzymać pana, kapitanie. - Umilkł i z zaciekawieniem wlepił wzrok w Maltby'ego, który sondując go swymi umysłami natrafił na nieprzebytą barierę i wycofał się pokonany, lecz nie skonfundowany. Jak dotąd, nic mu nie zagrażało. Maltby wpatrywał się badawczo w rywala.

- Tak? - odezwał się wyczekująco.

- Jeżeli pana wpuszczą - mówił Delianin - i coś się stanie, powiedzmy zniknie statek, ja będę odpowiadał. Ale jeśli pana nie wpuszczę i pan po prostu odejdzie, nikt się nie dowie o pańskiej obecności. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. - Proste, co?

Maltby spoglądał ponuro.

- Dzięki - powiedział - ale właściwie o co chodzi?

- Nie wiemy, co o tym myśleć.

- O czym?

- O Mieszkańcach. Zagarnęli władzę, wszystko to bardzo pięknie. Ale flota Pięćdziesięciu Słońc nie wyrzeka się niczego, ami też nie składa przysięgi na wierność w dziesięć minut. Poza tym, zastanawiamy się, czy oferta Ziemi nie była czasem uczciwa.

- Dlaczego mi pan o tym mówi? Fizycznie jestem w końcu Mieszkańcem. Tamten uśmiechnął się.

- W mesach dyskutowano szczegółowo na temat pańskiej osoby, kapitanie. Nie zapomnieliśmy, że przez piętnaście lat należał pan do nas. Chociaż mógł pan tego nie zauważyć, wystawialiśmy pana na wiele prób w tym czasie.

- Zauważyłem - odparł Maltby pochmurniej pod wpływem wspomnień. - Odniosłem wrażenie, że nie wypadły one dla mnie pomyślnie.

- Owszem, wypadły.

Zaległa cisza. Maltby czuł rosnące podniecenie.

Pograżył się we własnych kłopotach tak bardzo, że reakcja Pięćdziesięciu Słońc na polityczny kataklizm ledwodo niego dotarła. Gdy się nad tym zastanowił, dostrzegł wśród cywilnej ludności tę

samą niepewność, jaką wyrażał ten oficer. Nie ulegało wątpliwości, że Mieszkańcy zagarnęli władzę w idealnie sposobnym momencie psychologicznym. Lecz ich zwycięstwo nie było ostateczne. Nadal istniała szansa dla innych.

- Chcę dostać się na Cassidor, zobaczyć, co z moją żoną - powiedział wprost Maltby. - W jaki sposób mogę to zrobić?

- Pierwszy kapitan „Gwiezdnego Roju” jest rzeczywiście pańską żoną? To nie był chwyt propagandowy?

Maltby skinął głową.

- Rzeczywiście jest moją żoną.

- I wyszła za pana wiedząc, że jest pan robotem?

- Tygodniami siedziałem w bibliotece okrętu wojennego - powiedział Maltby - tropiąc ziemską wersję masakry robotów sprzed piętnastu tysięcy lat. Oni wyjaśniają to chwilowym nawrotem starych rasowych uprzedzeń wśród ludzi, uprzedzeń mających, jak pan 'wie, swoje korzenie w lęku przed nieznanym i oczywiście w czystej, irracjonalnej antypatii, Delianin, istota doskonale piękna, ze swoją zadziwiającą siłą fizyczną i umysłową, wydawał się tak dalece górować nad naturalnie zrodzonymi ludźmi, że w jednej chwili lęk przerodził się w nienawiść i rozpoczęto linczowanie.

- A co z Niedelianami? - zagadnął oficer. - Umożliwili nam ucieczkę, a mimo to niewiele o nich wiadomo.

Maltby wykrzywił się w uśmiechu.

- W tym cały dowcip. Proszę posłuchać...

Oficer nie zdradzał żadnych uczuć po wysłuchaniu wyjaśnienia.

- Czy ludzie z „Gwiezdnego Roju” wiedzą o tym?

- Powiedziałem im - odparł Maltby. - Zamierzali to ogłosić tuż przed powrotem statku na Ziemię.

Milczeli obaj. Wreszcie Delianin zapytał:

- Co pan myśli o tej historii z Mieszkańcami, którzy zagarnęli u nas władzę i przygotowują wojnę?

- Nie wiem, co myśleć.

- Jak my wszyscy.

- Czego się boję naprawdę, to nieuchronnego nadejścia innych statków ziemskich, z których przynajmniej części nie uda się przechwycić podstępem.

- Tak - powiedział Delianin - i nam to przyszło do głowy.

Milczenie zapadło tym razem na dłużej i dopiero przerwał je Maltby powtarzając pytanie:

- Jak mogę dostać się na Cassidor? Delianin stał z przymkniętymi oczami, wahając się. Wreszcie westchnął.

- Jest statek za dwie godziny. Chyba kapitan Terda Laird nie sprzeciwi się pańskiej obecności na pokładzie. Proszę za mną, kapitanie.

Maltby kroczył w cieniu wielkich hangarów. Odczuwał dziwne odprężenie. Zorientował się, co ono oznaczało, już w przestrzeni. Dręczące uczucie samotności we wszechświecie pełnym wrogów gdzieś znikło.

Ciemność za iluminatorami koła jego twórczy umysł. Utkwił spojrzenie w czarnym atramencie z połyskliwymi punkcikami gwiazd i czuł, jak zachodzi w nim proces integracji. Napływały nostalgiczne wspomnienia godzin spędzonych w ten sposób, przy pulpicie meteorologa floty Pięćdziesięciu Słońc. Wtedy uważał, że nie miał przyjaciół, że od deliańskich robotów i Delian odgradza go niepokonana nieufność. Prawda mogła być inna, pewnie odsunął się tak daleko, że nikt nie ośmielił się do niego zbliżyć. Teraz wiedział, że podejrzliwość dawno już rozwiała się, prawie znikła. Problem całych Pięćdziesięciu Słońc stał się jakoś dzięki temu ponownie jego własnym. Inaczej trzeba podejść do uwolnienia Glorii, myślał. Parę godzin przed lądowaniem przesłał swoją wizytówkę kapitanowi Lairdowi i poprosił o rozmowę. Dowódcą statku był szczupły, siwy, dostoyny Niedelianin. Zgodził się z każdym słowem, każdym szczegółem planu Maltby'ego.

- Cała ta sprawa - powiedział - wybuchła parę tygodni temu, wkrótce po przejęciu władzy przez Mieszkańców. Szacując ogólną liczbę okrętów wojennych w dyspozycji Ziemi, uzyskaliśmy liczbę tak wielką, że praktycznie pozbawioną znaczenia. Wcale by nas nie zaskoczyło, gdyby Ziemia - mówił ze szczerością oficer - przeznaczyła po jednym okręcie wojennym na każdego mężczyznę, kobietę i każde dziecko Pięćdziesięciu Słońc, bez uszczerbku dla obrony głównej galaktyki. My z floty z niecierpliwością oczekiwaliśmy, że Hunston ustosunkuje się do tego publicznie bądź prywatnie. Zatrważający jest brak jakiejkolwiek wypowiedzi z jego strony, szczególnie gdy dostrzeżemy pewną logikę w argumentach, że pierwsza penetracja nowego systemu gwiazdowego takiego jak nasz Wielki Obłok Magellana, nastąpiła za wiedzą władzy centralnej.

- To jest cesarska wyprawa - powiedział Malt-by - działająca z polecenia władzy cesarskiej.

- Szaleństwo! - zamruczał kapitan statku. - Nasi nowi przywódcy to szaleńcy. Potrząsnął głową prostując plecy, jakby chciał się pozbyć wątpliwości. - Kapitanie Maltby - podjął donośnym głosem - sądzę, że jestem w stanie zapewnić panu całkowite poparcie floty wojennej w akcji uwalniania pańskiej żony, o ile... o ile ona jeszcze żyje.

Spadając w ciemność godziną później, w dół, coraz niżej i niżej, Maltby starał się zająć tą pokrzepiającą obietnicą dla oddalenia ponurej treści ostatnich słów. W pewnej chwili jego dawny sarkazm buchnął jak rozdmuchane resztki ogniska. Nie do wiary - pomyślał z ironią - że to zaledwie parę miesięcy minęło od chwili, gdy okoliczności skłoniły porucznik Neslor, psychologa „Gwiazdowego Roju”, do narzucenia mu głębokiego uczuciowego przywiązania do Glorii, które od tamtej pory na zawsze stało się motorem jego działania. Z drugiej strony ona zakochała się w nim w sposób naturalny. Dlatego właśnie, między innymi, ich związek był mu tak drogi.

Planeta w dole urosła. Pojaśniała - wyglądała jak zawieszony w przestrzeni półksiężyc, którego ciemna strona mrugała srebrnymi błyskami światła dziesiątek tysięcy miast i miasteczek. Tam właśnie zmierzał - ku rozmigotanej, mrocznej powierzchni.

Wylądował w zagajniku i przy dokładnie oznakowanym drzewie zakopywał właśnie swój skafander, gdy runęła na niego absolutna ciemność. Maltby czuł, że pada.

Zderzając się gwałtownie z ziemią zdawał sobie dokładnie sprawę, że traci przytomność. Ocknął się i rozejrzał się wokół ze zdumieniem. Było wciąż ciemno. Dwa z trzech księżyców Cassidor znajdowały się sporo nad horyzontem, a nie było ich wcale widać, gdy lądował. Ich światło rozlewało się mgliście ponad wielką polaną. Poznał tę samą kępę drzew. Poruszył rękami - były nie skrępowane. Dźwignął się na kolana, potem na nogi. Był sam. Nie słyszał żadnego dźwięku, poza słabym szelestem wiatru w gałęziach. Stał ze zwięzionymi z podejrzliwości oczami, odprężając się stopniowo. Przypomnił sobie, że słyszał o podobnych omdleniach ogarniających Niedelian po

długim opadaniu w przestrzeni. Na Delian to nie działało i aż do tej chwili sądził, że Mieszkańcy posiadają tę samą odporność. A jednak nie. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Zbywając to wzruszeniem ramion, zapomniał o całej historii.

Po około dziesięciu minutach dotarł do najbliższego postoju pojazdów. Jeszcze dziesięć minut i znalazł się w centrum lotów. Tu czuł się jak w domu. Zatrzymał się przed jedną z czterdziestu bram, badając przez chwilę otoczenie podwójnym umysłem, aż upewnił się, że nie ma Mieszkańców wśród tłumu ludzi kierujących się do rozmaitych wind. W najlepszym razie miał prawo do drobnej satysfakcji. Drobnej, ponieważ i tak wiedział, że Hunstonowi najpewniej nie starczy ludzi na skomplikowane patrolowanie ulic miasta. Wódz Mieszkańców mógł sobie gadać, ile chciał, o swoich armiach. Maltby uśmiechnął się ponuro. Takie siły w ogóle nie istniały. Zamach stanu, który przyniósł Hunstonowi władzę nad Pięćdziesięcioma Słońcami, był o wiele śmielszym, bardziej ryzykownym przedsięwzięciem, niż wydawał się na pierwszy rzut oka. Musiał się on odważyć na to nie mając nawet stu tysięcy ludzi - toteż niebezpieczeństwo czeka na Petera Maltby dopiero w miejscu docelowym, w potężnym mieście Dalia, stolicy Pięćdziesięciu Słońc. Właśnie kupiwszy bilet pomaszerował ku ruchomym schodom czwartego poziomu, gdy poczuł czyjś dotyk na ramieniu. W ułamku sekundy zawładnął wolą intruza, po czym równie szybko odprężył się. Znalazł się twarzą w twarz z porucznik Neslor, głównym psychologiem „Gwiezdnego Roju”.

Maltby odstawił filiżankę i ponad stołem wpatrzył się bez uśmiechu w psychologa w spódnicy.

- Jeśli mam być szczery - powiedział - nie interesuje mnie żaden pani plan odbicia statku. W mojej sytuacji nie mogę świadomie stanąć po niczyjej stronie na dłuższą metę.

Umilkł obserwując ją z zaciekawieniem, właściwie bez żadnej konkretnej myśli. Czasami intrygowało go życie wewnętrzne kobiety w średnim wieku. Kiedyś zastanawiał się, czy nie używała aparatury warunkującej ze swego laboratorium, by uczynić samą siebie niedostępną dla wszystkich ludzkich uczuć. Wspomnienie tamtej chwili przemknęło mu teraz przez głowę. Przemknęło i znikło. Potrzebna mu była informacja, a nie przyczynek do jej charakteru. Odezwał się już chłodniejszym tonem:

- Na mój rozum to pani odpowiada za haniebną wpadkę „Gwiezdnego Roju”. Po pierwsze dlatego, że to pani w potęgę swego naukowego rozumu usunęła ze statku moją osobę, gwarancję bezpieczeństwa, po drugie, dlatego że do pani obowiązków należało przebadanie umysłów tych, których wpuszczono na pokład. Ciągle nie mogę zrozumieć, dlaczego pani zawiodła.

Kobieta nie odezwała się. Siedziała, popijając z filiżanki, wiotka, siwiejąca na skroniach, przystojna, dojrzałą urodą.

Wreszcie spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie będę niczego tłumaczyć - powiedziała. - Kląska mówi sama za siebie. - Urwała z rumieńcem na twarzy. - Myślisz, że nasza jaśnie pani rzuci ci się w ramiona z wdzięczności, że ją uwolniłeś? Nie zapominaj, że została odwarunkowana z miłości do ciebie i liczy się dla niej tylko okręt.

- Podejmę to ryzyko - odparł - i podejmę je sani. A jeśli kiedykolwiek będziemy znów podlegać jurysdykcji Ziemi, wyegzekwuję należne mi prawa.

Oczy porucznik Neslor zwięziły się w szparki.

- Ach - powiedziała - więc wiesz o tym. Sporo siadywałeś w naszej bibliotece, prawda?

- Pewnie znam lepiej prawodawstwo Ziemi niż ktokolwiek z „Gwiezdnego Roju” - spokojnie odpowiedział Maltby.

- I nie chcesz nawet wysłuchać mojego planu ani skorzystać z pomocy tysiąca ocalałych członków załogi?

- Już powiedziałem, że nie mogę uczestniczyć w większych przedsięwzięciach. Wstała.

- Ale spróbujesz uwolnić lady Glorię?

- Tak.

Oddaliła się bez słowa. Obserwował ją, dopóki nie zniknęła za odległymi drzwiami.

Z wysokości fotela audiencjonalnego pierwszy kapitan, Wielce Czcigodna Gloria Cecylia, Lady Laurr z Wysoko Urodzonych Laurrów, wysłuchiwała bez uśmiechu raportu psychologa. Dopiero gdy starsza kobieta skończyła, rozpogodziła się nieco. Jednakże jej głos brzmiał ostro.

- Więc jesteś pewna, że on niczego nie podejrzewa? Nie domyśla się, że „Gwiezdny Rój” wcale nie wpadł w ręce wroga? Że to ty go ogłuszyłaś, gdy lądował w krzakach?

- Och, on coś podejrzewał - powiedziała porucznik Neslor - ale skąd mógł się domyślić znacznie rozleglejszej prawdy? Wobec naszego milczenia nie miał prawa podejrzewać, że triumfalne oświadczenie Hunstona to zaledwie ruch w o wiele bardziej niebezpiecznej grze, jaką toczymy starając się zniszczyć wzajemnie. Już sam fakt posiadania przez Hunstona ziemskiego okrętu wojennego utrudnia zrozumienie tak, że nie sposób dojść istoty sprawy.

Młoda szlachetnie urodzona pani przytaknęła uśmiechając się. Przez chwilę siedziała nieruchomo, mrużąc z namysłem dumne oczy, z rozchyłonymi ustami, w których połyskiwały białe zęby. Nie taki miała wyraz twarzy, gdy po raz pierwszy usłyszała, że Mieszkańcy mają również ziemski okręt wojenny, i to cudowny nowy model, nad którym projektanci ślęczeli przez wiele lat. Wspomnienie wszystkiego, co wiedziała na temat tego nowego statku, „Pioruna” - jak go nazywano w portach marynarki wojennej - przemknęło jej przez głowę. Jak to siedemdziesiąt lat temu rozpoczęto produkcję dziewięciuset miliardów jego elementów, przewidując, że pierwszy statek zostanie ukończony gdzieś za siedemdziesiąt lat, po czym ruszy produkcja na skalę masową. Znikoma liczba tych statków mogła do tej pory rozpocząć służbę i oto jeden z nich został skradziony gdzieś po drodze.

Jej uczucia wobec posiadania przez Mieszkańców takiego okrętu wojennego oscylowały między ulgą a trwogą. Ulgą, że superwynałazki Mieszkańców zostały w końcu tylko wykradzione z głównej galaktyki. Trwogą przed skutkami ich sukcesu. Co zamierza Hunston? Jaki jest jego stosunek do faktu, że Imperium Ziemi posiada więcej statków wojennych niż Pięćdziesiąt Słońc mężczyzn, kobiet i dzieci razem, wziętych?

- Na pewno - odezwała się z wolna - gdy tylko o nas usłyszeli, wysłali statek do głównej galaktyki, a jasne, że jeśli tylko dostaną się na pokład w dostatecznej liczbie, nic ich nie zatrzyma. Cieszę się - podjęła znacznie weselej - że kapitan Maltby nie zainteresował się, w jaki sposób ty i tysiąc członków załogi umknęliście, gdy Hunston dokonywał swego tak zwanego zdobycia „Gwiezdnego Roju”. Nie dziwię się, że nie chciał mieć nic wspólnego z twoim planem odbicia statku. Ważne, że dzięki tej ślicznej opowiastce dowiedziałaś się tego, o co nam chodziło: pod wpływem miłosnego obłędu usiłuje wdrzeć się na pokład statku Hunstona. Gdy tylko czujnik towarzyszący mu od chwili opuszczenia nas w Atmion zasygnalizuje, że kapitan jest wewnątrz statku, przystępujemy do działania. - Zachichotała.

- Młody człowiek bardzo się zdziwi, gdy zobaczy, co nosi na sobie.

- Może przypląć to życiem - zauważyła porucznik Neslor.

Zapadła cisza, ale na subtelnej twarzy lady Laurr przyczaił się uśmiech.

- Nie zapominaj - szybko dodała porucznik Neslor - że na twojej obecnej niechęci zaważyła świadomość, jak bardzo byłaś poprzednio związana z nim uczuciowo.

- To jest możliwe - przyznała pierwszy kapitan - że przesadziłaś ze swoją kuracją. Bez względu na przyczynę, nie zamierzam zmienić obecnie swojego stosunku do niego, w żadnym przypadku nie wolno ci uwarunkować mnie tak jak poprzednio. Mój rozwód z kapitanem Maltby jest ostateczny. Czy to jest jasne?

- Tak, szlachetna pani.

Jak okiem sięgnąć wszędzie były statki, więcej niż Maltby kiedykolwiek widział w portach Cassidor. Mieszkańcy pośpiesznie demobilizowali flotę Pięćdziesięciu Słońc.

Szeregi statków ciągnęły się na północ, wschód, na południe aż po horyzont. Pojazdy leżały w swoich kołyskach tworząc długie, geometryczne rzędy. Od czasu do czasu monotonię odmierzonych szeregów łamały hangary naziemne i warsztaty naprawcze. Większość pomieszczeń znajdowała się pod powierzchnią lotniska, a raczej pod metalowymi płytami, które kryły je jak lekko sfalowane morze o powierzchni z przeświecającego stopu stalowego. Ziemi okret wojenny znajdował się jakieś cztery mile od zachodniego wejścia. Dystans wydawał się go wcale nie pomniejszać. Kolosalny kształt wisiał nad horyzontem, przytłaczając cieniem mniejsze statki, zdominowawszy niebo, planetę i rozpościerające się pod nim miasto. Nie było na Cassidor ani w całym systemie Pięćdziesięciu Słońc niczego, co by mogło choć w przybliżeniu równać się z tym statkiem co do wielkości, złożoności, jawnie obnoszonej potęgi. Jeszcze teraz Maltby nie mógł uwierzyć, że tak niezrównana broń, machina zdolna zniszczyć całe planety, podstępem wpadła w ręce Mieszkańców w nienaruszonym stanie. A przecież sposób, w jaki uwolnił „Atmion”, dowodził, że było to do zrobienia. Maltby z wysiłkiem odwiódł swój umysł od daremnej kontemplacji i ruszył naprzód. Opanowany, pewny, zdecydowany. Oficer, Niedelianin o miłej twarzy, przeprowadził go przez bramę ze słowami:

- W drzwiach tamtego budynku jest elektroniczny transmiter materii skoncentrowany na ładownią statku. - Wskazał ręką miejsce sto jardów od nich, nieco z boku, i ciągnął dalej: - W ten sposób dostanie się pan na statek. A to urządzenie alarmowe proszę włożyć do kieszeni.

Maltby z zaciekawieniem przyjął maleńki instrument. Przyjrzał się prostej kombinacji kanałów nadawczego i odbiorczego z wyłącznikiem uruchamiającym sygnał.

- Po co mi to? - zapytał.

- Kierujesz się do pomostu pierwszego kapitana, prawda?

Maltby skinął głową, ale czując w swoim umyśle rodzące się przypuszczenie nie zaufał swoim ustom. Czekał.

- Nie zwlekając ani chwili - podjął tamten - postaraj się za wszelką ceną dobrać do tablicy kontrolnej i unieszkodliwić strumienie energii, zerwać połączenia, ekrany automatyczne i tak dalej. Następnie naciśnij guzik.

Teraz to już nie było przypuszczenie, lecz przeraźliwa pustka. Nagle zorientował się, że kroczy skrajem przepaści.

- Ale o co chodzi? - usłyszał swój głos bez wyrazu. Odpowiedź nadeszła spokojna, prawie oziębła.

- Postanowiono - powiedział młody oficer - podjąć próbę opanowania tego statku wojennego. Wpadło nam w ręce parę zapasowych transmiterów i jesteśmy gotowi z różnych miejsc zgrupowania przerzucić sto tysięcy ludzi w ciągu godziny na pokład „Gwiezdnego Roju”. Bez względu na wynik starcia, twoje szansę ucieczki z żoną są większe w wirze bitwy. Czy instrukcje są jasne? - wyrzucił z siebie oschle.

Instrukcje! Więc jednak. Należał do floty Pięćdziesięciu Słońc, więc przyjęli za rzecz samą przez się zrozumiałą, iż w oczywisty sposób podlega ich rozkazom. Oczywiście nie podlegał. Problem lojalności dziedzicznego przywódcy Mieszkańców, który poprzysiągł wierność Pięćdziesięciu Słońcom i poślubił przedstawicielkę Imperium Ziemi należało rozpatrywać w kategoriach podstawowych norm moralności. Niedorzeczna myśl kołatała w głowie Maltby'ego - że brakuje jeszcze tylko ataku ze strony niedobitków z „Gwiezdnego Roju”. Nadejście oddziałów porucznik

Neslor stworzyłoby zaiste idealną sytuację dla człowieka, którego umysł wirował z minuty na minutę coraz szybciej. Potrzebował czasu na zastanowienie się, co ma zrobić. I na szczęście będzie miał ten czas. Nie musi podejmować decyzji tutaj i natychmiast. Zabierze urządzenie alarmowe i uruchomi je lub nie, w zależności od tego, co uzna za stosowne w danej chwili.

- Tak, zrozumiałem instrukcje - powiedział spokojnie wsuwając instrument do kieszeni. Dwie minuty później był wewnątrz statku wojennego.

Znajdował się w opuszczonej ładowni. Upoiło go przyjemne zaskoczenie. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Zlustrował wzrokiem pomieszczenie. Nie przypominał sobie, aby widział je kiedykolwiek przebywając na pokładzie „Gwiezdnego Roju”. Ale wtedy nie miał żadnego powodu wahać się po całym statku. Ani, prawdę mówiąc, nie miał na to czasu. Szybko sięgnął do przycisku wewnętrznego transmittera, który miał go przenieść z ładowni na pomost pierwszego kapitana. W ostatnim momencie zawahał się bijąc się z myślami, z palcami już na urządzeniu. Rozum nakazywał przeprowadzić wszystko bez oglądania się na cokolwiek. Cała historia wojskowości uczyła, że świadoma brawura w połączeniu z refleksem przeważa z reguły szalę zwycięstwa. Tyle tylko, że tak naprawdę niczego nie planował. Poza uruchomieniem swego drugiego, deliańskiego, umysłu. Stojąc zupełnie bez ruchu analizował w nim swoje działanie od chwili gdy Hunston wpuścił kulę energii do jego sypialni, poprzez podróż na Cassidor, rozmowę z porucznik Neslor do zniemacka ujawnionego planu ataku floty Pięćdziesięciu Słońc.

Kiedy się nad tym zastanawiał, uderzyło go ze szczególną ostrością, że sytuacja przedstawia obraz zamętu. Deliańską część jego mózgu ze swoją precyzyjną logiką radziła sobie zazwyczaj bez trudu z uporządkowaniem oderwanych, wydawałoby się, faktów w naturalną całość. A jednak teraz kojarzenie szło mu opieszale. Natychmiast zrozumiał dlaczego. Każdy fakt składał się z wielu pomniejszych szczegółów, których część mógł skompletować drogą dedukcji, lecz innych, chociaż wiedział, że tkwią w podświadomości, nie udało mu się wyłonić z mgły. Nie miał czasu się teraz nad tym zastanawiać. Postanowił dotrzeć do kabiny pierwszego kapitana, a był na to tylko jeden sposób. Raptownym ruchem nacisnął guzik. Zalało go rześiste światło. Parę kroków przed nim stał wysoki mężczyzna ze spojrzeniem utkwionym w transmitter. W dłoni trzymał pistolet. Dopiero gdy się odezwał, Maltby poznał Hunstona.

- Witaj, kapitanie Maltby. Czekałem na ciebie - powiedział dźwięcznym głosem wódz Mieszkańców, przynajmniej raz zuchwałość zawiodła. Teraz tylko wyszarpnąć własny pistolet z olstra. O tym Maltby mógł tylko marzyć. Rzucił okiem w kierunku tablicy kontrolnej, na tę jej część, która sterowała automatycznymi urządzeniami wnętrza statku - płonęło tam pojedyncze światełko. Powolotku ruszył dłonią. Zamigotało, reagując na jego obecność. Postanowił nie dobywać broni. Wysoce nierozsądnie byłoby zaplanować wkroczenie na pomost dowodzenia z pistoletem w ręce, kiedy to światełko może być włączone. Maltby zaczerpnął powietrza, skupiając całą uwagę na Hunstonie. Minęło kilka miesięcy od czasu, kiedy go widział po raz ostatni. Jak wszyscy z domieszką deliańskiej krwi w żyłach, jak sam Maltby, Hunston odznaczał się wspaniałą sylwetką atlety. Matkę musiał mieć blondynkę, ojca kruczoczarnego bruneta, ponieważ jego włosy stanowiły ową zadziwiającą mieszaninę złota i czerni, jaka zwykle wynikała z takiego związku. I szaroniebieskie oczy. Podczas ich ostatniego spotkania Hunston był jakby smuklejszy i jakby mniej dorosły pomimo swej dojrzałej osobowości i pewności siebie. Teraz nie zostało po tym śladu. Silny i dumny, wyglądał jak przywódca w każdym calu. Bez żadnych wstępów powiedział:

- Pokróćce przedstawię fakty. To nie jest „Gwiezdny Rój”. Moje oświadczenie stanowiło manewr polityczny. Porwaliśmy ten okręt wojenny z bazy w głównej galaktyce. W tej chwili zdobywamy drugi, który wkrótce tu będzie. Gdy nadciągnie, zaatakujemy zniemacka „Gwiezdny Rój”.

Tak niewiele już było potrzeba, by Maltby z oswobodziciela zmienił się w naiwniaka. Zdeterminowany, gotów stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu w jednej chwili, stał się głupcem w następnej, a jego zadanie śmiechu warte.

- L-llecz - próbował coś powiedzieć. Był to jednak pusty dźwięk. Słowo wyrażające pustkę

myślowego zastoju poprzedzającego burzę, z której wyłoni się zrozumienie.

- Ktoś powiadomił nas, że nadchodzisz - zabrał głos Hunston, zanim Maltby był w stanie coś wykrztusić. - Zakładamy, że twoja żona. Zakładamy ponadto, że u podstaw wszelkich jej poczynań kryją się wrogie zamiary. Dlatego przygotowaliśmy się na wszystko. Dziesięć tysięcy Mieszkańców czeka na pokładzie. Jeśli twoje przybycie ma stanowić sygnał do ataku, to musi to być zaiste dobrze przeprowadzony atak, by nas zaskoczyć.

I znów za dużo było faktów. Ale natychmiast Maltby wzdrygnął 'się na wspomnienie sił floty Pięćdziesięciu Słońc gotowych wdrzeć się na statek. Otworzył usta, by o tym powiedzieć, ale zamknął je ponownie, gdyż jego deliański umysł ożywiło wspomnienie pierwszego spotkania z porucznik Neslor. Zdolności analityczne jego umysłu sięgały wyżyn niedostępnych człowiekowi. W ułamku sekundy skojarzył to spotkanie z ciemnością, która powaliła go podczas lądowania na Cassidor. Natychmiast wspaniały drugi umysł przebadał tysiące możliwości, a ponieważ miał nareszcie dosyć przesłanek, dostarczył odpowiedzi. Nosił ją na sobie! Ogłuszono go, by go przebrać w nowy ubiór. Lada minuta, lada sekunda, zostanie uaktywniony. Ociekając potem Maltby ujrzał w powietrzu starcie tytanów: dziesięć tysięcy Mieszkańców przeciwko prawie całej załodze „Gwiezdnego Roju”, przeciwko stu tysiącom żołnierzy floty Pięćdziesięciu Słońc. Gdyby tylko ci ostatni czekali na jego znak, ocali ich nie nadając sygnału. Uświadomił sobie z przeraźliwą jasnością, że musi coś powiedzieć, ale najpierw...

Najpierw musi przekonać się, czy kombinezon został zasilony energią. Schował ręką za siebie i ostrożnie wsunął ją w plecy. Weszła na cztery cale, sześć - nadal wyczuwał tylko pustkę. Cofnął ręką. Nie było wątpliwości.

- Planujemy - mówił Hunston - zniszczyć „Gwiezdny Rój”, a następnie całą Ziemię.

- C-co? - Maltby wybałuszył oczy. Nagle wydało mu się, że nie słyszy na oboje uszu. Huczał w nich tylko jego własny głos, gdy powtórzył: - Zniszczyć Ziemię!

Hunston przytaknął obojętnie.

- Nie ma innego logicznego wyjścia. Jeśli zniszczymy jedną jedyną planetę, na której istoty ludzkie wiedzą o wyprawie „Gwiezdnego Roju” do Wielkiego Obłoku Magellana, zyskamy czas na rozwój naszej cywilizacji, aż ostatecznie, po kilkuset latach intensywnego rozmnażania, wystarczy Mieszkańców do tego, by mogli sobie podporządkować główną galaktykę.

- Przecież Ziemia jest centrum głównej galaktyki - zaprotestował Maltby. - Na niej mieści się cała administracja, rząd, to symbol imperium. Główna planeta trzech tysięcy milionów słońc. Ona... - Głos odmówił mu posłuszeństwa. Opadł go strach, tym większy, że nie chodziło o jego osobę. - Jak to, ty szaleńcze! - krzyknął, dławiąc się wściekłością. - Nie możesz tego zrobić. To zdezorganizuje całą galaktykę.

- Właśnie - zgodził się z satysfakcją Hunston, - Da nam to dokładnie tyle czasu, ile potrzebujemy. Nawet jeśli inni wiedzieli o ekspedycji „Gwiezdnego Roju”, nikt nie powiąże jej z katastrofą i nie wyślą żadnej nowej wyprawy. Jak widzisz - .podjął na nowo po krótkim milczeniu - jestem wobec ciebie zupełnie szczery. A nie mogłeś nie zauważyć, że cały nasz plan zależy od tego, czy uda nam się zniszczyć najpierw „Gwiezdny Rój”. W tym - dokończył spokojnie - oczekujemy naturalnie pomocy dziedzicznego przywódcy Mieszkańców.

W wielkiej sali zapanowała martwa cisza. Ekran tablicy kontrolnej ożywiało tylko samotne antyświatło, połyskujące jak odległe ognisko w swojej głęboko osadzonej oprawie. Maltby stał bez ruchu, świadom nadciągającej myśli, mającej zaledwie pośredni związek z wypowiedzianym właśnie przez Hunstona żądaniem. Nie była nowa. Próbował ją zwalczyć, ale rosła w siłę opanowując jego umysł. Było to przekonanie, że jednak prędzej czy później przyjdzie mu opowiedzieć się po którejś stronie w tym starciu trzech potężnych przeciwników.

Nie pozwoli na zniszczenie Ziemi! Z ogromnym wysiłkiem opanował walkę wewnętrzną i spojrzał na Hunstona. Hunston przeszywał go wzrokiem, a jego źrenice zwęziły się od przyczajonej w nich trwogi, co nagle zaskoczyło Maltby'ego. Już otworzył usta, żeby zrobić złośliwą uwagę na temat uzurpatora, mającego czelność prosić o pomoc człowieka, którego miejsce usiłował zająć, ale Hunston go uprzedził.

- Maltby, skąd grozi niebezpieczeństwo? Jak chcą wykorzystać twoje przybycie tutaj? Musisz to już wiedzieć.

Maltby prawie o tym zapomniał. Znów miał się właśnie odezwać, lecz powstrzymał się, tym razem świadomie. Inny pomysł kiełkował w zakamarkach jego podświadomości. Tkwił tam od wielu miesięcy i w swej bardziej rozwiniętej koncepcji stanowił faktycznie jego własne rozwiązanie obecnego problemu Pięćdziesięciu Słońc. Poprzednio cała idea była cudaczna i nierealna - jeden człowiek musiałby przekonać trzy grupy, a w gruncie rzeczy zapanować nad trzema zwalczającymi się ugrupowaniami w danej godzinie i zmusić je do posłuszeństwa. Obecnie dostrzegł w ułamku sekundy, jak można to zrobić. Szybko, trzeba się spieszyć! W każdej chwili mogą zrobić użytek z tego, co ma na sobie.

- To pomieszczenie! - wykrzyknął gwałtownie. - Uciekaj stąd natychmiast, jeśli ci życie miłe.

Hunston wlepił w niego spojrzenie rozjarzonych oczu. Nie wyglądał na przestraszonego.

- To pomieszczenie stanowi źródło zagrożenia, bo ty w nim jesteś? - zapytał z zainteresowaniem.

- Tak - odparł Maltby, odsuwając lekko ramiona od ciała i wyciągając szyję, by utrudnić Hunstonowi trafienie z pistoletu. Sprężył się do skoku.

Hunston, zamiast strzelać, zmarszczył brwi.

- Coś tu nie gra - powiedział. - Przecież nie zostawię w twoich rękach pomostu dowodzenia okrętu wojennego. Z tego wynika, że praktycznie poprosiłeś, abym cię zabił. To oczywiste, że skoro grozi ci niebezpieczeństwo, musisz zginąć. Zbyt oczywiste. Z chwilą gdy strzelę, automatyczne działanie antyświatła, które cię pilnuje, zostanie zneutralizowane, i wtedy ty też możesz użyć broni. Czy na to czekasz?

Czekał na to.

- Uciekaj stąd! Uciekaj, głupcze! - tyle zdołał powiedzieć.

Hunstonani drgnął, policzki mu tylko pobladyły.

- Jedyne niebezpieczeństwo - odezwał się - jakie widzimy, to transponder „Gwiezdnego Roju”, gdyby jakoś udało im się wprowadzić go tu na pokład. - Świdrował Maltby'ego wzrokiem. - Jak dotąd, nie jesteśmy w stanie rozszyfrować działania tych transponderów, ale jedno wiemy z całą pewnością: nie ma połączenia między transponderami dwóch różnych statków. Są odmiennie nastrojone i zaprogramowane. Raz ustawione, nie zmieniają się, żeby nie wiem jak nimi manipulować. Ale ty musiałeś poznać tajemnicę ich działania. Miałeś przecież po temu okazję. Powiedz mi, jak to jest. Powiedz!

Teraz już stało się jasne, że będzie musiał zaatakować pomimo antyświatła. Nie wolno mu użyć

broni. Musi wykorzystać moment zaskoczenia. Może uda się zagadać Hunstona. Cóż za dziwaczna ironia losu. Hunston i jego techniczni eksperci prawidłowo ocenili charakter niebezpieczeństwa. A jednak teraz Hunston nie podejrzewał niczego, stojąc twarzą w twarz z człowiekiem odzianym w kompletny kombinezon, którego zarówno przód, jak i tył stanowiły transmitery.

- Transmitery działają na zasadzie, bardzo zbliżonej do metody, jaką stworzono pierwsze deliańskie roboty - powiedział - tyle że tu zostały użyte oryginalne składniki. Konstruktorzy robotów wzięli elektroniczny obraz istoty ludzkiej i z materii organicznej stworzyli coś, co miało stanowić dokładną kopię człowieka. Gdzieś tkwił błąd, rzecz jasna, ponieważ Delianie w żadnym stopniu nie byli duplikatami oryginalnych istot ludzkich; występowały nawet fizyczne różnice. Z odmienności zrodziła się nienawiść, która ostatecznie znalazła wyraz w masakrach „robotów” przed piętnastoma tysiącami lat. Ale to już historia. Obecne transmitery materii zmieniają organizm w strumień elektronów, a następnie odbudowują go stosując proces rekonstrukcji tkanki.

Proces ten stał się tak prosty, jak włączenie światła i...

W tym właśnie momencie Maltby zaatakował. Ustąpił przeraźliwy lęk, że Hunston wymierzy w jego stopy, ramiona lub głowę. Ponieważ w tej ostatecznej sekundzie Hunston zawahał się. - przegrał, jak tysiące milionów ludzi przed nim. Pistolet błysnął, gdy Maltby trzymał już przegub władającej nim dłoni. Ogień rozlał się nie zostawiwszy śladu na niezniszczalnej posadzce. Za chwilę znalazł się tam i pistolet, bezużyteczny w tym momencie.

- Kanalia! - zasyczał Hunston. - Wiedziałeś, że nie wypalę do dziedzicznego przywódcy Mieszkańców. Zdrajco!...

Ale Maltby nic nie wiedział. I nie marnował czasu na roztrząsanie tej sprawy. Głos Hunstona umilkł, ponieważ Maltby ścisnął jego głowę jak w imadle, ciągnąc ją do siebie i do wnętrza swojej piersi. Zaskoczenie podziało lepiej od uderzenia obuchem. Na decydujący o wszystkim moment Hunston zaprzestał walki. W tej chwili Maltby przepchnął go przez transmitter, jak gdyby w głąb własnego ciała. Jeszcze widać było wierzgającą stopę, gdy Maltby zaczął zrywać zapięcia kombinezonu. Następnie zsunął go na dół tak, że powierzchnie transmitterów znalazły się naprzeciw siebie. W szalonym pośpiechu oswobodził się z ubioru i dopadłszy tablicy kontrolnej przestawił antyświatło na siebie, po czym wprowadził kilkanaście odpowiednich poprawek w przyrządach. Po minucie statek należał do niego. Pozostała jeszcze konieczność przekazania trzem ugrupowaniom jego decyzji. No i pozostała - Gloria.

Dziesięć dni później przed kapitanami „Gwiezdnego Roju” rozpoczęła się rozprawa. Musiało się odbyć wstępne przesłuchanie, bo gdy Maltby wkroczył na salę, Gloria siedziała sztywno ze ściągniętą twarzą, zaciskając usta i nie patrząc na nikogo. Domyślił się, że podjęła ostatnią, rozpaczliwą próbę niedopuszczenia do rozprawy, i przegrała. Usiadł na miejscu wskazanym przez jednego z oficerów i czekał na wezwanie. Odczuł lekkie napięcie, lecz nie upadał na duchu. Nie miał złudzeń. Wiedział, że aby wygrać, potrzebuje naprawdę mocnych argumentów, lecz stawka była warta wszystkich trudów i wysiłków, które włożył w tę walkę i które miał jeszcze włożyć. Zerknął spod oka na ową stawkę, lecz pośpiesznie odwrócił wzrok, gdy napotkał jej spojrzenie: nieprzejednane, miotające lodowate błyski, które niemal raniły jego źrenice. Zbliżyła się do niego.

- Kapitanie Maltby - powiedziała zniżając głos - proszę, by pan wycofał pozew.

- Ekscelencjo - odparł - jesteś dla mnie równie piękna, gdy się gniewasz, jak kiedy... przyzwalasz.

- Nigdy nie wybaczę ci tej wulgarnej uwagi. - Jej głos był pełen gniewu.

- Przykro mi, że uważasz mnie za człowieka wulgarnego. Nie zawsze tak było, o czym dobrze wiesz. Na jej pięknej twarzy pojawił się rumieniec.

- Nie mam ochoty wspominać czegoś, co teraz wydaje mi się nieprzyjemne - powiedziała jeżąc się. - Gdybyś był dżentelmenem, nie wymuszałybyś tej rozprawy.

- Mam nadzieję, że nadal uważasz mnie za dżentelmena w przyjętym znaczeniu tego słowa. Ale nie widzą, co to ma wspólnego z naszym wzajemnym uczuciem.

- Żaden dżentelmen nie wymusza nie odwzajemnionej miłości.

- Pragną jedynie przywrócenia spontanicznego uczucia, które odmieniono siłą.

Świdrując go wzrokiem zacisnęła pięści, jakby zamierzała go uderzyć.

- Przekłety kauzyperda kosmiczny - wybuchnęła gwałtownie. - Żałuję... żałuję, że cię w ogóle wpuściłam do naszej biblioteki.

Maltby uśmiechnął się.

- Gloria, kochanie - powiedział poufałym tonem - słyszałem, że ty sama jesteś bardzo dobrym znawcą prawa kosmicznego. Założę się z tobą...

- Nigdy się nie zakładam - przerwała wyniośle.

Po wszystkim, co zaszło, jej stwierdzenie było tak niesprawiedliwe, że Maltby zaniemówił. Zaraz jednak uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Moja kochana - powiedział - masz tę sprawę wygraną i wiesz o tym. Założę się, że w głębi duszy chcesz, abym ja wygrał, i dlatego nie posługujesz się tym jedynym argumentem.

- Żaden taki argument nie istnieje - odparła. - Oboje znamy dobrze prawo, a ty z premedytacją dręczysz mnie takim gadaniem.

Nagle zobaczył łzy w jej oczach.

- Proszę cię, Peter - powiedziała błagalnie - zrezygnuj z tej sprawy. Zostaw mnie w spokoju.

Maltby'ego wzruszyła zarliwość tej prośby. Ale nie zamierzał zrezygnować. Ta kobieta oddała mu się bez żadnych zastrzeżeń na planecie S Doradus. Jeśli po uwolnieniu od sztucznej presji psychologicznej nadal go nie zechce, wtedy będzie wolna.

- Moja droga - podjął ze szczerością - obawiasz się samej siebie? Pamiętaj, że po tym wszystkim decyzja należy do ciebie. Przeczuwasz, że wybierzesz mnie, i w tej samej chwili wzdragasz się przed tym. Uwolniwszy się od tego nacisku, możesz pragnąć trwałości naszego małżeństwa.

- Przenigdy. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że zachowam pamięć tych wydarzeń, wspomnienie, że zostałam zmuszona? Czy tego nie rozumiesz?

Nagle zrozumiał. W jednej chwili pojął, że spogląda na tę sprawę z czysto męskiego punktu widzenia. Kobiety są inne. One muszą odczuwać potrzebę poślubienia partnera bez najmniejszego przymusu. Była to wstrząsająca wizja dla jego napiętego i pełnego determinacji umysłu. Lecz nadal nie potrafił zmusić siebie do wypowiedzenia słów, które by ją uwolniły.

Powrócił myślami do wydarzeń ostatnich dziesięciu dni. To były jego wielkie dni. Miliardy istot zawarły porozumienie opierając się na podanych przez niego rozwiązaniach. Pierwsi wyciągnęli dłoń Delia-nie i Niedelianie. Po nadaniu wiadomości, że „Gwiazdny Rój” nie wpadł w ręce Mieszkańców, a Ziemia podtrzymuje swoje pierwotne propozycje z niewielkimi zmianami, rządy Pięćdziesięciu Słońc publicznie proklamowały zgodę. Maltby rozczarował się nieco reakcją na te - jak mu się wydawało - sensacyjne 'wieści, zebrane przez niego w bibliotece statku, że Niedelianie to nie humanoidy ani roboty w najszerszym rozumieniu tego słowa, lecz potomkowie istot ludzkich, które pomogły w ucieczce pierwszym humanoidom. Może po prostu nadmiar innych spraw przykuł uwagę ludności. Żywił uzasadnioną nadzieję, że korzystna reakcja nastąpi w przyszłości. Niedelianie poczują ściślejsze powinowactwo z istotami ludzkimi. Delianie, uświadomieni, że istoty ludzkie dawno temu postanowiły udawać roboty dla spraw przyszłych generacji Pięćdziesięciu Słońc, mogli dojść do przekonania, że ludzie nie są tacy najgorsi. Nieco trudności nastroczał problem Mieszkańców. Bez swego porywczego przewodcyra Hunstona, przebywającego czasowo w więzieniu, większość ich jakby pogodziła się z porażką i przystała na propozycję Maltby'ego. W swoim wystąpieniu skierowanym do Ukrytych Miast mówił bez osłonek. Wybrawszy wojnę, mają szczęście otrzymując teraz równy status w rządzeniu Pięćdziesięcioma Słońcami. Wszystkie statki głównej galaktyki zostaną ostrzeżone przed ich taktyką i na wiele lat Mieszkańcy zostaną zobowiązani do noszenia znaków rozpoznawczych. Jednakże Delianie mogą zawierać związki małżeńskie z Niedelianami i znosi się zakaz posiadania dzieci przez takie pary. Ponieważ dziecko zrodzone z takiego związku nieuchronnie musi być Mieszkańcem, ich liczba będzie stale rosła. Gdyby tak się stało, że ta mutacja stopniowo, w sposób zgodny z prawem i naturą, zacznie dominować, Ziemia jest całkowicie gotowa zaakceptować taki stan rzeczy. Prawa odnoszące się do tego rodzaju procesów są liberalne i wybiegają daleko w przyszłość. Zabroniona jest zasadniczo tylko agresja. Wspominając o tych sprawach, Maltby uśmiechnął się z goryczą. Wszystkie problemy zostały rozwiązane, poza jego własnym. Nadal jeszcze bił się z myślami, gdy rozprawa się zaczęła. Trzy godziny później kapitan Rutgers odczytał werdykt, jaki zapadł po krótkiej dyskusji sędziów. Z namaszczeniem przekazał zebranym pośpiesznie ujętą na piśmie decyzję.

- Prawo - zaczął - odnoszące się do odwarunkowania sztucznie narzuconej presji psychicznej nie dotyczy kapitana Maltby'ego, który nie był obywatelem Imperium Ziemi w chwili poddawania go temu procesowi. Prawu temu podlega natomiast lady Gloria, jako rodowita ziemianka. Ponieważ - ciągnął - kapitan Maltby został mianowany stałym przedstawicielem Pięćdziesięciu Słońc na Ziemi i ponieważ dla lady Glorii jest to ostatnia wyprawa na pokładzie okrętu wojennego, nie istnieją żadne geograficzne bariery dla kontynuacji tego związku.

Sąd więc postanawia: lady Gloria przejdzie niezbędną kurację, która przywróci jej uczucie do męża.

Maltby rzucił szybkie spojrzenie na Glorię i wstał, widząc łzy na jej policzkach.

- Wysoki sędzie, chciałbym o coś prosić.

Kapitan Rutgers dał znak, że udziela mu głosu. Maltby milczał przez moment. Wreszcie, przełykając nerwowo, powiedział:

- Chcę zwolnić moją żonę z konieczności poddania się temu procesowi, ale pod jednym warunkiem.

- Co to za warunek? - szybko zadała pytanie jedna z kobiet w 'stopniu kapitana.

- Pod warunkiem, że w wybranym przeze mnie miejscu da mi czterdzieści osiem godzin na odzyskanie jej. Jeżeli po upływie tego czasu jej uczucia nie ulegną zmianie, poproszę o odroczenie wykonania tego orzeczenia na czas nieokreślony.

Kobieta zwróciła spojrzenie na swą zwierzchniczkę.

- To chyba całkiem uczciwe, Gloria.

- To śmieszne - powiedziała pierwszy kapitan „Gwiezdnego Roju”, cała w pąsach. Tym razem Maltby podszedł do „niej”. Nachylił się do jej ucha.

- Gloria, to twoja druga szansa. W końcu pierwszej nie wykorzystałaś, jak przepowiedziałem.

- Nie było pierwszej. Taki wyrok był nieuchronny i doskonale o tym wiesz. - Unikała jego spojrzenia, tak przynajmniej wydawało się Maltby'emu.

- Podstawowa zasada małżeńska, Gloria, starsza od podróży kosmicznych, stara jak historia człowieka.

Teraz spoglądała mu prosto w oczy. W jej wzroku widział budzące się zrozumienie.

- Ależ tak, oczywiście - powiedziała - jakżeż mogłam zapomnieć. Uniosła się do połowy, jakby jeszcze zamierzała z nim dyskutować, po czym z wolna osunęła się z powrotem na fotel.

- Dlaczego sądzisz, że nie możemy mieć dzieci? - spytała.

- Z żadnego związku istoty ludzkiej z Mieszkańcem nie urodziło się dziecko bez sztucznych środków.

- Ale stosując proces ciśnienia..

- Do tego nie można nikogo zmusić - powiedział Maltby i podjął cierpliwie: - Gloria, nie możesz zaprzeczyć, że przez ten cały czas do wydania wyroku mogłaś z tego skorzystać. To najstarszy, a w całych okresach historii jedyny dozwolony powód zerwania małżeństwa. Nikt go nie kwestionuje. Jest ostateczny. Pomimo że usiłowałaś zerwać nasze małżeństwo, nie pomyślałaś o nim. Uważam to za całkowite potwierdzenie mego odczucia, że w głębi duszy pragniesz i potrzebujesz mnie za męża. A ja pragnę jedynie, abyś dała mi szansę bycia z tobą we dwoje, a teraz mam i prawo o to prosić.

- Gdzie chcesz spędzić razem te czterdzieści osiem godzin, które... - rozpoczęła wolno i urwała nagle. Oczy jej rozszerzyły się. Oddychała ciężko. - Ależ to śmieszne. Nie zgadzam się na udział w takiej naiwnej romantycznej komedii. Poza tym S Doradus jest zupełnie nie po drodze.

Ponad jej ramieniem Maltby dostrzegł wchodzącą na salę porucznik Neslor. Rzucił jej krótkie, pytające spojrzenie. Jej oczy czekały na nie. Prawie niedostrzegalnie pochyliła głowę. Wtedy Maltby ponownie objął spojrzeniem Glorię. Nie odczuwał wstydu z powodu układu, który zawarł z psycholog, by zaraz po zapadnięciu wyroku ją odwarunkowała. Ta wyniosła, dumna młoda kobieta potrzebowała prawdziwej miłości być może bardziej od kogokolwiek na statku. Porucznik Neslor zdawała sobie z tego sprawę równie dobrze, jak i on, i natychmiast zgodziła się pośpieszyć z pomocą. Wiedząc, że nie ma już w niej niechęci do niego, chociaż na pełny efekt trzeba będzie trochę poczekać, odezwał się:

- Planeta S Doradus, gdzie rozbiliśmy się wtedy, leży zaledwie osiemnaście godzin drogi stąd. Weźmiemy statek ratowniczy, a później dołączymy do „Gwiezdnego Roju” nie zakłócając jego kursu.

- Czego spodziewasz się po mnie - powiedziała zjadliwie - że padnę ci tam w ramiona?

- Tak - odparł bez wahania - właśnie tego.

Spis treści

[PROLOG.. 3](#)

[I. 16](#)

[II. 25](#)

[III. 30](#)

[IV.. 37](#)

[VI. 49](#)

[VII. 58](#)

[VIII. 60](#)

[IX.. 63](#)

[X.. 67](#)

[XI. 72](#)

[XII. 75](#)

[XIII. 77](#)

[XIV.. 82](#)

[XV.. 86](#)

[XVI. 89](#)

[XVII. 94](#)

[XVIII. 99](#)

[XIX.. 102](#)

[XX.. 106](#)

[XXI. 109](#)

[XXII. 112](#)

[XXIII. 115](#)